

Rok XXXIV (LI) / nr 5–8 (423)
czerwiec 2025 / cena 5 zł
ISSN 1230-9710
Ukazuje się od 1952 roku

NAUKA • BADANIA • KULTURA

GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU



**Jednolita Teoria
Wzrostu**

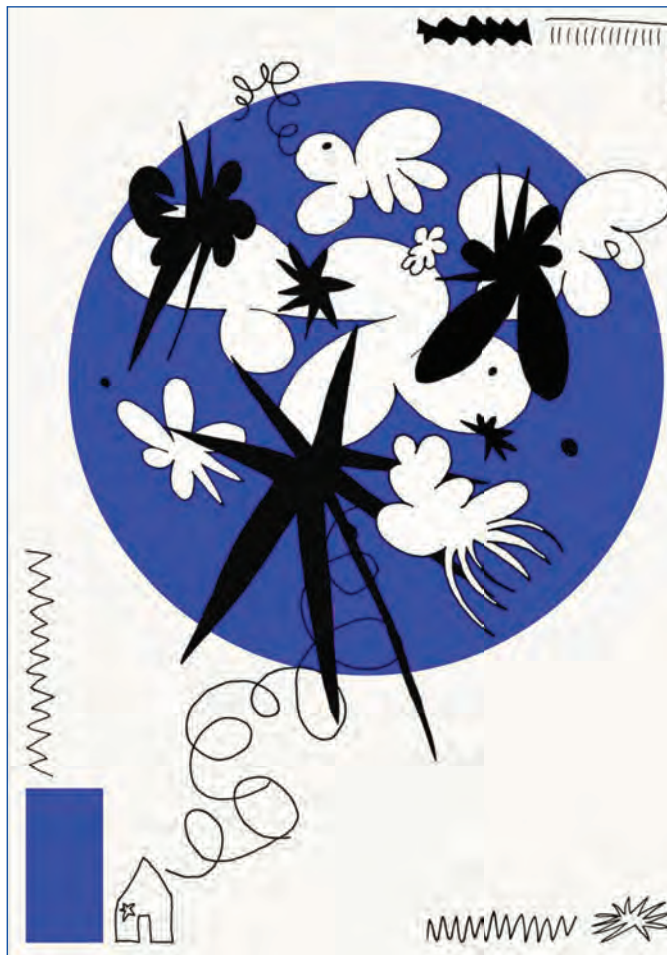
Którędy do indeksu?

Księga otoczona troską

Polak wypoczywa



UNIwersYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU



Głos na stronie

– Jeszcze tylko lanie i można zaczynać wakacje – rzekł w starym dowcipie uczeń, niosąc do domu niezbyt chwalebne świadectwo. Rzeczywiście, wakacje przed nami. Także te akademickie. Wprowadzie świadectw naukowcom się nie wystawia, ale ewaluacja być musi. I o nią znów (który to już raz) toczy się batalia. Jaka ma być? Co zrobić, by patologie, o których także w „Głosie” pisywałem, udało się wyeliminować? By była rzetelniejsza, a zarazem przystająca do szybko zmieniającej się rzeczywistości.

Trwa właśnie wielka ekspercka dyskusja na temat oceniania środowiska naukowego. Czasu pozostało niewiele, więc pewnie – mimo zbliżających się wakacji – także i czas letni na dopracowywanie kryteriów będzie choć po części wykorzystywany. Już od przyszłego roku ewaluacja miałaby być po nowemu, bo kończy się czas starej. Po nowemu – czyli jak?

Tego jeszcze pewnie nikt nie wie. Ale pospekulować nikt mi nie zabroni. Raczej wiadomo, jaka ta ewaluacja nie będzie. Ma na przykład wyeliminować słynną punktozę i powiązane z nią drapieżne wydawnictwa. Patologiczne zjawiska mają jednak to do siebie, że tak do końca nawet gorącym żelazem się ich nie wypali. Można się spodziewać, że ograniczona lub mocno zmieniona zostanie w ewaluacji rola kryterium punktów za publikacje. Szkoda, bo to kryterium proste i czytelne, choć naukowcy sami sobie winni. Te „spółdzielnie” międzyuczelniane, te publikacje za kasę mocno zdewaluowały ten element oceny. Powinien jednak pozostać, ale zmodyfikowany. Nie ma co liczyć tych punktów, jak leci. Musiałyby być weryfikowane. Trochę tak jak wyniki sportowców. Nie liczy się przecież na przykład rekordów uzyskanych na treningach.

Z pewnością w ewaluacji ważną rolę odgrywać muszą takie naturalne w dzisiejszym uprawianiu nauki czynniki jak praca zespołowa, potencjał odkrycia lub wynalazku, zaangażowanie się we wdrażanie patentu, zainteresowanie nim środowiska. Pamiętam,



że te kwestie sygnalizowane już były wiele lat temu na spotkaniu, w którym miałem okazję uczestniczyć, a adresatem postulatów był ówczesny minister nauki Jarosław Gowin.

Z gremiów pracujących nad nowymi rozwiązaniami dobiegają głosy, że właśnie relacje z otoczeniem gospodarczym, środowiskiem mają zostać mocno zaakcentowane w ewaluacji „po nowemu”. Jak to zmierzyć? Pozostaje ufać, że tęgie głowy znajdą na to sposób, by obyło się bez większych kontrowersji. Już bowiem wyobrażam sobie, jak różne „niezależne” agencje tworzą raporty o wpływie tej czy tamtej uczelni, tej czy owej jednostki, takiego czy innego uczzonego na bliższe i dalsze otoczenie. Przypomniały się w tym kontekście wnioski o tytuły profesorskie przedstawiane na forum senatu przed wielu laty. Pełno było w charakterystykach określić w rodzaju „wybitny”, „ceniony”, „autorytet w dziedzinie”, „wychowawca wielu pokoleń”.

Żyjemy w czasach, gdy lubimy mieć wszystko dobrze skatalogowane, policzone. Wiem, człowieka tak się nie da ocenić: jeden otwarty, zaangażowany, drugi skryty, egotyczny – każdy może mieć niekwestionowane sukcesy. Z drugiej jednak strony jakaś ocena pracy uczzonego, jednostek być musi. Przecież za tym idą bardzo realne pieniądze.

Tyle o ocenach, bo przecież jeszcze wakacyjne życzenia być muszą. Zakończcie sesję. Ruszajcie w Polskę, świat. Wracajcie uśmiechnięci, wypoczęci!

Winicjusz Schulz

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**

Ten numer „Głosu Uczelni” został zamknięty

29 maja 2025 roku.

Redaktor prowadzący: Winicjusz Schulz

e-mail: glos-umk@umk.pl

www.glos.umk.pl



Jednolita Teoria Wzrostu

s. 8



Którędy do indeksu?

s. 18



Stefan Gierowski. W setną rocznicę urodzin

s. 14



Księga otoczona troską

s. 23

NAUKA • BADANIA • KULTURA
GŁOS UCZELNI

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marek Jurgowiak, Marcin Lutomierski (zastępca redaktora naczelnego), Maurycy Męczałski,

Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Nikodem Pręgowski, Bartosz Rakoczy, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski. Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



Polak wypoczywa

s. 38



Słoneczne zauroczenie

s. 48



Świadomość śmierci – dar i przekleństwo

s. 68

Głos na stronie	3
Porozmawiajmy o polskiej nauce	6
W ramach Głosu	7
Jednolita Teoria Wzrostu	8
Unified Growth Theory	11
Stefan Gierowski. W setną rocznicę urodzin	14
Dotykanie nauki, przeżywanie sztuki	16
Którędy do indeksu?	18
Kogo szukają?	22
Księga otoczona troską	23
Niebezpieczne Wilno, czyli zaRDZAwiały Uniwersytet	29
Prawo i rodzina	36
Polak wypoczywa	38
Prawo na wakacjach	46
Słoneczne zauroczenie	48
A na lato kuchnia elektryczna	56
Lato z <i>Martą</i>	61
Głodówki – szybkie efekty, czy narzędzie wspierające zdrowie?	65
Świadomość śmierci – dar i przekleństwo	68
Korony i togi	70
Mapy odwiedzanych miejsc	75
Polskie fascynacje pejzażami Ukrainy	76
Bratnia Pomoc	81
Czego uczą mistrzowie? O kopii artystycznej, edukacji i twórczości	84
Pan E. Znikający	92
Drugie pokolenie obozowe	93
Ślad odcisnięty w piasku czasu	98
Sztuka spięta klamrą, czyli 33. Alternatywne Spotkania Teatralne	101
Zawsze myślimy o naszej Uczelni	106
Dwa wyróżnienia	111
Rocznicowo i przyszłościowo	112

Winicjusz Schulz

Porozmawiajmy o polskiej nauce

Pod takim hasłem odbyło się 29 maja na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika – wiodącej uczelni badawczej – jedno z tego cyklu spotkań. Wzięli w nim udział prof. Marek Gzik – wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, Grzegorz Karpiński – podsekretarz stanu w kancelarii prezesa rady ministrów, prof. Jerzy Małachowski – dyrektor Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

W poprzedzającym spotkaniu ze społecznością akademicką UMK briefingu prasowym uczestniczyli też rektor UMK prof. Andrzej Tretyn (wraz z prorektorami), a także prezydent Torunia Paweł Gulewski.

Nawiązując do tytułowego hasła: rozmawiać trzeba – zarówno o jej aktualnej kondycji, jak i przyszłości – bo – co między innymi wielokrotnie podkreślał prof. Gzik – bez silnej nauki nie będzie silnej gospodarki i bezpiecznego państwa. Nauka musi odpowiadać na potrzeby naszych czasów – społeczne, gospodarcze. Właśnie więzi z gospodarką są w tym kontekście szczególnie ważne i cyfryzacja.

Podczas spotkania ze społecznością akademicką prof. Gzik omówił zmiany, jakie zaszły od czasu, gdy zwycięska w wyborach koalicja przejęła w Polsce władzę. Już 1 stycznia 2024 roku przywrócono Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego



Fot. Winicjusz Schulz

(wcześniej był to wspólny report z edukacją). Nastąpił wzrost z budżetu krajowego nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę (o 6,8 mld zł). Pojawiły się rekordowe podwyżki dla nauczycieli akademickich (o 30 procent) oraz pozostałych pracowników uczelni (o 20 procent).

To dużo, ale wciąż za mało, by polska nauka znalazła się w elicie światowej, by prowadzono u nas takie badania, które potem honorowane są na przykład Nagrodami Nobla. Kształcimy świetnie, ale już znacznie gorzej wyglądają relacje nauka – gospodarka. Po prostu wciąż brakuje w Polsce firm, które mogłyby zaangażować w taką współpracę bardzo duże środki. Minister Gzik przywołał w tym kontekście własne doświadczenia (z branży biotechnologii medycznej), gdy udało mu się od jednego z europejskich koncernów uzyskać wielomilionowe wsparcie. Ale czy w Polsce mamy takie firmy? To pytanie zabrzmiało wręcz retorycznie.

Niepewne czasy, wojna tuż za naszą granicą wymagają także zaangażowania nauki w obronność. Niektóre elementy uzbrojenia, sprzętu możemy skonstruować sami. Bywa jednak, że barierą nie jest brak innowacyjności, ale czas: własnych naszpikowanych najnowszymi technologiami samolotów, czołgów nie da się zaprojektować i wyprodukować

z dnia na dzień. I stąd też zakupy za granicą – w Stanach Zjednoczonych, Korei Południowej.

Prof. Jerzy Małachowski – dyrektor Narodowego Centrum Badań i Rozwoju obszernie przedstawił ofertę centrum adresowaną do środowiska naukowego.

A inne ważne sprawy? Przede wszystkim dalszy rozwój nauki polskiej, jej ewaluacja. Minister Gzik mówił o tym wiele, wskazując także na szereg patologicznych zjawisk, takich jak chociażby nieuczciwe zdobywanie punktów za publikacje, posiadanie uprawnień nadawania tytułów i stopni naukowych przez szkoły wyższe niereprezentujące odpowiedniego poziomu naukowego. Zasady ewaluacji muszą się zmienić, ale ewolucyjnie, a nie rewolucyjnie.

Spotkanie zakończyło się bardzo ciekawym wątkiem dotyczącym sprzętu badawczego. Minister Gzik (a wtórował mu też prof. Małachowski) stwierdził bowiem, że w tej dziedzinie mamy często do czynienia z przeinwestowaniem. To niekiedy efekt ambicji nawet pojedynczych profesorów, którzy chcą mieć jak najlepiej wyposażone laboratoria. Teraz jest czas na racjonalne wykorzystywanie już zakupionego sprzętu i przede wszystkim na inwestowanie w ludzi – by nie odeszli z nauki lub nie wyemigrowali z Polski.

W ramach Głosu

„W ramach Głosu” jest nową przestrzenią służącą prezentacji sztuki, która zainaugurowana została pokazem wybranych plakatów międzynarodowej wystawy pt.: „80 plakatów na 80-lecie”. W kolejnych edycjach „Głosu Uczelni” na wewnętrznej stronie okładki będziemy przedstawiać Państwu reprodukcje prac artystek i artystów związanych z Wydziałem Sztuk Pięknych UMK (i nie tylko). Będą one reprezentować różnorodne techniki,

odmienne style, twórcze temperamenty i tematy. Oddajemy tę galerię osobom młodym i zdolnym – niech łamy „Głosu” staną się platformą propagowania dobrej sztuki i szansą debiutu przed szeroką publicznością.

Kurator galerii

Dr hab. Nikodem Pręgowski, prof. UMK



Jednolita Teoria Wzrostu

Z prof. Odedem Galorem, doktorem honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, rozmawia prof. Magdalena Osińska

Podczas pobytu na stażu naukowym w Uniwersytecie Browna w Providence, RI, USA w kwietniu 2025 r. miałam okazję dłużej porozmawiać z wybitnym ekonomistą, badaczem głębokich korzeni leżących u podstaw długookresowego wzrostu i rozwoju gospodarczego profesorem Odedem Galorem. Profesor Galor wyraził zgodę, aby rozmowa przyjęła formę wywiadu, który publikujemy na łamach „Głosu Uczelni”. Profesor Galor darzy Uniwersytet Mikołaja Kopernika ogromnym szacunkiem i od lat z podziwem odnosi się do dokonań Jego Patrona. Tym razem nasza rozmowa dotyczyła najpilniejszych wyzwań przyszłości takich jak wdrożenie sztucznej inteligencji, obniżenie diety oraz degradacja środowiska, które Profesor Galor rozpatruje z perspektywy historycznej, głównie przez pryzmat opublikowanej w 2011 r. Jednolitej Teorii Wzrostu.

– Profesorze, poświęcił Pan znaczną część swojego życia akademickiego na poszukiwanie głębokich korzeni współczesnego rozwoju gospodarczego (historycznych, technologicznych, kulturowych). Czy mógłby Pan w skrócie wyjaśnić podstawy Jednolitej (Zunifikowanej) Teorii Wzrostu?

– Jednolita Teoria Wzrostu bada ewolucję społeczeństw na przestrzeni całej historii ludzkości. Ujawnia ona uniwersalne mechanizmy zmian, które kierowały procesem rozwoju ludzkości i kształtowały nierówności na całym świecie. Teoria rzuca światło na dwie najbardziej fundamentalne zagadki

związane z tym procesem: (i) Zagadkę Wzrostu – przyczyny dramatycznej przemiany w poziomie dobrobytu ludzkości w ciągu ostatnich dwóch stuleci, po millenniach niemal całkowitej stagnacji; oraz (ii) Zagadkę Nierówności – korzenie ogromnych dysproporcji w bogactwie narodów. Teoria sugeruje, że siły działające w odległej przeszłości mają kluczowe znaczenie dla zrozumienia nierównomiernego rozwoju na świecie oraz dla opracowania skutecznych polityk promujących wzrost gospodarczy i redukujących nierówności.

Przez tysiąclecia mechanizmy zmian – wzajemne oddziaływanie postępu technologicznego oraz liczebności i struktury ludności – przyspieszały, nie wpływając jednak na poziom życia. W końcu jednak osiągnięty został punkt krytyczny, który uwolnił gwałtowny postęp technologiczny okresu rewolucji przemysłowej. Rosnące zapotrzebowanie na wykwalifikowanych i wykształconych pracowników, zdolnych sprostać szybko zmieniającemu się środowisku technologicznemu, skłoniło rodziców do inwestowania w edukację swoich dzieci, a przez to do ograniczania liczby potomstwa. Wskaźniki dzietności zaczęły spadać, a poziom życia poprawił się, nie będąc natychmiast równoważony przez wzrost populacji. W ten sposób rozpoczął się długotrwały wzrost dobrobytu, którego świat doświadcza od dwóch ostatnich stuleci.

Jednakże, gdy w ciągu ostatnich kilku wieków nastąpiło przejście od stagnacji do wzrostu, w niektórych regionach świata nastąpiło to wcześniej, prowadząc do ogromnych nierówności między krajami. Instytucjonalne, kulturowe, geograficzne i społeczne cechy, które ukształtowały się w odległej przeszłości, a także siły kolonializmu, przyczyniły się do zróżnicowanego tempa tej transformacji oraz do powstania głębokich nierówności w bogactwie narodów.

– Czy to oznacza, że historia jest fatum? Czy społeczeństwa mogą przezwyciężyć swoje historyczne i geograficzne dziedzictwo?

– Historia nie jest fatum. Jednakże zrozumienie unikatowego kontekstu historycznego i geograficznego każdego społeczeństwa ma kluczowe znaczenie dla opracowania polityk promujących wzrost i redukujących globalne nierówności. Takie polityki muszą być dostosowane do specyficznych uwarunkowań danego społeczeństwa, ponieważ uniwersalne rozwiązania są nieskuteczne.

– Czy Pana Jednolita Teoria Wzrostu może być zastosowana w przypadku dowolnego kraju?

– Oczywiście, Jednolita Teoria Wzrostu ma charakter uniwersalny i znajduje zastosowanie w odniesieniu do każdego kraju czy regionu świata. „Mechanizmy Zmian” – czyli sprzężenie zwrotne między postępem technologicznym a liczebnością i strukturą ludności – stanowią uniwersalne siły napędowe procesu rozwoju we wszystkich regionach. Niemniej jednak tempo, w jakim te „Mechanizmy Zmian” się uruchamiają, różni się znacząco między społeczeństwami ze względu na odmienne cechy kulturowe, instytucjonalne i geograficzne, historię kolonialną oraz różnorodność populacji. To zróżnicowanie doprowadziło do nierównomiernego tempa przejścia od stagnacji do wzrostu na świecie i powstania ogromnych dysproporcji w bogactwie narodów.

– Czy ludzkość stoi u progu kolejnego punktu krytycznego?

– To fascynujące pytanie. Homo sapiens i „Mechanizmy Zmian” potrzebowały blisko 300 000 lat, by osiągnąć punkt krytyczny, w którym gwałtowna transformacja krajobrazu technologicznego wymusiła znaczące inwestycje w edukację. Doprowadziło to do przełomowego spadku dzietności i ostatecznie uwolnienia procesu wzrostu od równoważącego wpływu przyrostu populacji. To przejście fazowe, które dokonało się w ciągu ostatnich dwóch stuleci, umożliwiło oszałamiający 14-krotny wzrost dochodu na mieszkańca i podwojenie średniej długości życia.

Rzeczywiście, nie jest wykluczone, że ludzkość znajduje się u progu kolejnego przełomu, w którym te same „Mechanizmy Zmian” – sprzężenie zwrotne między cechami populacji a sztuczną inteligencją – wyzwolą falę przełomowych technologii zdolnych radykalnie przekształcić ludzki dobrobyt.

– Czy niepokoi Pana wpływ sztucznej inteligencji (SI) na nierówności?

– Technologie SI mają potencjał, by znacząco poprawić jakość życia. Mogą automatyzować rutynowe zadania, usprawniać podejmowanie decyzji i napędzać innowacje, zwiększając efektywność, produktywność i wzrost gospodarczy. Co więcej, SI może podnieść poziom dobrostanu poprzez spersonalizowaną opiekę zdrowotną, wzboga-

cenie edukacji czy udoskonalenie form wypoczynku.

Niewątpliwie, technologie SI mogą też pogłębić nierówności dochodowe, faworyzując osoby o pożądanym kompetencjach, jednocześnie marginalizując innych. Jednakże rozsądne polityki – kształtujące elastyczne umiejętności, przekwalifikujące pracowników, uwzględniające kwestie etyczne i redystrybuujące korzyści materialne płynące z SI – pozwoliłyby upowszechnić jej dobrodziejstwa.

– Jakie cechy pozwolą ludziom konkurować ze sztuczną inteligencją?

– Przetrwanie w erze rosnącej konkurencji z SI wymaga dwóch kluczowych reform edukacji: (I) roz-

woju adaptacyjnych umiejętności umożliwiających poruszanie się w dynamicznym środowisku technologicznym oraz (II) pielęgnowania przewag ludzkiej inteligencji nad sztuczną – kreatywności, myślenia krytycznego, inteligencji emocjonalnej i wrażliwości etycznej.

– Czy jest Pan optymistą co do przyszłości? Czy ludzie potrafią wykorzystać innowacje dla przetrwania gatunku?

– 300 000 lat ewolucji ludzkości napawa nadzieją, że potrafimy pokonywać egzystencjalne zagrożenia. Gdy 12 000 lat temu populacja przekroczyła możliwości łowiecko-zbierackich społeczeństw, groźba wymarcia wyzwoliła innowacje: udomowienie roślin i zwierząt oraz Rewolucję Neolityczną. W XX w. obawy przed głodem przyniosły Zieloną Rewolucję, a pandemia COVID-19 – rekordowo szybkie opracowanie szczepionek mRNA. Historia dowodzi, że potrafimy wykorzystywać innowacje dla przetrwania.

– Co budzi większy niepokój: niska dzietność czy degradacja środowiska?

– Degradacja środowiska to najpilniejsze wyzwanie – bierność i zaprzeczanie nauce prowadzą nas na skraj katastrofy. Wierzę jednak, że ludzka pomysłowość pozwoli nam jej uniknąć, pod warunkiem wdrożenia restrykcyjnych limitów emisji, ekotechnologii i dalszego spadku dzietności.

Niską dzietność postrzegam jako element równowagi między dobrobytem a ochroną planety. Ostry spadek ostatnich 150 lat uwolnił wzrost gospodarczy od presji demograficznej, zwiększając inwestycje w edukację i aktywność zawodową kobiet. Obawy przed starzeniem się społeczeństw są przesadzone – dostosowanie wieku emerytalnego pozwoli pogodzić niższą dzietność z dobrobytem i zrównoważonym rozwojem.

– Dziękuję bardzo za podzielenie się tak cennymi spostrzeżeniami. To była prawdziwa przyjemność z Panem rozmawiać.

– Dziękuję bardzo.

Zdjęcia: Archiwum prywatne





Unified Growth Theory

Interview with Professor Oded Galor, Honorary Doctorate of Nicolaus Copernicus University in Toruń, by professor Magdalena Osińska

During my research internship at Brown University in Providence, RI, USA, in April 2025, I had the opportunity to engage in an extended conversation with the distinguished economist Professor Oded Galor, a researcher of the deep-rooted foundations underlying long-term economic growth and development. Professor Galor agreed to conduct the discussion in the form of an interview, which we are publishing in *Głos Uczelni*. Professor Galor holds Nicolaus Copernicus University in the highest regard and has long admired the achievements of its Patron. This time, our conversation revolved around the most pressing challenges of the future, such as the implementation of artificial intelligence, declining fertility rates, and environmental degradation, which Professor Galor examines from a historical perspective, primarily through the lens of the Unified Growth Theory published in 2011.

Professor Galor, you spent much of your academic life searching for the deep roots of contemporary economic development (historical, technological, cultural). Could you briefly explain the foundations of the unified growth theory?

Unified Growth Theory explores the evolution of societies over the entire course of human history. It uncovers the universal wheels of change that have governed the journey of humanity, driven the growth

process, and shaped inequality across the globe. The theory sheds light on two of the most fundamental mysteries surrounding this journey: (i) The Mystery of Growth – the origins of the dramatic transformation in human prosperity over the past two centuries, in the wake of millennia of near stagnation; and (ii) The Mystery of Inequality – the roots of the vast inequality in the wealth of nations. The theory suggests that forces operating in the distant past are central to the understanding of the uneven develop-

ment across the globe and the design of effective policies that could promote economic growth and mitigate inequality.

For millennia, the wheels of change – the reinforcing interplay between technological progress and the size and composition of the human population – turned at an ever-increasing pace without an impact on living standards. But eventually, a tipping point was reached, unleashing the rapid technological progress of the Industrial Revolution. The increasing demand for skilled and educated workers who could navigate this rapidly changing technological environment induced parents to invest in the education of their children and therefore to bear fewer of them. Fertility rates started to decline and living standards improved without being swiftly counterbalanced by population growth. Thus began a long-term rise in human prosperity that the world has experienced in the past two centuries.

However, when the take-off from stagnation to growth occurred in the past few centuries, it occurred earlier in some parts of the world, triggering an immense inequality across countries. Institutional, cultural, geographical and societal characteristics that emerged in the distant past, as well as the forces of colonialism, contributed to the differential timing of this transition from stagnation to growth and to the emergence of a vast inequality in the wealth of nations.

Does it imply that history is a fate? Could societies overcome their historical and geographical legacy?

History is not fate. However, understanding the unique historical and geographical context of each society is crucial in designing policies that promote growth and reduce global inequality. Such policies must be tailored to the specific circumstances of each society, as a one-size-fits-all approach is ineffective.

Can your Unified Growth Theory be applied to any country?

Indeed, Unified Growth Theory is a universal theory that applies to any country or region in the world. The “Wheels of Change” – the reinforcing interaction between technological progress and the size and composition of the human population – have been the universal forces governing the develop-

ment process in all regions. Nevertheless, the speed of the rotation of the “Wheels of Change” has varied significantly across societies due to differences in cultural, institutional, and geographical characteristics, colonial history, and population diversity. This has led to differential timing in the transition from stagnation to growth across the globe and the emergence of vast inequality in the wealth of nations.

Is humanity on the verge of an additional tipping point?

This is a fascinating question. It took Homo sapiens and the wheels of change nearly 300,000 years to reach a tipping point, where rapid shifts in the technological landscape required significant investment in education, leading to the momentous decline in fertility rates and, ultimately, freeing the growth process from the counterbalancing effect of population. This phase transition, which occurred over the past two centuries, enabled an astonishing 14-fold increase in income per capita and a doubling of life expectancy.

Indeed, it is not inconceivable that humanity is on the brink of another phase transition, in which the same wheels of change – the reinforcing interaction between the characteristics of the human population and Artificial Intelligence – will trigger waves of transformative technologies that could dramatically shape human prosperity.

Are you concerned about the impact of Artificial Intelligence (AI) on inequality?

AI technologies have the potential to significantly improve human life. They can automate routine tasks, enhance decision-making, and drive innovations, resulting in increased efficiency, productivity, and economic growth. Additionally, AI could enhance our well-being by personalizing healthcare, enriching educational experiences, and improving leisure activities.

Admittedly, AI technologies could exacerbate income inequality by benefiting those with complementary skills while displacing others. Nevertheless, prudent policies that equip individuals with adaptable skills, train displaced workers, address ethical concerns, and redistribute the substantial material gains from the implementation of AI technologies would enable AI to transform the quality of life universally.

What characteristics would enable humans to thrive in the competition with Artificial Intelligence?

Thriving in an environment of increasing competition with Artificial Intelligence will be a significant challenge. It will require two key transformations in the education system: (i) the development of adaptable, flexible skills that enable individuals to navigate a rapidly evolving technological landscape, and (ii) the cultivation of skills and values that harness the unique strengths of human intelligence over artificial intelligence – creativity, critical thinking, emotional intelligence, and an ethical perspective.

Are you optimistic about the future? Are humans capable of using innovation for the preservation of our species?

The journey of humanity over the past 300,000 years offers a hopeful perspective on our ability to flourish and overcome existential threats. As early as 12,000 years ago, when the human population surpassed the production capacity of hunter-gatherer societies, the threat of mass extinction sparked human ingenuity. This led to the domestication of plants and animals, the Agricultural Revolution, and a significant increase in agricultural yields, which helped avert societal collapse. In the mid-20th century, concerns about mass starvation and the planet's ability to sustain its growing population prompted the Green Revolution, achieving food self-sufficiency in many of the world's most populous societies. More recently, humanity responded swiftly to the COVID-19 pandemic, with the rapid development of mRNA-based vaccines alleviating its devastating consequences. The record of human ingenuity suggests that we can be confident in our ability to use innovation to contribute to the preservation of our species.

Are you more concerned about low fertility rates or environmental degradation?

Environmental degradation stands out as the greatest challenge humanity has faced, with denial, complacency, and inaction pushing us to the brink of catastrophe. However, I remain confident that humanity's remarkable record of ingenuity will allow us to avert these devastating effects – provided that stringent measures are implemented to accelerate the use of environmentally friendly technologies,

enforce strict carbon emission limits, and promote further fertility decline.

I view low fertility rates as integral to the compatibility of human prosperity with environmental preservation. The sharp decline in fertility rates over the past 150 years has been a key driver of the unprecedented improvement in living standards, freeing the development process from the counterbalancing effects of population growth while stimulating significant investment in education, women's labor force participation, and technological progress. Concerns that fertility decline, coupled with population aging, would drastically hinder economic growth are largely misplaced. Proper adjustments to the retirement age would allow the decline in fertility rates – along with its beneficial effects on education and women's workforce participation – to foster both economic prosperity and environmental preservation.

Thank you very much for sharing your valuable insights. It was a true pleasure speaking with you.

Thank you very much.



Winicjusz Schulz

Stefan Gierowski. W setną rocznicę urodzin

Znakomity abstrakcjonista, jeden z najwybitniejszych polskich malarzy XX wieku i przełomu wieku XXI należał także do społeczności akademickiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Toruński uniwersytet nadał mu bowiem godność *doctora honoris causa*. Stefan Gierowski, bo o nim mowa, był nie tylko cenionym artystą, ale i pedagogiem. 21 maja przypadła setna rocznica jego urodzin i z tej okazji toruńska uczelnia postanowiła wspólnie z placówkami muzealnymi naszego regionu upamiętnić jego dorobek artystyczny.

O przygotowaniach do tej nietuzinkowej ekspozycji, jej koncepcji, a także towarzyszącemu jej wydawnictwu obszernie pisaliśmy w poprzednim wydaniu „Głosu Uczelni”. Warto dodać, że wernisaż wystawy odbył się w toruńskim Muzeum Okręgowym (w Ratuszu Staromiejskim) dokładnie w dniu setnych urodzin Profesora. Ekspozycja stanowi także ważny element obchodów roku jubileuszowego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Będzie można ją zwiedzać do 12 października br.

Wernisażowi towarzyszyła promocja książki *Stefan Gierowski. W setną rocznicę urodzin* pod redakcją dr hab. Joanny Kucharzewskiej, prof. UMK i prof. dr. hab. Andrzeja Sokali, opublikowanej przez Wydawnictwo Naukowe UMK.

Zdjęcia: Andrzej Romański







Dotykanie nauki, przeżywanie sztuki

23. Toruński Festiwal Nauki i Sztuki odbył się w dniach 25–28 kwietnia. Jak pisaliśmy w poprzednim „Głosie”, w programie tegorocznego festiwalu, któremu przyświecało hasło „Punkty zwrotne”, znalazło się ponad 130 imprez: spotkań, prezentacji, wykładów, dyskusji, wycieczek, wystaw, warsztatów i konkursów pogrupowanych w 18 bloków w pięciu strefach rozlokowanych w różnych częściach Torunia.

Oto festiwalowe impresje w obiektywie naszego redakcyjnego kolegi Andrzeja Romańskiego. (win)





Które do indeksu?

Tak się bowiem dzieje najczęściej, że gdy ta czy inna redakcja zabiera się za sprawę rekrutacji na studia, w grę wchodzi dwa kryteria: na jaki kierunek jest najwięcej chętnych, na który kierunek jest największa liczba kandydatów na jedno miejsce. Tak powstaje większość rankingów. Postanowiłem zaproponować Państwu inne spojrzenie na temat rekrutacji, przy zastosowaniu innych kryteriów.

Wspominałem, że tematem zajmuję się co roku od bardzo dawna. To może nim przejdziemy do aktualności, trochę ciekawostek z przeszłości. Przynajmniej część z nich dla młodszych czytelników będzie dziwna, nielogiczna, czasem wręcz śmieszna. Ale tak było! Sporo się w tej materii z upływem czasu zmieniło. Na ogół na lepsze, co w praktyce znaczy bardziej sprawiedliwe.

Dawno, dawno temu przepustką na studia były między innymi wyniki matur, ale ocenianych w szkołach, do których uczeń uczęszczał. Nietrudno się domyślić, że nauczycielom niejednokrotnie włączał się tryb litości: „a co tam będę jej czy jemu szkodził,





niech się dostanie na te wymarzone studia”. I jak tylko można było oceny ciut zawyżano. Weryfikację finalną miały przynosić egzaminy wstępne już na samej uczelni. Były zatem uczelniane komisje egzaminacyjne, były wydziałowe. Do miejskich legend wypada zaliczyć opowieści o tym, kto kogo w takich komisjach znał i jakich argumentów (materiałnych) ponoć używano, by latorośl dostała się na wymarzone studia.

Ale to jeszcze nie koniec tego skomplikowanego systemu. Przez jakiś czas obowiązywała zasada typowania przez szkoły trzech uczniów (uczennic) z najlepszymi wynikami na studia bez egzaminów wstępnych – jedna osoba na dowolny kierunek, jedna na tzw. nauczycielski i jedna na tzw. deficytowy (absurd – gdzie o chętnych było trudno!).

I kolejne kuriozum: była jeszcze pula tzw. miejsc rektorskich (o ile dobrze pamiętam – nawet do pięciu procent na danym kierunku). No i jeszcze można było się odwołać od wyników egzaminów i rekrutacji. Teraz po latach przyznam, że argumentacja niektórych odwołań była moją ulubioną lekturą. Zdawała się być bowiem niekiedy istic... kabaretowa. Czym zatem próbowano zmieniać decyzje komisji egzaminacyjnych? Na przykład chwilową niedyspozycją kandydata, kandydatki. Biedactwo się rozchorowało, jest nieodporne na stres. Ale przekonano też, że nie można kogoś pozbawiać marzeń

o studiowaniu na takim czy innym kierunku. Bywały też argumenty... rodzinne. Dziadek był prawnikiem, ojciec, to i syn musi! To samo dotyczyło chociażby lekarzy – przecież ktoś musi odziedziczyć gabinet i pacjentów! I tak dalej. Czy argumenty takie skutkowały? Nie wiem. Nie śledziłem losów poszczególnych kandydatów. A przywołuję te osobiowości, by współczesnym uświadomić, że teraz jednak zapewne jest lepiej i sprawiedliwiej. Można jedynie czepiać się tego, że „goły” certyfikat niewiele mówi o człowieku. Są przecież takie zawody, które wymagają szczególnych predyspozycji, kompetencji miękkich, o których dokumenty maturalne milczą. Czy każdy z bardzo dobrymi wynikami na maturze powinien zostać na przykład lekarzem, prawnikiem, psychologiem, pedagogiem, weterynarzem? Pytanie retoryczne.

Ale pora już przejść do współczesności, żebyście Państwo nie doszli do pochopnego wniosku, że „Głos” dopadła choroba wielu internetowych portali: czytasz, czytasz i po wielu minutach najważniejszego dowiadujesz się z ostatniego zdania tekstu.

Może najpierw metodologia: trzeba dodać, że autorska i subiektywna. Nie będę brał pod uwagę, jak już zapowiedziałem, tego ilu kandydatów globalnie startuje na dany kierunek, ani też ile osób przypada na jedno miejsce. Te bowiem kryteria to pójście na łatwiznę i zaciemnianie obrazu. Wiadomo przecież, że znacznie więcej osób wybiera się na



ekonomię niż na filologię klasyczną. Wiadomo też, że bywają kierunki, na które przyjmuje się niewiele osób, ale postrzegane są jako ciekawe i, co często ważniejsze, łatwe i przyjemne w studiowaniu. Bę-

dzie tu zatem wielu chętnych, choć niekoniecznie ze świetnymi certyfikatami maturalnymi.

W tej sytuacji, szukając zarazem uniwersalnego kryterium, przyjąłem, że liczyć się będzie to, ile punktów rekrutacyjnych trzeba było mieć, by ostatecznie dostać się na wymarzony kierunek na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Sięgnąłem po dane udostępnione mi przez Dział Dydaktyki UMK. Świadom jestem tego, że mogą rodzić się wątpliwości, czy punkt punktowi równy. Powie ktoś: trudniej świetnie zdać biologię, chemię, fizykę czy matematykę, by dostać się na medycynę niż uzyskać wysokie punktację za język polski, historię, języki obce. Może! Ale to już byłby przedmiotowy... szowinizm, dzielenie kandydatów na lepszych „ściśłowców” i gorszych humanistów.

Zacznijmy od kampusu toruńskiego. Przez długi czas liderem była japonistyka. W roku 2022/23 trzeba było mieć 85,7 pkt., a rok później 83,26 pkt., by dobrać na niej indeks. W zeszłym roku japonistyka spadła na trzecie miejsce. Wstęp na nią dawał wynik 79,9 pkt. A kto stał się nowym liderem? Grafika! Aż



89,6 pkt., by w trzecim etapie się dostać (w pierwszym było to 90,8 pkt.). Miejsce drugie tym razem dla historii sztuki (83 pkt.).

Kto jeszcze w czołówce, uwzględniając wyniki ubiegłoroczne? Architektura wnętrz (76,89 pkt.), filologia angielska (75,7 pkt.), konserwacja i restauracja dzieł sztuki (73,4 pkt.), psychologia (68,3 pkt.), astronomia (63,7 pkt.), komunikacja i psychologia w biznesie (63,1 pkt.), lingwistyka stosowana – język włoski z arabskim lub czeskim lub hiszpańskim (61,6 pkt.), kulturoznawstwo – kultura Dalekiego Wschodu z językiem japońskim (58,5 pkt.), logistyka (58 pkt.), prawo – (57,8 pkt.).

Wśród powyższych kierunków są zarówno takie, na które rekrutacja odbywała się w trzech etapach, jak i takie, na które limity wypełniono już w pierwszym etapie (np. historia sztuki, astronomia).

W kampusie bydgoskim (jak można było się spodziewać) lideruje kierunek lekarski. 73,05 pkt. – tyle wynosił próg punktowy osób przyjętych w ubiegłym roku. Tuż za nim (i to też żadna niespodzianka) – kierunek lekarsko-dentystyczny (72,55 pkt.). Na farmację dostały się osoby mające wynik przynajmniej 50,4 pkt., na fizjoterapię – 49,8 pkt. To wszystko studia jednolite.

W klasyfikacji nie uwzględnialiśmy studiów drugiego stopnia, bo... zaciemniłoby to obraz. To przecież studia specyficzne, pozwalające kontynuować edukację. Na przykład na kierunku zdrowie pu-



bliczne trzeba było mieć aż 80 pkt., na wielu innych 70 pkt.

Oczywiście, trzeba mieć świadomość, że na niektórych kierunkach, na które organizuje nabór UMK, rywalizacja o indeksy szła na przysłowiowe „zyletki”, liczyły się setne punktu, sytuacja na listach zmieniała się jak kalejdoskopie. Były i takie kierunki, gdzie było spokojnie, także i takie, na których niemal każdy chętny mógł cieszyć się indeksem. I tak będzie zapewne w tym roku.

Zdjęcia: Andrzej Romański



Winicjusz Schulz

Kogo szukają?

Odwieczne pytanie do samych kandydatów na studia (zadają im je także pewnie ich rodzice): co będziesz robić po studiach? Czy czeka cię praca w wymarzonym zawodzie, czy po ciekawych studiach schowasz dyplom do szuflady i zajmiesz się czymś zupełnie innym, by zarobić na życie?

Może przyda się trochę podpowiedzi. Poniżej przedstawiam zestawienie najbardziej poszukiwanych zawodów, oparte na danych z raportów takich jak „Barometr Zawodów” oraz analiz ekspertów rynku pracy. Wyselekcjonowałem z tych danych zawody, do których przygotowują w mniejszym lub większym stopniu szkoły wyższe.

Zacznijmy od zawodów deficytowych, czyli takich, w których już teraz notowane są największe braki kadrowe. Po prostu liczba ofert pracy przewyższa liczbę dostępnych kandydatów. W 2024 roku w Polsce do tej grupy zaliczono m.in. takie profesje jak lekarze (szczególnie interniści, pediatrizy), pielęgniarki i położne, fizjoterapeuci, psychologowie, psychoterapeuci, opiekunowie osób starszych i niepełnosprawnych, nauczyciele przedszkoli, nauczyciele szkół specjalnych i oddziałów integracyjnych, na-

uczyciele przedmiotów zawodowych i praktycznej nauki zawodu, samodzielni księgowi.

Z kolei wśród zawodów przyszłości, których rosnące znaczenie będzie zauważalne już w najbliższych latach, eksperci wskazują takie jak: specjalista ds. sztucznej inteligencji (rozwój AI wpływa na wiele branż, zwiększając zapotrzebowanie na ekspertów w tej dziedzinie); analityk danych (w erze big data umiejętność analizy i interpretacji danych jest kluczowa dla wielu firm); inżynier robotyki (automatyzacja procesów produkcyjnych i usługowych zwiększa popyt na specjalistów od robotyki); specjalista cyberbezpieczeństwa (wzrost zagrożeń cyfrowych sprawia, że firmy poszukują ekspertów ds. bezpieczeństwa informacji); projektant odnawialnych źródeł energii (rosnące znaczenie ekologii i zrównoważonego rozwoju zwiększa zapotrzebowanie na specjalistów w tej dziedzinie); biotechnolog (postęp w medycynie i ochronie środowiska otwiera dla tej profesji nowe możliwości); logistyk (globalizacja handlu i rozwój e-commerce zwiększają znaczenie efektywnego zarządzania łańcuchem dostaw – w naszym rankingu kierunków na UMK logistyka plasuje się całkiem wysoko).

Wysoko oceniane są też szanse na dobrze płatną i ciekawą pracę dla takich osób jak: inżynierowie fintech (biegły w technologiach finansowych, takich jak blockchain i cyfrowe płatności), specjaliści ds. uczenia maszynowego, analitycy danych i naukowcy danych (kluczowi w analizie dużych zbiorów danych i wspieraniu decyzji biznesowych), programiści aplikacji i pełnego stosu (full-stack developers) – niezbędni w tworzeniu i utrzymaniu aplikacji internetowych. Rośnie także zapotrzebowanie na inżynierów chmury obliczeniowej (specjalistów od AWS, Azure i Google Cloud, wspierających migrację firm do chmur).

Transformacja energetyczna i troska o środowisko sprawiają, że bardzo potrzebni będą inżynierowie ds. energii odnawialnej (projektowanie i wdrażanie systemów solarnych, wiatrowych i hydroelektrycznych), specjaliści ds. pojazdów elektrycznych (rozwój i utrzymanie technologii), menedżerowie ds. zrównoważonego rozwoju (wdrażanie strategii ESG w firmach).





Na zdjęciu od lewej: kierujący projektem dr hab. Juliusz Raczkowski, prof. UMK, dr Jolanta Czuczko, dr Dorota Jutrzenka-Supryn, mgr Joanna Sroka

Fot. Andrzej Romański

Księga otoczona troską

Z badaczami i konserwatorami pelplińskiej Biblii Gutenberga rozmawia Ewa Walusiak-Bednarek

– Powiedźcie, proszę, jak doszło do tego, że nasz wspaniały Wydział Sztuk Pięknych miał możliwość coś tak niesamowitego robić?

Juliusz Raczkowski – Z Diecezją Pelplińską współpracujemy od 15 lat, przy różnych projektach związanych z obiektami, które są jej własnością. Pomysł na pracę nad Biblią Gutenberga wziął się stąd, że społeczeństwo zaczęło domagać się udostępnienia oryginału.

– Społeczeństwo zaczęło się domagać? To znaczy kto?

JR – Tzw. lokalna wspólnota patrymonialna. Po prostu ludzie z Pelplina, z Tczewa, z Kociewia, którzy pamiętali, że kiedyś mogli oglądać oryginał Biblii, a od ponad 20 lat oglądają tylko kopię, zaczęli pytać o oryginał. Gdy w Diecezji nastąpiły zmiany personalne, zaczęło się zastanawiać, czy powrót Biblii jest możliwy. Ona przez te 20 lat była w Muzeum, w szafie pancерnej.



Biblię Gutenberga wydano w nakładzie około stu osiemdziesięciu egzemplarzy. Biblia Pelplińska jest jednym z zaledwie siedemnastu na świecie egzemplarzy Biblii Gutenberga, które przetrwały do naszych czasów w obu tomach.

– Przez 20 lat przetrzymywano Biblię w szafie?

JR – Była pokazywana okazjonalnie. Wyciągano ją na kilka godzin i z powrotem trafiała do szafy. No więc pojechaliśmy do Pelplina i pokazano nam Biblię. Z obiektami zabytkowymi jest zwykle tak, że gdy się je ogląda z zewnątrz, to całkiem nieźle wyglądają jak na swoje kilkaset lat. Natomiast w przypadku pelplińskiej Biblii od razu było widać, że nie było jej w tej szafie dobrze. Zwłaszcza medium, na którym powstała, czyli papier – wyglądał źle, ale i oprawa miała spore uszkodzenia. Wówczas Biblia absolutnie nie nadawała się do ekspozycji. Mieliśmy świadomość, że ze względu na jej rangę, musimy przed konserwacją ją przebadać, sięgając po wszystkie obecnie dostępne – przede wszystkim – nieinwazyjne narzędzia i metody. Że musimy badać ją w sposób nieniszczący – od samego początku było dla nas wszystkich jasne. W naszym zespole świetnie się pracuje, bo wszyscy rozumiemy się bez słów. Pojawia się słowo *konserwacja*, to jest oczywiste, że tylko zachowawcza, z pakietem badawczo-naukowym.

Potem rozpisaliśmy projekt. Pozostawała kwestia środków finansowych na jego realizację. Uczelnia nie ma możliwości pozyskania pieniędzy na taki cel, z pewnością nie na konserwację i doposażenie pracowni konserwatorskiej w Bibliotece Diecezjalnej w Pelplinie, gdzie w zasadzie prawie wszystko się działo. Wymyśliliśmy więc, że wystartujemy do któregoś z projektów, ogłaszanych co roku przez różne fundacje Spółek Skarbu Państwa, które w swoich

statutach mają zapisy dotyczące dotowania projektów związanych z dziedzictwem kulturowym i nauką. Napisałem dla Diecezji Pelplińskiej dwa projekty do Fundacji Orlen Pomorza i do ówczesnej Fundacji PKO. No i się udało. Część środków dożyła Diecezja. Tak rozpoczęliśmy realizację projektu „Ratujemy Pelplińską Biblię Gutenberga”.

Od razu zakładaliśmy, że prace będą trwały kilka lat. Rozłożyliśmy je na etapy, po prostu dlatego, że sam obiekt tego wymagał. Badania Biblii trwały dobrze ponad rok, chociaż w jakimś momencie ich przeprowadzania zostały już włączone pewne zabiegi konserwatorskie.

Teraz jesteśmy na finiszu drugiego etapu projektu, części, która ma na celu upowszechnienie tego zabytku. No cóż! Mało kto wie, że rzecz tak bezcenna jest w polskich zbiorach, mało kto ma świadomość znaczenia, rangi i wartości tego zabytku. Dziś właśnie, 23 marca kończy się specjalny pokaz w najważniejszej galerii sztuki średniowiecznej w Polsce, czyli galerii w Muzeum Narodowym w Warszawie. Biblia była tam pokazywana sześć tygodni. Zorganizowanie tego nie było proste; Muzeum Diecezjalne w Pelplinie nie ma żadnego pracownika, Muzeum Narodowe w Warszawie ma ich koło pięciuset. Skoordinowanie działań nie było łatwe. Ale wszystko się udało! Mamy już też statystyki odwiedzin Biblii. Był to strzał w dziesiątkę. Tak zwane piki frekwencji poszły w górę, tylko Chełmoński ostatnio w MNW miał wyższe! W pierwszy weekend pokazu, w sobotę Biblię odwiedziło 1500 osób, w niedzielę – 1800. Średnio w tygodniu

6000 ludzi obejrzało naszą Biblię. To niezwykle ważne, że udało się upowszechnić świadomość wartości Biblii poza Kociewiem.

Zorganizowano też trzy wykłady towarzyszące pokazowi, których nagrania udostępniono na platformie streamingowej. Wygłosiłem pierwszy z nich. Po tygodniu miał 5700 wyświetleń. To niesamowite, ile osób zainteresowało się naszą Biblią. Teraz przechodzimy do kolejnego etapu – otwieramy w Pelplinie wystawę stałą „Wokół pelplińskiej Biblii Gutenberga”. Biblia jest jej osią, wokół fenomenu książki zbudowaliśmy narrację dotyczącą także samego tekstu Pisma Świętego i wynalazku Gutenberga. Na wystawie można zobaczyć kopię wynalazku, a także rozmaite wydania Biblii, w tym średniowieczne pocysterskie manuskrypty ze zbiorów Biblioteki Diecezjalnej w Pelplinie, XIX-wieczne wydanie Biblii w tłumaczeniu Jakuba Wujka ilustrowane 230 drzeworytami Paula Gustave’a Doré czy

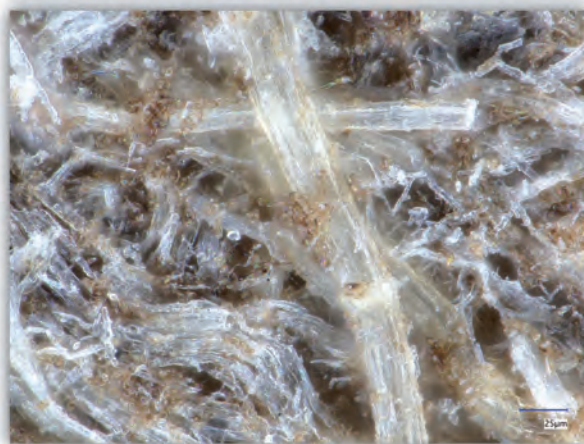
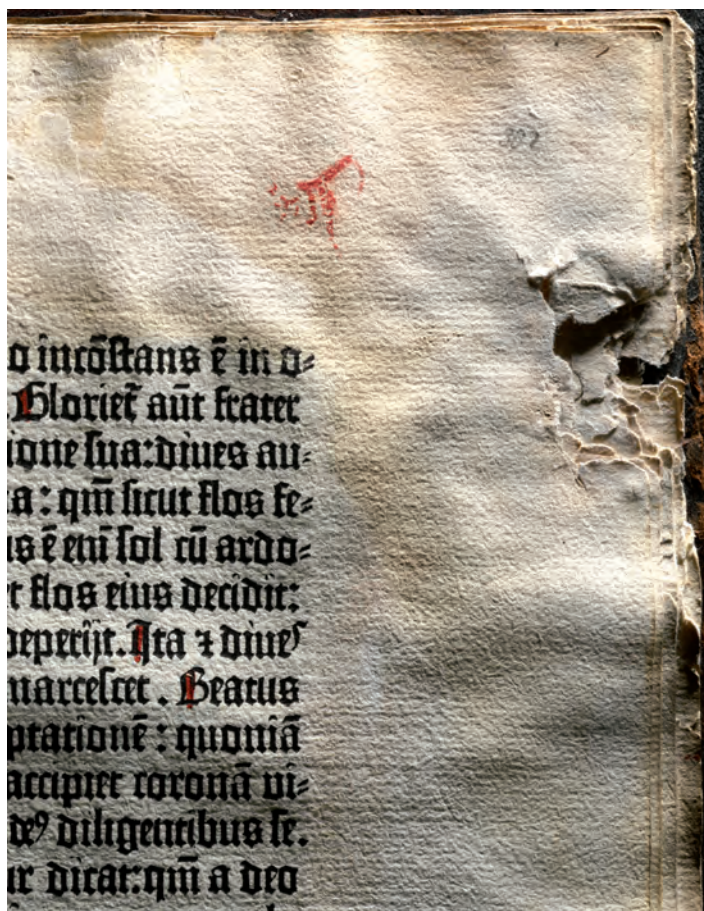
wydaną w tysiącach egzemplarzy Biblię Tysiąclecia i jej kieszonkowe wydanie. Biblia kieszonkowa to fenomen, ma 1300 stron, grubość jednej karty nie dochodzi do dwóch tysięcznych milimetra.

– Nazwa projektu „Ratujemy pelplińską Biblię Gutenberga” jednoznacznie sugeruje, że nie była ona w dobrym stanie.

Jolanta Czuczko – Najprościej można ująć to tak: jak zobaczyliśmy Biblię pierwszy raz, po wyjęciu z szafy panczernej, od razu pojawiło się pytanie o jej stan pod względem zagrożeń biologicznych, a w szczególności mikrobiologicznych. Wszystkie polimery naturalne, czyli w przypadku Biblii zarówno celuloza – podstawowy składnik papierowych kart i drewnianych okładek, jak i kolagen – główny składnik skózanego obleczenia oprawy, w sprzyjających warunkach mogą ulec szybko postępującej



Pierwsza karta pierwszego tomu Biblii Pelplińskiej, stan przed konserwacją-restauracją. Wszystkie zdobienia kart Biblii Gutenberga, zarówno rubrykowania, jak i inicjały filigranowe, mają formę tradycyjnych iluminacji i zostały wykonane odręcznie.



biodegradacji. Stąd już w pierwszym etapie działań staraliśmy się stwierdzić, czy elementy składowe księgi uległy uszkodzeniu w wyniku czynników mikrobiologicznych i czy są one nadal aktywne.

Po badaniach mikrobiologicznych, ale też po dalszych szeroko zakrojonych analizach i po rozpoznaniu techniki poszczególnych materiałów, ingerencji i elementów wtórnych, a także po poznaniu losów Biblii można powiedzieć, że generalnie oba woluminy przetrwały w stosunkowo dobrej kondycji. Oczywiście z pewnymi wyjątkami jak zabrudzone, starte i poprzerywane skórzane oprawy oraz w dużej części niemal zupełnie rozmyte rękopiśmienne rubryki, a także lokalnie uszkodzony na marginesach papier wielu kart w obu tomach Biblii. W każdym razie – nie była ona w tak tragicznym stanie zachowania, jak się spodziewaliśmy. Natomiast rzeczywiście od razu musieliśmy opracować koncepcję działań, które koniecznie trzeba podjąć, by przedłużyć trwałość, podnieść stabilność konstrukcji kodeksów, a jednocześnie zachować wszystkie pierwotne i historyczne składowe. A więc zarówno warstwę artystyczną – oprawy, bo one też są bardzo cenne, jak i zawartość; rękopiśmienną i oczywiście drukowaną. Ale także wszyst-

kie te elementy, które mogą być postrzegane jako pewne niedokładności, a nawet błędy, a obecnie dla nas stanowią bardzo istotne wskazówki do dalszego zgłębiania tajemnic warsztatu drukarskiego Gutenberga.

Pelpliński egzemplarz Biblii Gutenberga jest świetnym przykładem (udanej) próby wprowadzenia zupełnie nowej technologii, zupełnie nowego pomysłu na rozpowszechnianie tekstu. Pierwszy raz na przykład opracowywano tusz drukarski, farbę do wykorzystania z ruchomymi, metalowymi czcionkami. Przyjęliśmy, że skład tej farby będzie podobny do składu późniejszych farb drukarskich, w których z reguły jest żywica, olej lniany i sadza. A tu się okazało, że niekoniecznie.

Warstwa druku zachowała się w sposób fantastyczny. Naprawdę w niewielu książkach drukowanych, nawet w inkunabułach jest taka błyszcząca, czarna, niepopękana farba... Warsztat Gutenberga po prostu trafił w dziesiątkę, rozpoczynając produkcję w nowej technologii. W tej chwili jeszcze nie wiemy dokładnie, jakiej receptury drukarze użyli. Trzeba zaznaczyć, że w pracy z dziełami zabytkowymi, zwłaszcza tak cennymi musimy ograniczyć metody badawcze do analiz nieinwazyjnych.

– Nie możecie zeszkrobać farby.

JCz – Nie możemy. Z pewnością nie możemy pobrać dużej ilości materiału oryginalnego, która ułatwiłaby chemikom dokładne przeanalizowanie składu i proporcji komponentów. Można pobrać jedynie mikrop próbki, ale generalnie bazujemy na niszczących metodach, głównie różnych technikach obrazowania. Te z kolei są trudne w interpretacji i wymagają szerokiej bazy porównawczej, a niekiedy dalszych analiz komplementarnych.

– W jaki sposób można stwierdzić bez analizy próbek, czym jest dana substancja?

JCz – Właśnie ze względu na takie ograniczenia obecnie w badaniu obiektów dziedzictwa kulturowego wykorzystuje się zaawansowaną technologicznie aparaturę umożliwiającą przeprowadzenie analizy (np. składu pierwiastkowego) bezpośrednio na obiekcie bez pobierania próbki. Przy czym uzyskane wyniki są mniej precyzyjne, dostarczają głównie in-

formacji w zakresie jakościowym, a nie ilościowym, czyli możemy uzyskać odpowiedź na pytanie, jakie pierwiastki są obecne, ale nie na pytanie, w jakich dokładnie proporcjach. Ponadto analizy nie ułatwia fakt, iż rozpatrujemy głównie materiał organiczny. Dodatkowo aparatura musiała być mobilna. To była kolejna trudność, Biblię mogliśmy badać w zasadzie wyłącznie *in situ*. Podróżowała tylko raz. W wielkiej tajemnicy. Zaledwie kilka osób znało czas i miejsce akcji. Przyjechała do Torunia nad ranem.

– Legalnie?

JR – Bardzo legalnie. W „towarzystwie” kontrterrorystów, we współpracy z Wojewódzką Komendą Policji z Gdańska. Blok Szpitala Miejskiego na Batoiego zamknięto, od godziny piątej nieczynny był parter skrzydła B. Szpital ma doskonałą pracownię obrazowania. Pierwszy obiekt zabytkowy włożyłem tu do tomografu w roku 2012. Mamy więc wprawę, poza tym pracownicy Szpitala znają nasze oczekiwania. Biblii w konwoju towarzyszył ksiądz



Dyrektor Muzeum oraz ksiądz Ekonom Diecezji z Pelplina. Po przyjeździe do Torunia powiedzieli, że nigdy jeszcze tak szybko nie dotarli na miejsce. Cała operacja, a więc podróż w obie strony wraz z badaniem, zajęła koło pięciu godzin. Niewiele, prawda?

- Co taki tomograf może nam o Biblii powiedzieć?

Dorota Jutrzenka-Supryn – Pokazuje jej budowę techniczną w sposób absolutnie nieniszczący oraz stan zachowania niewidocznych elementów bloku księgi. Technika tomografii pozwala nam obejrzeć Biblię jako przedmiot trójwymiarowy. Oczywiście dotychczas największe zainteresowanie skupiało się na tekście Biblii. Natomiast my, jako konserwatorzy, jako osoby, które muszą zadbać o to, żeby przetrwała materia zabytkowa, najbardziej jesteśmy zainteresowani wszystkimi detalami w aspekcie materialnym. Nie mogliśmy Biblii dotykać, nie mogliśmy demontować jej elementów. Tomografia komputerowa pozwoliła nam uczynić to wirtualnie. Obejrzeć ją właśnie jako pełen trójwymiarowy artefakt, obserwować obrazy milimetr po milimetrze. Pozwoliła nam dokładnie ustalić, jakie jest umiejscowienie składowych konstrukcji książki, a więc jakie jest umiejscowienie zwięzów, czyli sznurów, na które zostały zszyte składki bloku, a także w jaki sposób

przeprowadzono te sznury przez otwory w oprawie, czyli poznać sposób zawieszenia bloku. Tomografia komputerowa pozwoliła nam również dostrzec wszelkie nieregularności w drewnie oprawy, a także ustalić ułożenie kołeczków, którymi kołkowano zwięzy w otworach. Kołki te są niemożliwe do zaobserwowania bez tomografu, oczywiście wtedy, gdy nie chcemy zabytku demontować.

- Muszę dopytać o te kołeczki. Myślałam, że księgi są po prostu zszywane. Biblia ma poza tym jakieś drewniane elementy?

DJS – Tak. Sam blok jest rzeczywiście zszyty niciami. Nici przyszywają blok do zwięzów sznurkowych. Żeby zabezpieczyć blok oprawą, trzeba w jakiś sposób zamocować te drewniane, ciężkie przecież okładziny do bloku. Każda z okładek w części przegrzbiutowej ma otwory, przez które przewleczono te sznurkowe zwięzy. Natomiast po to, żeby się one nie wywlekały, ustabilizowano je drewnianymi kołeczkami. To wszystko możemy zobaczyć dzięki tomografii, ale także dzięki obrazowi rentgenowskiemu. Znamy umiejscowienie otworów w oprawach. Wiemy, że umiejscowienie to jest regularne, a otwory wykonane są starannie. Wiemy, jaki jest rozmiar kołeczków; mają średnicę 5–6 mm, długość około 9 mm. Poznaliśmy więc dokładnie technikę wykonania księgi, ale jesteśmy również w stanie ocenić, na ile cała konstrukcja jest stabilna. Oprawa została bardzo rzetelnie wykonana, przy tym użyto materiałów bardzo dobrej jakości. Precyzja wykonania oprawy świadczy o wysokim kunszcie. To jest wspaniałe rzemiosło.

W następnym numerze „Głosu” znajdą Państwo drugą część rozmowy. O badaniach, konserwacji i historii Biblii pelplińskiej można przeczytać także na naszym portalu:

https://portal.umk.pl/pl/article/drugie-zycie-pierwszej-ksiegi?utm_source=umk.pl&utm_medium=news&utm_campaign=drugie-zycie-2684

Link do strony projektu <https://bibliagutenberga.diecezja-pelplin.pl/projekt/o-projekcie/>

Zdjęcia nadesłane (poza zdjęciem uczestników projektu).



Anna Supruniuk, Mirosław A. Supruniuk

Niebezpieczne Wilno, czyli zaRDZAwiały Uniwersytet

Od początku 1947 r. wilnianin, zastępca profesora na Wydziale Prawno-Ekonomicznym UMK Witold Reiss, wysyłał do władz wojewódzkich partii co-miesięczne sprawozdania na temat upartyjniienia toruńskiej uczelni. Sugerował, by „nowe nominacje, przyjęcia i zwolnienia profesorów, zastępców profesorów, docentów, adiunktów, asystentów, personelu administracyjnego oraz niższego”, bezwzględnie musiałyby wcześniej zostać zaopiniowane przez członków partii.

W listopadzie 1948 r., przed zjazdem zjednoczonym PPR i Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), na 86 profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych za-

trudnionych na UMK tylko jeden profesor (W. Reiss) należał do PPR, a z 300 pomocniczych sił naukowych jedynie 2% było członkami partii.

Komitet Uczelniany (KU) PPR i służby specjalne dostrzegały, że „obok profesorów biernych politycznie istnieje w gronie profesorskim grupa zdecydowanie negatywnie ustosunkowana do Polski Ludowej, skupiająca się dokoła prof. Konrada Górskiego, których działalność jest szczególnie niebezpieczna i szkodliwa”. W sprawozdaniach szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Toruniu zapisano, że „Na Wydziale [Matematyczno-Przyrodniczym] do najbardziej reakcyjnych profesorów zalicza się jeszcze prof. prof. [Edwarda]



Studenci UMK w pochodzie pierwszomajowym na Rynku Staromiejskim, Toruń, 1 maja 1947 r. (fot. Alojzy Czarnecki, z zasobów Archiwum Państwowego w Toruniu)



Tadeusz Czeżowski, filozof, profesor i współorganizator UMK (fot. z zasobu Archiwum UMK)



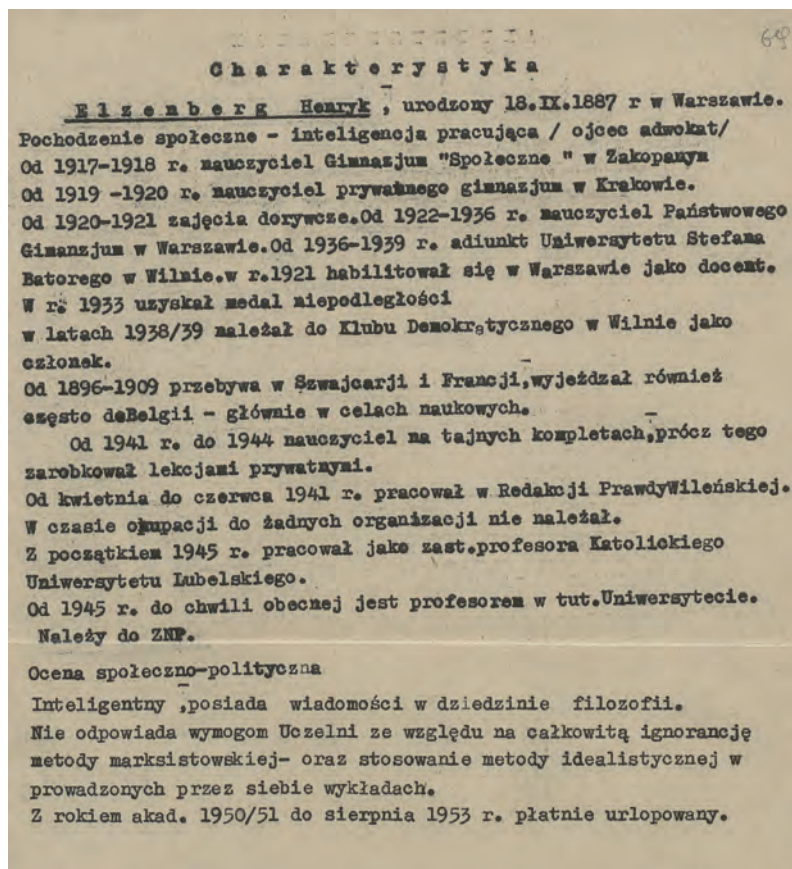
Henryk Elzenberg, filozof, profesor USB i UMK (fot. z zasobu Archiwum UMK)

Passendorfera, [Jana] Prüffera i [Aleksandra] Jabłońskiego. Oni właśnie występują przeciwko opiniowaniu nowych asystentów przez partię. [...] Profesorowie UMK w kolosalnej większości byli wrogo ustosunkowani do Kongresu Zjednoczeniowego wraz z rektorem na czele”. I dalej: „Na ogół [...] decydujący głos mają jeszcze dotychczas profesorowie reakcyjni, którzy są najczęściej Wilnianami”.

Nie jest już żadną tajemnicą, że Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego [WUBP] w Bydgoszczy, któremu podlegały sprawy wszelkiego antypaństwowego charakteru także w Toruniu, w sposób szczególny interesował się Uniwersyteciem Mikołaja Kopernika od początków jego powstania i czynił starania, by kontrolować pracę uczonych, ale też ich poglądy, kontakty ze studentami i wszelkiego rodzaju działalność pozauniwersytecką. Agencja na UMK nie była specjalnie liczna; od czterech do sześciu tajnych współpracowników (t.w.) na przełomie lat 1940./1950. mogło jednak liczyć na wielką liczbę „informatorów”, zwykłych donosicieli i towarzyszy partyjnych, werbowanych wśród studentów, administracji i młodych pracowników naukowych. A kiedy rzecz wymagała „specjalnych zabiegów” zawsze można było oddelegować agenturę „z miasta”.

Nie sposób nie zauważyć, że pracownicy UMK „sami byli sobie winni”. Pielęgnowana przez wilnian narracja, że UMK jest „Uniwersytetem Wileńskim na Obczyźnie”, powodowała, że uczeni ze Lwowa i innych ośrodków byli w pierwszym okresie odsuwani od wpływu na zarządzanie uniwersytetu i obsadę kierowniczych stanowisk, a to budziło zazdrość i nieporozumienia. Wilno poznało okupację sowiecką sześć lat wcześniej niż Toruń i było odporniejsze. Gdy w akcji „Leśni” UB rozprawiło się ze studentami, w dużej części z kresów, którzy należeli do zbrojnego podziemia AK-owskiego, gdy policzono przesiedleńców z Wilna i okolic w ramach operacji „Kino”, oraz odmówiono z powodu wieku najstarszym uczonym prawa do *veniae aetatis*, likwidując katedry, co w konsekwencji spowodowało, że z UMK odeszło wielu młodych uczonych pochodzących z kresów... przyszła kolej na profesorów „w sile wieku”. W roku 1947 lub 1948 założono sprawy o kryptonimach „RDZA”, „HUMANISTA” i „NAUKOWCY”. Pierwsza dotyczyła prof. Konrada Górskiego i osób związanych z Uniwersyteciem Stefana Batorego, takich jak Henryk Elzenberg, Tadeusz Czeżowski, Jan Prüffer i Maria Znamierowska-Prüfferowa; druga – prof. Karola Górskiego, prof. Jadwigi Lechickiej i środowisk katolickich. Trzecia, która objęła m.in. prof. Henryka Szarskiego, oraz lektorów: Józefa Szczepkowskiego,

Adele Styczyńską, Annę Rostworowską i innych, dotyczyła znajomości języka angielskiego i kontaktów z osobami spoza Polski. Uczeń i ich rodziny byli inwigilowani, kontrolowani przez pracowników i informatorów UB, a praca operacyjna WUBP polegała na stałym werbunku donosicieli, głównie wśród studentów i pracowników, kolegów z UMK, którzy mogliby dostarczać informacji na temat poglądów profesorów, ich wypowiedzi, osób, z którym się spotykali, lektur, które polecali, i wszelkich kontaktów krajowych i zagranicznych. Czytano ich korespondencje, robiono im zdjęcia, najpewniej również nagrywano wykłady; śledzono ich na terenie uniwersytetu, na wakacjach, u lekarza i na cmentarzu. Wymagało to wielkiej liczby agentów i donosicieli. Werbunek nie zawsze jednak kończył się powodzeniem. W styczniu 1952 r. w sprawozdaniu z „pracy Sekcji VI-ej, Wydz. V-go WUBP w Bydgoszczy”, czytamy, że „Sekcja VI-ta w okresie sprawozdawczym przeprowadziła werbunek prof. Turskiej Haliny, który jednak nie doszedł do skutku ze względu na kategoryczną odmowę kandydata”. Nie zniechęciło to funkcjonariuszy, bo w kolejnym zdaniu napisali: „Do sprawy RDZA obecnie zostanie nakreślony szczegółowy plan rozpracowania z uwzględnieniem użycia agentury Wydz. I-go, Wydz. III-go i inf. „J” będącego w kontakcie Szefa tut. Urzędu. W najbliższych dniach zostaną przeprowadzone dwa werbunki pod prof. Górskiego i Elzenberga”. Kiedy UB dowiedział się, że prof. Henryk Elzenberg ma zajęcia na Uniwersytecie Poznańskim, dokąd dojeżdża, zatrzymując się u kompozytora Tadeusza Szeligowskiego, „który jest także w kontakcie z prof. Górskim”, zdecydowano wysłać pismo do WUBP w Poznaniu, by prof. Elzenberga „wzięto w opracowanie”. Sprawozdawca WUBP żalił się w dokumencie, że planowane werbunki „o których podawaliśmy w poprzednim sprawozdaniu nie doszły do skutku, ponieważ aktorka która została przez nas opracowana jako agentka domowa u GÓRSKIEGO zmieniła miejsce zamieszkania”. W sprawozdaniu z marca 1952 ten sam oficer UB (*nomina sunt odiosa*), podawał z wyraźnym triumfem: „Dokonano werbunku ps. Piotruś do sprawy RDZA zgodnie z nakreślonym uprzednio planem do tejże sprawy. Inf. Piotruś utrzymuje bliższy kontakt z prof. Górskim Konradem i prof. Elzenbergiem, oraz innymi osobami ze środowiska wileńskiego, które pracuje na UMK w Toruniu [...] W trakcie werbunku i przeprowadzonej okolicznościowej rozmowy stwierdzono, że nowo zwербowany inf. Piotruś utrzymuje systematyczny kontakt z prof. Górskim



Teczka kadrowa prof. Henryka Elzenberga — charakterystyka, sygn. K-8/131 (fot. z zasobu Archiwum UMK)

przez wykłady, jakie prowadzi tenże dla pracowników teatru toruńskiego, oraz u wymienionego cieszy się zaufaniem [...] Zwербowany przez nas w okresie sprawozdawczym inf. os. Halina po obiekcie Teatru Ziemi Pomorskiej utrzymuje bliższy kontakt z rodziną Węławskich zam. w Toruniu ul. Mickiewicza 60 m. 10., a ci z kolei wywodzą się ze środowiska wileńskiego. Do Węławskich na zebrania Pomorskiego Towarzystwa Muzycznego przychodzą między innymi prof. UMK Toruń: Górski Konrad i prof. Elzenberg. Dla głębszego rozpracowania sprawy opracowano wspólnie z Wydz. III-cim tut. Urzędu plan pracy dla agentury tegoż Wydziału tkwić w środowiskach wileńskich na terenie Torunia”.

Kiedy zmarła córka prof. T. Czeżowskiego (studowała we Wrocławiu), agentura i t.w. odnotowali, że odwiedzili „figuranta” (w ten sposób określano osoby, które śledzono i rozpracowywano) jacyś ludzie w czasie pogrzebu. „[...] w czasie odbywającego się pogrzebu córki prof. Czeżowskiego brało udział szereg osobistości. Natomiast prof. Czeżowski jako ojciec nie brał udziału w pogrzebie, tłumacząc się, że jest chory na wylew krwi w żołądku. W czasie idą-



Aleksander Jabłoński, fizyk, profesor USB i UMK, twórca toruńskiej szkoły fizycznej (fot. z zasobu Archiwum UMK)

cego konduktu żałobnego na cmentarz do mieszkania prof. Czeżowskiego weszło 5 względnie 6 osób, a między innymi dr [...] [Gustaw] Foss, natomiast pozostałe osoby nie były z Torunia. Jak informuje nas Rudkiewiczowa [mowa o Longinie Rutkiewicz przez 1939 r. studentce WH USB] to w przeddzień

pogrzebu prof. Czeżowski był zdrowy, a potem był widziany oknem jak chodził po mieszkaniu w czasie tej narady osób, które nie brały udziału w pogrzebie. W związku z powyższym zachodzi podejrzenie, że wykorzystujący pretekst pogrzebu mógł się odbyć zjazd w mieszkaniu prof. Czeżowskiego”.

W kwietniu 1952 r. w sprawie pod kryptonimem RDZA otrzymano nowe informacje od informatora *Iskra*. Donosił on o powiązaniach prof. Konrada Górskiego z profesorem Władysławem Kuraszkiewiczem z Poznania i Tadeuszem Lehrem-Spławinińskim z Krakowa. Obaj byli wybitnymi językoznawcami. *Iskra* informował: „Znamienna jest konferencja słownikowa, jaka odbyła się 21 i 22 kwietnia 1952 r w Poznaniu, gdzie jaskrawo uwidoczniły się powiązania reakcyjnej profesury i wzajemne popieranie. [...] na konferencji miały być rozpatrywane prace profesora Konrada Górskiego. Profesor [Witold] Taszycki z Krakowa otrzymał telefon od profesora Kuraszkiewicza z Uniwersytetu Poznańskiego, by pobłażliwie potraktował prace K[onrada] Górskiego i nie pozwolił robić na niego nagonki ze strony innych profesorów a między innymi i prof. Hrabca z Torunia [mowa o dr. Stefanie Hrabcu, z-cy profesora]. Poza tym, prof. Kuraszkiewicz zwrócił uwagę prof. Hrabcowi, by nie występował przeciwko Górskiemu przed habilitacją”. W sprawie RDZY informował także nowy nabytek UB – *Piotruś*: „W dniu 6.IV.52 odbył się w gmachu teatru, po wieczorowym przedstawieniu, koncert, na którym obecni byli przede wszyst-



Konferencja w Collegium Maximum UMK poświęcona realizacji planu 6-letniego, Toruń, po 1950 r. (fot. Alojzy Czarnecki, fot. z zasobu Archiwum UMK)

kim profesorowie UMK z żonami. Powyższy koncert był zorganizowany wyłącznie dla tego szczupłego grona. Obecnie dla tejże elity ma być wystawiona recytacja *Promethidiona* – Norwida w Sali Muzeum. Do publicznej wiadomości tego nie podaje się, ze względu na dobrane towarzystwo. Aktorzy zwracali uwagę [Tadeuszowi] Byrskiemu [dyrektorowi Teatru Ziemi Pomorskiej] na treść *Promethidiona*, że może cenzura nie zgodzić się. Byrski oświadczył, że cenzor w Toruniu jest jego znajomym, więc się załatwi. Powyższe świadczy o wykorzystywaniu teatru przez wrogie elementy i spaczanie jego właściwej linii”.

Naturalnie, pracowników WUBP interesowało na Uniwersytecie nie tylko środowisko wileńskie. W „Charakterystyce obiektu U.M.K. za okres od dn. 1.I.1952 do dnia 31.3.52 r.”, czytamy, że „Ujawniono fakty i formy wrogiej działalności na obiekcie”, które uzyskano od inf. ps. *Iskra*: „otóż w dnia 15.I.1952 r. na posiedzeniu senatu zapadła uchwała o zniesieniu studiów trzyletnich, a zalecająca prowadzenie studiów 4-letnich. Wniosek postawił dr [Adam] Dygdała, który był niewątpliwie inspirowany przez prof. [Ludwika] Kolankowskiego i wyjątkowo na to zebranie przybył. Wniosek Dygdały poparła docent [Jadwiga] Lechicka”.

Wszelako i ten, zgoda ogólnouniwersytecki postulat, miał w oczach i opinii WUBP. „wileńskie” kożenie, a to za sprawą wicedyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej, dr Marii Puciatowej. Na zebraniach uniwersyteckiej egzekutywy Polskiej Zjednoczonej Patrii Robotniczej dyskutowano sprawy studiów drugiego stopnia. Dwoje członków egzekutywy: Puciatowa i Dygdała domagało się, by zarządzanie studiami 2-go stopnia przydzielić b. rektorowi Ludwikowi Kolankowskiemu, utracając w ten sposób prof. [Witolda] Łukasiewicza [wł. Łukasiewicz – sprawozdania z pewną nonszalancją przekręcają nazwisko przyszłego rektora]. Towarzysz dr Jan Krupowicz „mafijnymi metodami zmanipulował” datę zebrania przedwyborczego KU PZPR, przejmując kontrolę nad zebranymi i oświadczając, że „partia musi być przygotowana na takie pytania, które będą niewątpliwie na zebraniu wyborczym, tj. dlaczego z UMK tak mało weszło członków do Polskiej Akademii Nauk? Dlaczego przy sprowadzaniu pamiątek po Koperniku ze Zw. Radzieckiego nie było przedstawicieli UMK? Dlaczego na sekcji historii w UMK nie stworzono studium drugiego stopnia?” Informator UB konstatawał: „Powyższe pytania niewątpliwie nie były wymysłem dyrektora Krupowicza, a interesują one wileńską profesurę, dlatego że ich



Karol Górski, historyk-mediewista, profesor UMK, badacz dziejów zakonu krzyżackiego i religijności (fot. z zasobu Archiwum UMK)

w tym pominięto, więc chcą wysondować w ten sposób przyczynę. [...] obecnie dr Puciatowa stara się o katedrę, ponieważ chce zostać pro-rektorem, gdyż obecny rektor [Leon] Kurowski jest wybrany tylko



Jan i Maria Prüfferowie, profesorowie UMK (fot. z zasobu Archiwum UMK)



Antoni Basiński, chemik, profesor i rektor UMK (1952–1956, fot. z zasobu Archiwum UMK)

na rok, więc na przyszłego rektora koła wileńskie typują prof. [Jana] Prüffera. Jeśli zostałby rektorem obecny prorektor [Witold] Zacharewicz, więc dla elementów wileńskich dr Puciatowa byłaby dogodną kandydaturą na prorektora”.

Wypada wspomnieć, że były rektor K[arol] Koranyi w rozmowie 25 stycznia 1952 r. z informatorem ps. *Iskra* miał oświadczyć, że „[...] linia rozwojowa

UMK idzie w kierunku stworzenia »emigracyjnego Uniwersytetu Wileńskiego«. Rektor [L. Kurowski], prorektor [Witold Zacharewicz], prodziekan wydziału matematyki, fizyki i chemii [Leon Jeśmanowicz], prodziekan wydziału biologii i nauk o ziemi [Wincenty Okołowicz], dziekan [Stefan Narębski] i prodziekan [Jerzy Hoppen] wydziału sztuk pięknych są Wilniakami [...]”. Piękny list proskrypcyjny.

Z akt WUBP wynika, że szczególną rolę w „zwalczeniu” wileńskich korzeni UMK odgrywał prof. Witold Łukaszewicz. Rezydent UB na UMK ps. *Włodzimierz* donosił w sierpniu 1952 roku, że w rozmowie z prof. Łukaszewiczem dowiedział się kilku faktów odnośnie Puciatowej: „Puciatowa do roku 1939 była asystentką na USB w Wilnie prof. [Stanisława] Kościakowskiego, który obecnie przebywa gdzieś na Bliskim Wschodzie [inf. ta była nieaktualna: Kościakowski w 1950 r. opuścił Bejrut i przybył do Londynu]. Znajomość natomiast Turskiej z viceministrem [Eugenią] Krasowską wynika z tego, iż obie były asystentkami na Wydz. Humanistycznym USB do 1939 r. [...] Na rektora przez KW PZPR w Bydgoszczy był typowany obecny prorektor Zacharewicz a na prorektora prof. [Stanisław] Hoszowski, jednak nominację na rektora otrzymał prof. Basiński Antoni bez żadnego porozumienia się z KW. Z tego wynika, że Ministerstwo Szkół Wyższych z opinią Kom. Woj. w ogóle się nie liczy i wszystkie wyższe stanowiska są obsadzane przez środowisko wilnian – byłych profesorów USB”.

Niewiele brakowało, by ofiarą antywileńskiej obsesji stał się Wydział Sztuk Pięknych w całości prowadzony przez artystów z Wilna, na którym jak zaznaczano w raportach t.w. UB „[...] nie ma słuchaczy, którzy by należeli do jakiejś organizacji młodzieżowej. Jest to Wydział skupiska wyższej inteligencji i reakcji”. Zabiegi podejmowane, by zachować ten fakultet odbywały się w atmosferze donosów i ataków na „wileńską klikę profesorów”, zmuszanych do rezygnacji ze wszelkich stanowisk kierowniczych.

I, oby rzecz o niebezpiecznym Wilnie zakończyć, dodajmy jeszcze informację o osobie, w której nazwisku jak w soczewce skupiała się historia obu uniwersytetów. Nazywała się Julia Zanówna. Była wnuczką Tomasza Zana filarety i filomaty, najbliższego przyjaciela Adama Mickiewicza. Przed wojną pracowała w sekretariacie rektora USB. Gdy przyjechała do Torunia miała już 56 lat. Od razu została zaangażowana do pracy przy organizacji UMK. W kwietniu 1952 r., w sprawozdaniu WUBP znalazło się zawiadomienie:



Akademia żałobna po śmierci Józefa Stalina w Auli Collegium Maximum UMK — warta z udziałem prof. prof. Witolda Zacharewicza i Bronisława Nadolskiego, Toruń, 6 marca 1953 r. (fot. Alojzy Czarnecki, fot. z zasobu Archiwum UMK)

„PUBP Toruń podaje że kilkunastoletnia pracownica USB, a obecnie UMK Zanowa [wł. Zanówna] ma szereg kontaktów z osobami z UMK, a między innymi z prof. Czeżowskim. Według oświadczenia kier. Referatu Kadr tow. [Ireny] Wilczakowej, to Zanowa pracująca z polecenia rekt. jako sekretarka w administracji, przegląda wszelką korespondencję. Potajemnie otwiera niektóre listy i te listy giną. Biorąc powyższe pod uwagę – PUBP w Toruniu poddał ją większej obserwacji agentury”.

Sprawa pod kryptonimem RDZA nie zakończyła się z końcem stalinizmu. Inwigilacja prof. Konrada Górskiego nasiliła się w roku 1958, a w 1960 nadano jej nowy kierunek, obejmując wszystkie osoby, z którymi się stykał w KIK oraz powołanym na UMK oddziale Polskiego Towarzystwa Popierania Współpracy Naukowej z Francją. Do sprawy zwerbowano wówczas informatora ps. *Aleksander*, zatrudnionego na UMK: „Sam informator w okresie okupacji udzielał pomocy na terenie Wilna w organizacji podziemnej i wypełniał czynności skrzynki kontaktowej dla Delegatury Rządu Londyńskiego. Cieszy się dużym zaufaniem w środowisku wileńskim, z którego się wywodzi. Ma możliwość rozeznania osób utrzymujących kontakty z przedstawicielami placówek dyplomatycznych państw kapitalistycznych, zatrudnionych na Uniwersyte-

cie Mikołaja Kopernika, a utrzymujących kontakty z pracownikami Brytyjskiej Ambasady. Do współpracy ustosunkowany jest na ogół chętnie”.

Dr hab. Anna Supruniuk — Archiwum UMK

Dr hab. Mirosław A. Supruniuk — Archiwum Emigracji UMK, Muzeum UMK



Trybuna honorowa przed Domem Studenckim nr 1 podczas obchodów „Święta Pracy”, Toruń, 1 maja 1953 r. (fot. Alojzy Czarnecki, z zasobów Archiwum Państwowego w Toruniu)



Leon Kurowski, profesor i rektor UMK (1951–1952, fot. Alojzy Czarnecki, z zasobu Archiwum UMK)



Pracownicy UMK w pochodzie pierwszomajowym przed budynkiem Collegium Maius przystrojonym portretem Bolesława Bieruta, 1 maja 1954 r. (fot. Jerzy Serczyk, z zasobu Archiwum UMK).



III OGÓLNOPOLSKA KONFERENCJA NAUKOWA PRZEOBRAŻENIA WSPÓŁCZESNEJ RODZINY PROBLEMY PRAWNE I UWARUNKOWANIA SPOŁECZNE

TORUŃ, 15-16 MAJA 2025 R.



Tomasz Justyński, Ewa Kabza

Prawo i rodzina

15 maja br. z okazji Międzynarodowego Dnia Rodziny (ustanowionego przez Zgromadzenie Ogólne ONZ już 20 września 1993 r. – rezolucja nr 47/237) do Torunia zjechali i przez dwa dni obradowali eksperci prawa rodzinnego i spadkowego z całego kraju.

Odbyła się trzecia już edycja Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej organizowanej przez Katedrę Prawa Cywilnego WPiA UMK (kierowaną przez prof. UMK dr. hab. Tomasza Justyńskiego LL.M.). Jej hasłem były „Przeobrażenia współczes-

nej rodziny – potrzeby prawne i uwarunkowania społeczne”.

Celem była interdyscyplinarna debata o zmianach zachodzących w rodzinie. Stąd do udziału zaproszeni zostali nie tylko (choć przede wszystkim) prawnicy, ale także psychologowie, socjologowie, pedagodzy, ekonomiści oraz przedstawiciele innych dyscyplin; spotkali się zarówno wybitni teoretycy prawa, jak i znakomici praktycy.

Inicjatywa cieszyła się wsparciem centralnych organów Państwa zajmujących się rodziną i prawem rodzinnym. Życzenia owocnych obrad

nadeszły z Ministerstwa Sprawiedliwości (od Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości – Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz) oraz od Przewodniczącej Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Rodzinnego – prof. Magdaleny Szafranek.

W konferencji wzięli udział przedstawiciele 22 ośrodków akademickich i organizacji; obradowali reprezentanci Ministerstwa Sprawiedliwości, Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Rodzinnego, Państwowej Komisji do spraw przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15, Izby Notarialnej w Krakowie, Izby Notarialnej w Gdańsku, Izby Adwokackiej w Warszawie, Stowarzyszenia Mediatorów Rodzinnych, Centrum Badań nad Prawem Dotyczącym Rodziny Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk, Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości, Palestry toruńskiej, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Szczecińskiego, Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Uniwersytetu Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Akademii Wymiaru Sprawiedliwości w Warszawie, Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie oraz przedstawiciele UMK w Toruniu.

Spektrum analizowanych zagadnień było prawdziwie imponujące. Wystąpienia 31 referatów podzielone zostały na sześć eksperckich paneli tematycznych.

Podobnie jak w ubiegłym roku organizatorzy zaproponowali również wyodrębnienie specjalnej Sesji Młodych Badaczy. Dała ona szansę zaprezentowania wyników badań wyróżniającym się studentom i doktorantom. W tej edycji Rada Programowa wybrała trzy najlepsze propozycje studentów. Prezentowały one bardzo wysoki poziom merytoryczny, co pozwala z nadzieją patrzeć na kontynuację i dalszy rozwój doktryny prawa rodzinnego.

Absolutne *novum* stanowiła natomiast sesja posterowa. Z inicjatywy prof. Tomasza Justyńskiego idea graficznego przedstawiania problemów badawczych, powszechnie przyjęta w naukach ścisłych, została – z sukcesem – przeniesiona na grunt nauk prawnych. Zaprezentowane zostały plakaty

dotyczące szczególnie aktualnych problemów prawa rodzinnego, a sześciuosobowa komisja konkursowa dokonała ich ewaluacji (uwzględniając aktualność problemu badawczego, jego merytoryczną treść oraz także walory graficzne). Najwyżej oceniono pracę studenta IV roku prawa z UMK Szymona Cysewskiego dotyczącą transseksualizmu i transrodzicielstwa (I miejsce; nagrodę pieniężną w kwocie 800 zł ufundowała Izba Notarialna w Krakowie). Drugie miejsce zajął Michał Poczwadowski (V rok prawa UMK), który zaprezentował plakat na temat umownej adopcji (przypadła mu nagroda pieniężna w kwocie 600 zł ufundowana przez Izbę Notarialną w Gdańsku). Trzecie miejsce zajął Łukasz Wilga (IV rok prawa UMK), który przedstawił prawnokarną ochronę rodziny (otrzymał nagrodę pieniężną w kwocie 400 zł ufundowaną przez Izbę Notarialną w Gdańsku). Wszyscy zwycięzcy otrzymali nadto nagrody książkowe od wydawnictwa Wolters Kluwer oraz od Kancelarii Wilamowscy Adwokaci Spółka Partnerska z Inowrocławia.

Konferencja objęta została licznymi patronatami honorowymi. Obradowała więc „pod skrzydłami”: ministra sprawiedliwości, rzecznika praw obywatelskich, Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Rodzinnego, Państwowej Komisji do spraw Przeciwdziałania Wykorzystaniu Seksualnemu Małoletnich Poniżej lat 15, dziekana Wydziału Prawa i Administracji UMK w Toruniu, Izby Notarialnej w Krakowie, Izby Notarialnej w Gdańsku, Okręgowej Izby Radców Prawnych w Toruniu, Iustitii Oddział Toruński, kancelarii Wilamowscy Adwokaci Spółka Partnerska z Inowrocławia, Stowarzyszenia Mediatorów Rodzinnych, Fundacji Instytut Prawa Szkolnictwa Wyższego i Nauki, Fundacji Pracownia Dialogu w Toruniu, marszałka województwa kujawsko-pomorskiego, prezydenta Torunia oraz wydawnictwa Wolters Kluwer. Patronat medialny nad wydarzeniem sprawował „Krakowski Przegląd Notarialny”.

Co także ważne, wydarzenie naukowe zostało wsparte finansowo przez: Izbę Notarialną w Krakowie oraz Izbę Notarialną w Gdańsku.

Więcej informacji na stronie:

<https://www.facebook.com/profile.php?id=61570792026105>.



Z dr. hab. Dariuszem Sokołowskim, prof. UMK z Katedry Gospodarki Przestrzennej i Turyzmu Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMK, rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. nadesłana

– Polak na wakacjach – jeśli teraz wyjeżdża, to dokąd? Raczej kraj czy zagranica?

– Jak co roku, przeważają wyjazdy krajowe. Około 2/3 Polaków wypoczywa w kraju, reszta wybiera się dalej.

– Kiedyś słyszało się często, że kogoś nie stać na zagraniczne wojaże, więc z konieczności zostaje w Polsce. Teraz ten argument, zwłaszcza w przypadku modnych lokalizacji, wyższej klasy pensjonatów i hoteli, ma chyba drugorzędne znaczenie? Tygodniowy pobyt w polskich górach czy nad polskim morzem potrafi kosztować kilka tysięcy złotych...

– Jest drogo. Szczególnie po covidzie, po którym wielkość ruchu turystycznego się odbudowała, ale

ceny się nie obniżyły. Doszły też nowe argumenty uzasadniające wzrost cen za usługi turystyczne, wśród których najczęściej wymienia się inflację i drogą energię. Moim zdaniem nie wyjaśniają one w całości skali podwyżek. Nie można wzrostem kosztów energii uzasadniać na przykład podwyżek cen biletów wstępu do miejsc, w których z prądu praktycznie się nie korzysta, albo korzysta się w minimalnym stopniu. Odnoszę wrażenie, że raczej testuje się wytrzymałość finansową turystów. Pojawiły się nawet nowe sposoby wyciągania pieniędzy, jak choćby wielokrotne biletowanie jednej atrakcji. Mam na myśli sytuację, kiedy płacimy za wstęp do zamku lub katedry, w której znajduje się dzieło sławnego artysty, na przykład Michała Anioła, które... jest przesłonięte parawanem. Żeby je zobaczyć, trzeba zapłacić dodatkowo kilka, czy kilkanaście euro...

Szalony wzrost cen obserwujemy nie tylko w Polsce, ale widoczne jest zbliżanie się do siebie cen krajowych i zagranicznych. Koszty noclegów, gastronomii czy biletów wstępu, które kilka lat temu były u nas znacznie niższe niż w Zachodniej Europie, teraz różnią się niewiele. Zauważmy przy tym, że w wielu krajach ceny pobytu można obniżyć, kupując karnety na większą liczbę atrakcji, a nawet łączyć je z przejazdami lokalną komunikacją. Ale to wymaga współpracy i dogadania się wielu podmiotów, co w Polsce jeszcze długo nie będzie normą.

- A jak Polska – to teraz latem raczej góry czy morze?

– Bałtyk zdecydowanie, góry na drugim miejscu, przy czym chętnych na pobyt w górach jest zwykle około dwukrotnie mniej. Polacy wybierają częściej bierny wypoczynek (czyli 3S – Sea, Sun, Sand), natomiast pobyt w górach jest bardziej wymagający kondycyjnie.

- No jeszcze w grę mogą wchodzić jeziora.

– To trzecia z najbardziej popularnych opcji spędzania dni wolnych w okresie wakacyjnym. Jeziora mają swoich zagorzałych zwolenników: żeglarzy, kajakarzy, wędkarzy... Wiele z nich nie zamieniłoby się z nikim miejscami.

- A co z resztą kraju?

– Nie możemy zapominać o miłośnikach zwiedzania miast i innych atrakcji. Ta typowo krajoznawcza forma turystyki ma mniej liczne – w badaniach wychodzi zwykle kilkanaście procent ogółu – grono zwolenników, ale też wiernych swoim zainteresowaniom. Penetrują oni różne zakątki kraju w poszukiwaniu miejsc ciekawych lub po prostu takich, w których jeszcze nie byli. Osobiście też zaliczam się do tej grupy. W czasie pobytu nad morzem (mam na myśli plażę) po godzinie nie wiem, co ze sobą zrobić i najczęściej mam ochotę się z niej urwać i gdzieś pojechać.

- Można mówić o jakichś modach, trendach w polskiej turystyce?

– Organizacje turystyczne przewidują, że stopniowo wzrastać będzie udział turystyki tzw. zrównoważonej, ekologicznej, opierającej się na



kontakcie z naturą. Jeśli to się potwierdzi, to mogą się rysować rozległe perspektywy rozwoju na przykład dla agroturystyki. Na razie trudno mi coś więcej powiedzieć na ten temat. Z pewnością nie jest to jeszcze trend dominujący. Z czasem zobaczymy, czy się rozwinie. Ponadto wzrasta zainteresowanie zwiedzaniem miejsc egzotycznych. Liczba takich wyjazdów wzrasta, ale w porównaniu z tradycyjnym wypoczynkiem, jest to wciąż zjawisko marginalne.

- Ale pogoda w Polsce wciąż niepewna. Ten argument często, nomen omen, pada. Można zainwestować wiele tysięcy w wypoczynek i spędzić tydzień w pokoju, patrząc na świat przez strugi deszczu, a nie na przykład na plaży.





– Niestety, to prawda. Pogoda w Polsce bywa kapryśna, zwłaszcza lipiec potrafi zaskoczyć sporą liczbą pochmurnych i deszczowych dni. Często bywa tak, że więcej słonecznych, a nawet upalnych dni, jest w czerwcu, potem znów sierpień i częściowo wrzesień są dość pogodne, bardziej stabilne. Ale nie każdy może wykorzystać czerwiec czy wrzesień na urlop; większości Polaków zostają dwa miesiące wysokiego sezonu. Niektórzy nie chcą ryzykować i planują wyjazdy za granicę. Tu prym wiedzie – jak zawsze – basen Morza Śródziemnego, wraz z morzami przyległymi, jak Adriatyckie, Egejskie czy Tyrreńskie. Dużą popularnością cieszy się Makaronezja, w tym – tradycyjnie – Wyspy Kanaryjskie i mocno zyskująca na popularności wśród Polaków – Madiera. Tam sezon nie jest ograniczony do kilku miesięcy i ci, którzy nie koncentrują się głównie na plażowaniu, a lubią wędrowki i podziwianie widoków – mogą korzystać z nich przez większość roku.

Wracając na krajowe podwórko – mówiąc o dość kapryśnym lipcu, nie chciałem nikogo zniechęcać do wyjazdu w tym czasie, tylko dostrzec, że rezerwując kilkudniowy pobyt z góry, mamy nieco większą niż w sąsiednich miesiącach, szansę trafienia na mniej sympatyczną pogodę. Rzadko, na szczęście, bywa tak, że trafimy na nią przez wiele dni z rzędu. Poza tym niektórzy turyści potrafią się świetnie zorganizować i miło spędzić czas nawet pod dachem – pod warunkiem, że nie przez cały pobyt. Problem bardziej dotyka aktywnych turystów, nastawionych na wędrowki piesze, rowerowe, żeglowanie, czy kajakarstwo, którym deszczowa i wietrzna pogoda potrafi uprzykrzyć życie. Żeby tego uniknąć, niektórzy rezerwują pobyty z niewielkim wyprzedzeniem, kiedy prognozy pogodowe są bardziej wiarygodne, ale w tym przypadku muszą liczyć się ze słabszą dostępnością atrakcyjnych miejsc noclegowych, a niekiedy i z wyższymi ich cenami.

– A skoro już wspomnieliśmy o polskiej bazie turystycznej – jak bardzo zmieniła się w ostatnich kilkunastu latach? Coraz więcej pensjonatów, hoteli kusi własnymi basenami, spa, obiektami sportowymi. Standard się zmienia?

– Standard się zmienia i to przeważnie w jednym kierunku – w górę. Ale wyższy standard to wyższe ceny, a nie każdy Polak jest w stanie zapłacić ponad 1000 zł za noc w obiekcie SPA. Trochę zapomina się o starych, nie zawsze dobrych, FWP (Funduszach Wczasów Pracowniczych), które jednak w czasach

minionego ustroju zrobiły wiele dobrego. Przede wszystkim uczyniły turystykę w Polsce zjawiskiem masowym, w którym uczestniczyły miliony pracowników z rodzinami. FWP przyczyniły się też do ukształtowania w znacznej części narodu potrzeby podróżowania i wypoczyniania poza miejscem zamieszkania. W latach 90. większość tych obiektów sprywatyzowano, niektóre zlikwidowano, traktując je jako przeżytek PRL-u. Warunkom, jakie oferowały, daleko było do komfortu, ale wystarczyło je wyremontować, unowocześnić (z niektórymi tak zrobiono), utrzymując przystępną cenowo bazę noclegową, na którą wciąż jest duże zapotrzebowanie.

– Ale zapewne są i tacy, którzy zostają w Polsce z nazwijmy to umownie „turystycznego patriotyzmu”. Bo tu czują najlepiej, wszędzie mogą autem dojechać, nie muszą znać języków obcych. I wspierają przy okazji polskich przedsiębiorców, wybierając choćby wspomnianą już agroturystykę.

– Patriotyzm w tym kontekście, słusznie trafił w cudzysłów, bo mało kto wypoczywa, kierując się takimi pobudkami. Większość nie interesuje się tym, jaki kapitał stoi za określonym obiektem, a nawet jeśli ma tę świadomość, nie zwraca na to uwagi. Ważna jest relacja cena/jakość, a dla bardziej zamożnych – wyłącznie jakość. Mając na uwadze, że właścicielami znacznej części bazy noclegowej, głównie hoteli, są podmioty zagraniczne, wydanie pieniędzy w kraju niekoniecznie musi skutkować zasilaniem krajowej gospodarki. Natomiast małe podmioty, jak pensjonaty, domki do wynajęcia, kwatery agroturystyczne i inne, faktycznie zasilają domowe budżety wynajmujących, a w efekcie wspierają gospodarkę krajową. Myślę, że warto je wspierać i jest to patriotyzm gospodarczy, choć nie zawsze uświadamiany. W ostatnich latach te małe podmioty pozycjonują się w zagranicznych i krajowych serwisach internetowych, przez to łatwo odszukać i do nich trafić.

Pozostałe argumenty pozostają ciągle istotne. Możliwość łatwego dojazdu własnym samochodem i wynikająca z tego elastyczność oraz brak bariery językowej, decydują o zachowaniach przestrzennych wielu podróżujących i wypoczywających Polaków.

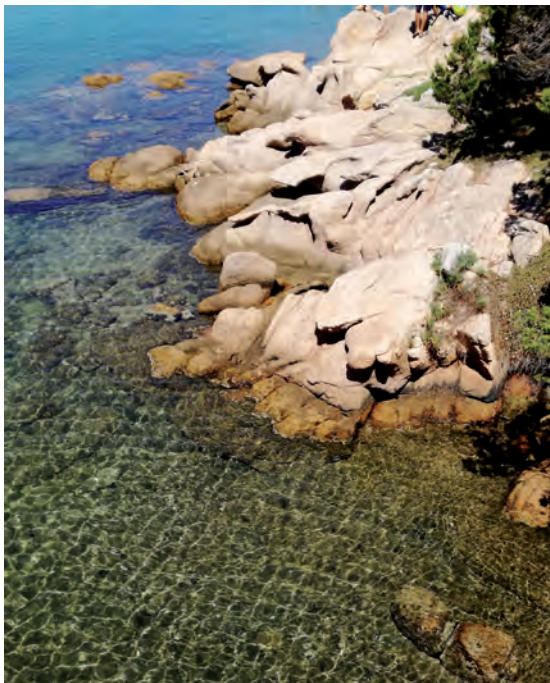
– Spójrzmy teraz na sprawę od strony tych przedsiębiorców, zwłaszcza najmniejszych, o których



Pan wspominał. Na ile zrozumieli, że nie wystarczy już dach nad głową i łazienka na końcu korytarza?

– Chyba nie do wszystkich to dotarło, ale nie ma takiej konieczności. Potrzeby turystów są tak samo różnorodne jak oni sami. Niektórzy spędzają większość czasu w hotelu, w związku z tym oczekują komfortu, nawet luksusu, dostępu do strefy wellness, do boisk, kortów itp. Inni wypoczywają skromniej, spędzając większość czasu na zwiedzaniu, wędrownkach, czy uprawianiu sportu poza obiektami. Im wystarczy sam dach nad głową, ewentualnie mile widziane są dodatki, jak śniadania i kolacje. Niektórzy godzą się na spartańskie warunki (w granicach rozsądku!), pamiętając jeszcze, z jak siermiężnych warunków korzystali w ramach FWP, ale i młodzież często nie jest specjalnie wymagająca. Często decyduje czynnik kosztowy.

Wróćmy jeszcze do kwestii potrzeb turystów – tu nawiążę do pojęcia produktu turystycznego. Często tym mianem określamy wszystko to, co zaspokaja potrzeby turysty w danej lokalizacji. Nie musi to być produkt oferowany bezpośrednio przez udzielających noclegu. Przykładowo: rodzina zamierza spędzić kilka dni w gospodarstwie agroturystycznym. Właściciel gospodarstwa jest przekonany, że oferuje tylko nocleg i wyżywienie, czyli dwa produkty. W rzeczywistości sprzedaje też czyste powietrze w okolicy, ciekawe krajobrazy, pobliskie szlaki turystyczne, możliwość korzystania z jeziora (choć sam gospodarz nie dysponuje łódkami czy ro-



werami wodnymi), zbieranie grzybów w sąsiednim lesie itp. Turysta, dla którego takie cechy okolicy są atrakcyjne, wybiera określone gospodarstwo niekoniecznie dlatego, że tam oferują największy pokój, czy najwygodniejsze łóżko (o tym zwykle przekonuje się dopiero na miejscu), ale ze względu na wspomniane wyżej i inne jeszcze atrakcje. Kontynuując ten tok rozumowania, wspomnę, że przed kilkoma laty miałem przyjemność być promotorem pracy magisterskiej na temat produktów turystycznych gospodarstw agroturystycznych. Autorce udało się zidentyfikować ich... około 90, włącznie z możliwością lotu balonem. Mowa tu oczywiście o grupie gospodarstw, nie pojedynczym obiekcie. Niech ta liczba posłuży za komentarz do wątku, jak

zróżnicowane mogą być produkty turystyczne na terenach wiejskich i jaką inwencją potrafią się wykazać gospodarze.

– Warto też wspomnieć o wypadach weekendowych. Dla niektórych mocno zapracowanych to często jedyna szansa na relaks. Krótka i intensywnie?

– Zwykle tak, przy czym współczesne wyjazdy weekendowe to już nie tylko wypad na działkę rekreacyjną, odwiedzin własnego drugiego domu za miastem czy zwiedzanie okolicy (ileż w końcu można znajdować atrakcji w okolicy swojego miejsca zamieszkania?). Stopniowo rozszerzana siatka połączeń lotniczych umożliwia taki 2–3-dniowy city break, a rozbudowa sieci szybkich dróg w Polsce sprawia, że wypad z Torunia nad Bałtyk, na Pojezierze Mazurskie, a nawet na południe kraju, stają się zupełnie realne. Przejazd własnym samochodem w Beskid Żywiecki czy w Karkonosze zajmie nam 5 godzin w jedną stronę, tj. o kilka godzin krócej niż przed laty.

– No to wreszcie pora na zagranicę. Przez długie lata były to najczęściej: Grecja, Hiszpania, Egipt. Potem doszła jeszcze Turcja. A jak to wygląda teraz?

– Na szczycie rankingu niewiele się zmienia. Turcja od kilku lat pozostaje niekwestionowanym liderem, zgarniając ponad 1/3 puli. Potem Grecja i Egipt, a poza podium – Tunezja, Bułgaria i Hiszpania. Niekoniecznie w tej kolejności, bo w poszczególnych latach państwa te mogą się zamieniać miej-



scami. Kolejne pozycje – żeby uzupełnić pierwszą dziesiątkę – zajmują: Włochy, Chorwacja, Cypr i Albania. Z czerwonomorskich kurortów Egiptu Polacy korzystają przez cały rok, natomiast pozostałe wymienione państwa cieszą się naszym zainteresowaniem głównie w ciepłej połowie roku.

W ostatnich latach wzrasta udział podróży na większe odległości, w tym do Azji Południowo-Wschodniej (np. Tajlandia) i Południowo-Zachodniej (np. Zjednoczone Emiraty Arabskie, w tym Dubaj, które w pewnym stopniu zastąpił niestabilny politycznie Izrael czy Syrię). Powyższe destynacje potraktujmy raczej jako ciekawostki, bo mówimy o zaledwie ułamkach procentów.

– Na co zwraca szczególną uwagę Polak, wybierając wczasy? Podobno all inclusive nadal musi być.

– Podobnie jak w czasie wakacji spędzanych w Polsce, gdzie króluje pobyt nad morzem, tak i za granicą dominują destynacje nadmorskie, prawie wyłącznie nad ciepłymi akwenami. A jeśli Polak wybiera tzw. pobyty, to – rzecz jasna – all inclusive jest niezmiennie bardzo pożądane. To się raczej nie zmienia i jeśli jakieś państwo zdecyduje się ograniczyć tę opcję (o podobnych zakusach donoszą czasami media), Polacy przerzucą się w inne miejsca.

– Czy można mówić o pewnej barierze cenowej, powyżej której zdecydowana większość wykupujących wczasy zorganizowane nie chce wybierać się za granicę?

– Oczywiście. Koszty to główny czynnik popytu. Według różnych badań, ponad połowa rezygnujących z wyjazdu wskazuje finanse, jako ich główną przyczynę. Co roku odsetki nieco się zmieniają, ale brak pieniędzy pozostaje na pierwszym miejscu. Znacznie mniejsza liczba respondentów wymienia takie czynniki, jak obowiązki w czasie wakacji, brak odpowiedniego towarzystwa, czy też... brak potrzeby podróżowania.

– Czym tłumaczyć skoki cenowe ofert w niektórych krajach? Taka choćby Chorwacja była do niedawna przystępna cenowo, a teraz jest bardzo droga. Mocno zdrożała Portugalia.

– Spłaszczenie różnic cenowych, którym wspominałem w odniesieniu do Polski i droższych państw europejskich, dotyczy też większości pozostałych,



w tym Chorwacji i Portugalii, które przed laty były znacznie tańsze. W przypadku zwłaszcza pierwszego z tych państw, zmiana cen uzasadniona jest po części podwyższeniem jakości bazy noclegowej, a także ambicjami nakierowanymi na pozyskanie większej liczby bardziej zamożnych turystów, głównie ze strefy euro. Również wprowadzenie waluty euro w samej Chorwacji przyczyniło się do równania cen... w górę. Ogólnie rzecz biorąc, widać dążenie do maksymalizacji zysków i jeśli turysta skłonny jest zapłacić więcej, to dlaczego z tego nie korzystać?

– Z roku na rok rośnie grono osób, którzy znają jak przysłowiową własną kieszeń takie miejsca jak Majorka, Kreta, Rodos, Wyspy Kanaryjskie, Costa Brava. I co dalej? Nie każdego stać na Malediwy, Bali.

– Nie da się w prosty i jednoznaczny sposób odpowiedzieć na to pytanie. To kwestia indywidualnych wyborów. Wraz z kolejnymi doświadczeniami w zwiedzaniu zmieniają się nasze preferencje. Kiedyś marzyliśmy o zobaczeniu choćby Bułgarii (młodzi nie pamiętają takich czasów), potem Italii i Hiszpanii, a jeśli już odwiedziliśmy te miejsca, u niektórych pojawiła się potrzeba zwiedzenia miejsc bardziej odległych, dotknięcia egzotyki. Nie bez znaczenia jest też upływ czasu, bo w pewnym wieku nie wszyscy już mają ochotę (lub siły) na długotrwałe, intensywne, często męczące wyjazdy.

Niektóre odległe miejsca, jak wspomniane Malediwy, oferują głównie wypoczynek nad morzem, dlatego nie muszą one być alternatywą dla plażowania na obrzeżach Europy. Dla tych, którzy chcą zobaczyć więcej, pozostaje wysupłanie większej liczby zaskórniaków, w celu odwiedzenia Bali, Botswany, czy Peru. Dla osób o mniejszych zasobach finansowych nie brakuje bliższych i tańszych destylacji, których jest na tyle dużo, że ich odkrywaniem można zająć dekady.

- A jeśli już ktoś stać na te Malediwy – pojedzie raz, drugi i co dalej? Czyli porozmawiajmy teraz o klientach z grubym portfelem. Co jest teraz na topie na górnej półce wczasowej?

- Wczasowicz i podróżnik to różne typy osobowości. Pierwszy z nich będzie latał na Malediwy, Sezele, Bali, albo do Acapulco. Drugi z nich – jeśli ma gruby portfel – będzie szukał egzotyki po to, żeby zaznać czegoś nowego. Czasami chodzi o zwiedzanie, czasami o przygodę. W tym ostatnim przypadku niektórzy podróżują bez pośrednictwa biur, ale taka przygoda – zwłaszcza w pojedynkę – może być obciążona sporym ryzykiem. Są destynacje, przed odwiedzaniem których ostrzega się turystów (porwania, napady, a przynajmniej kradzieże). Dodam jeszcze, że dla niektórych zapaleńców nawet dalekie podróże nie muszą być ekstremalnie drogie. Mam na myśli na przykład backpackerów – ale to nie jest przygoda dla każdego.

- Od lat funkcjonują też biura podróży oferujące wyspecjalizowane wyjazdy, na przykład na festiwal operowy we Włoszech, pokazy kwiatów w Holandii, podziwianie przyrody i zabytków w Japonii, a nawet wyprawy do Arktyki i na Antarktydę. To zapewne dla znudzonych standardowymi ofertami i bogatych?

- To są różne grupy odbiorców. Wyjazdy w ściśle określonym celu – innym niż wypoczynek, czy poznawanie świata – nie muszą być ekstremalnie drogie i dotyczą one osób, które są nastawione głównie na czerpanie przyjemności z uczestnictwa w określonych rodzajach wydarzeń. To turystyka eventowa. Samo zamiłowanie do podróży nie musi mieć z takimi wyjazdami wiele wspólnego. Natomiast te dalekie wyprawy są rzeczywiście bardzo kosztowne, często organizowane przez touroperatorów zagranicznych. Korzystają z nich zwykle ci, którzy już wiele widzieli, a w ich portfelach trudno dostrzec dno. Ze względu na wysokie koszty i wydłużony czas (zwykle kilka tygodni) takich podróży, pozostają one zjawiskiem marginalnym w polskiej turystyce.

- Wśród tych nietuzinkowych – jak to się w turystyce mówi – destynacji można natrafić także na takie rejony świata, które nie do końca jawią się jako oazy bezpieczeństwa. Myślę o niektórych krajach Azji, Afryki, Ameryki Południowej. Co by Pan radził turystom, którzy zastanawiają się nad wyprawami do takich miejsc?

- Dwa razy się zastanowić, poczytać więcej o aktualnej sytuacji politycznej, żeby nie być nie mile zaskoczonym, a przede wszystkim – jeśli się już zdecydujemy, odwiedzić jakieś państwo w rodzaju Hondurasu – koniecznie wybrać się w grupie. Na stronach MSZ znajdują się zalecenia dotyczące wyjazdów do poszczególnych państw z punktu widzenia zachowania środków ostrożności. Niektóre kierunki są odradzane głównie dlatego, że występuje w nich wysokie zagrożenie przestępczością. Należy też mieć na uwadze, że w licznych państwach Polska nie ma placówek dyplomatycznych i Polakowi, który znalazł się w tarapatkach, trudno liczyć na jakąkolwiek pomoc.

Jeśli już ryzykujemy wyjazdem w takie miejsca, starajmy się nie zabierać ze sobą kosztownych przedmiotów, które nie są konieczne, np. biżuterii, a z innymi, np. droższym sprzętem fotograficznym,



specjalnie nie afiszować. Starajmy się też unikać samotnych wyjść zwłaszcza po zmroku... Wszystkie zalecenia łączy jedno – bądźmy ostrożni i starajmy się nie prowokować ryzykownych sytuacji.

– Zakupić wczasy to jedno, ale jak się do nich przygotować, by z wyprawy do raju nie przemieniły się w koszmar?

– Koszmar może być wynikiem działania przyrody, człowieka albo organizacji/przedsiębiorstw. Na trzęsienie ziemi raczej się nie przygotujemy, choć spojrzeć na mapę obszarów sejsmicznych może każdy; na porę monsunową – powinniśmy być przygotowani. Potencjalne kłopoty związane z wyjazdem w rejon konflikty zbrojnych czy obszary o bardzo wysokiej przestępczości – też są do przewidzenia. Trudniej natomiast przewidzieć zagrożenia idące ze strony naszych partnerów w podróży – biur, przewoźników itp. Wielokrotnie widzieliśmy ludzi pozostawionych samym sobie na lotniskach, bo biuro podróży ogłosiło upadłość właśnie w czasie wakacji. Zatem, mimo zachowania ostrożności, na wszystkie nieprzyjemne sytuacje nie jesteśmy w stanie się w pełni przygotować. Niech nam ta świadomość nie odbiera przyjemności z wypoczynku i poznawania świata. Będąc świadomymi turystami, możemy znacznie minimalizować ryzyka.

– A może w ogóle zrezygnować z biur podróży i samemu zaplanować wszystko. I tu chyba też przydałoby się trochę dobrych rad eksperta. Jak się do tego zabrać, na co uważać?

– To kolejny temat na cały wykład. W przypadku wyjazdów pobytowych, czyli dom – kurort – dom, logistyka nie jest zbyt skomplikowana. Ale zawsze powinniśmy przemyśleć, sprawdzić, a najlepiej zagwarantować sobie z góry, możliwość transferów (lotnisko–miejsce pobytu), żeby nie być niemiłe zaskoczonym. Czasami oferują je linie lotnicze, niekiedy też hotele, a czasami jesteśmy zdani na siebie. W państwach europejskich zwykle nie ma z tym problemu, ale już na obszarach obcych nam kulturowo, trzeba wykazać więcej inwencji i zachować większą ostrożność – co kraj to obyczaj. W przypadku planowania wyjazdów krajoznawczych niektórzy idą na żywioł. W państwach naszego kręgu kulturowego może się to sprawdzić, ale ja zwykle rezerwuję z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem przeloty i noclegi. Zapewnia to mniejszą dawkę stresu na miejscu i w dodatku jest bardziej znośne dla naszego portfela.

Jeśli przemieszczając się, zmieniamy miejsca zakwaterowania, musimy oszacować, ile jesteśmy w stanie zwiedzić w ciągu dnia. Nasza elastyczność jest większa, kiedy jedziemy własnym autem, nieco mniejsza – gdy lecimy i wynajmujemy samochód na miejscu, a najmniejsza – w sytuacji gdy musimy polegać na komunikacji lokalnej. Musimy też pamiętać, że w wielu państwach praktycznie nie ma komunikacji publicznej. Podróże do państw, w których komunikacja jest słabo rozwinięta, zalecałbym w grupie – głównie ze względów bezpieczeństwa i dzielenia kosztów wynajmu samochodu. W niektórych państwach, choćby na Bliskim Wschodzie, gdzie nie obowiązują praktycznie żadne znane Europejczykom zasady ruchu drogowego, nie odważyłbym się wjechać autem do wielkich miast. W takich sytuacjach lepiej – moim zdaniem – zdać się na usługi wyspecjalizowanego biura podróży.

– No to na koniec pytanie osobiste – a jak spędzi te wakacje Pan – nasz uczelniany ekspert od turystyki?

– Dłuższe wyjazdy, związane z przelotami, mam zaplanowane na miesiące przed- i po wysokim sezonie, tj. maj–czerwiec i wrzesień. Wysoki sezon przeznaczam na wypadki wewnątrz krajowe i krótsze wyjazdy zagraniczne, znajdujące się w zasięgu własnego pojazdu.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia: Winicjusz Schulz



Bartosz Rakoczy

Prawo na wakacjach

Choć tytuł tego felietonu brzmi nieco żartobliwie, to jednak będzie on traktował o dosyć istotnych kwestiach, a mianowicie o jakich zasadach funkcjonowania prawa powinny pamiętać osoby, które w okresie wakacyjnym będą chciały skorzystać z zagranicznych wyjazdów turystycznych.

Prawo na wakacjach nie oznacza zatem takiej sytuacji, że to prawo będzie odpoczywało, a oznacza sytuację, jakie przepisy i w jakim zakresie będą miały zastosowanie podczas pobytu za granicą. Oczywiście nawet tylko ogólne i pobieżne rozważenie wszystkich aspektów jurydycznych, jakie wiążą się z pobytem z za granicą, nie jest w tym krótkim felietonie możliwe do wyczerpania, aczkolwiek o pewnych podstawowych założeniach funkcjonowania prawa można wskazać podstawowe reguły.

Biorąc pod uwagę kierunek wakacyjnego wypoczynku za granicą, najistotniejsze znaczenie ma kwestia, czy dana osoba będzie korzystała z wypoczynku w państwie będącym, członkiem Unii Europejskiej, czy też będzie korzystała z wypoczynku poza obszarem Unii Europejskiej.

Jeżeli chodzi o pobyt turystyczny na obszarze Unii Europejskiej, to przede wszystkim należy zwrócić uwagę na okoliczność, iż już od dłuższego czasu

obywatele Rzeczypospolitej Polskiej mogą cieszyć się komfortem ruchu bezwizowego. Poruszanie się po obszarze Unii Europejskiej i to niezależnie od środka lokomocji odbywa się bez kontroli paszportowej i kontroli granicznej. W ten sposób państwa członkowskie Unii Europejskiej wdrażają jedną z podstawowych wartości Unii Europejskiej, jaką jest swoboda przepływu osób.

Oczywiście istnieje prawna możliwość wprowadzenia kontroli granicznej, jednak jest ona wprowadzana wewnątrz Unii Europejskiej jedynie w szczególnych okolicznościach. Poruszanie się po Unii Europejskiej ma również i tę cechę, że na całym jej obszarze obowiązuje to samo prawo europejskie. Należy jednak zaznaczyć, iż prawo europejskie nie jest dokładnie odpowiednikiem prawa krajowego w tym sensie, że Unia Europejska nie reguluje tych samych dziedzin i obszarów, jakie reguluje prawo danego państwa.

Zgodnie z zasadą pomocniczości system prawa europejskiego reguluje tylko te obszary, które są wspólne dla całej Unii Europejskiej w ramach poszczególnych polityk wymienionych w prawie traktatowym. Nie oznacza to oczywiście, że prawo europejskie w ogóle będzie irrelevantne wobec kwestii obywateli państw członkowskich Unii Europejskiej.

Podróżujący po Unii Europejskiej obywatel Rzeczypospolitej Polskiej może powoływać się na akty prawne, które mogą dotyczyć jego osoby, chociażby na kartę praw podstawowych Unii Europejskiej. Może też powoływać się na prawo traktatowe, a także na rozporządzenia, które obowiązują wprost i bezpośrednio w państwie członkowskim.

Bardzo istotną okolicznością, o której należy pamiętać, jest to, że co do zasady prawo europejskie jest nadrzędne nad prawem krajowym danego państwa. Zatem w razie rozbieżnych regulacji pierwszeństwo ma prawo europejskie.

Obywatel polski może również korzystać z pomocy instytucji danego państwa, na terenie którego przebywa i to niezależnie od pomocy, jakiej może oczekiwać od ambasady lub konsulatu. Natomiast pewne gwarancje bezpieczeństwa prawnego, które funkcjonują na obszarze Unii Europejskiej, nie funkcjonują już podczas pobytu wakacyjnego na terenie



państwa niebędącego członkiem Unii Europejskiej. W takim przypadku funkcjonowanie turysty regulowane jest przede wszystkim przepisami prawa obowiązującymi w danym państwie. Warto jednak zaznajomić się z umowami międzynarodowymi, których dane państwo jest stroną.

W hierarchii źródeł prawa istnieje zasada, iż akty prawa międzynarodowego wyprzedzają akty prawa krajowego. W pierwszej zatem kolejności państwo, do którego udaje się turysta winno uwzględniać akty prawa międzynarodowego, a dopiero w dalszej kolejności akty prawa krajowego. Możliwe jest, że te akty prawa międzynarodowego będą właśnie dotyczyły kwestii, z którymi zetknął się na wakacjach szanowny turysta.

Z kolei specyfika prawa krajowego danego państwa, które turysta odwiedza, może być bardzo różnicowana. Niekoniecznie europejska kultura prawna i europejskie standardy prawne funkcjonują w identyczny sposób w innych rejonach świata. Dotyczy to przede wszystkim państw Azji i państw, które można by określić jako państwa arabskie.

Bardzo istotną okolicznością jest to, że podczas pobytu za granicą obywatel polski może skorzystać z pomocy ambasadora czy też konsula. Pomoc taka obejmuje również podstawowe wsparcie prawne, a niekiedy wskazanie miejscowych prawników, którzy mogą być w danej sprawie pomocni. W przypadku gdy na terenie danego państwa nie znajduje się ambasada lub Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej ma prawo skorzystać z pomocy dyplomatycznej każdej placówki dyplomatycznej państwa członkowskiego Unii Europejskiej znajdującej się w odwiedzanym państwie.

Placówka dyplomatyczna państwa członkowskiego Unii Europejskiej zobowiązana jest udzielić obywatelowi Rzeczypospolitej Polskiej takiej samej pomocy, w tym i pomocy prawnej, jakiej udzieliłaby swojemu obywatelowi. Podobnie i ambasada lub konsulat polski zobowiązany jest udzielić wszelkiej pomocy obywatelom innych państw-członków Unii Europejskiej.

Nie można pomijać kwestii, iż co do zasady, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej przebywający za granicą podlega prawu obowiązującemu w danym państwie. Wynika to z jurysdykcji terytorialnej danego państwa, a jurysdykcja ta obejmuje również cudzoziemców. Oczywiście w danym systemie prawnym mogą istnieć jakieś szczególne regulacje dotyczące cudzoziemców i to zarówno w kierunku uprzywilejowania ich sytuacji, jak i dyskryminacji.

Powyższe, bardzo pobieżnie nakreślone, zasady nie mogą nam przesłaniać życzliwości, serdeczności i akceptacji dla odmiennych kultur, które zawsze ułatwiają wszelkiego rodzaju relacje.

Życząc wszystkim Szanownym Czytelnikom udanych wyjazdów turystycznych zagranicznych, wyrażam głęboką nadzieję, że nikt z Szanownych Czytelników nie będzie musiał odrabiać lekcji z zakresu prawa podczas takiego wypoczynku, a felieton ten uzna jedynie za interesujący materiał teoretyczny.



Prof. dr hab. Bartosz Rakoczy — kierownik Katedry Prawa Ochrony Środowiska i Publicznego Prawa Gospodarczego, Wydział Prawa i Administracji UMK

Zdjęcia: Winicjusz Schulz





Słoneczne zauroczenie

Z dr Magdaleną Woźniak, p.o. kierownika Katedry Kosmetologii i Dermatologii Estetycznej na Wydziale Farmaceutycznym CM UMK, o promieniowaniu słonecznym, jego działaniu i wpływie na nasze zdrowie rozmawia Tomasz Ossowski

Fot. nadesłana

– Czy w czasach powiększającej się dziury ozonowej opalanie się na słońcu jest jeszcze w ogóle bezpieczne?

– Długotrwałe przebywanie na słońcu nie jest zachowaniem prozdrowotnym. Co prawda m.in. dzięki promieniowaniu słonecznemu może istnieć i rozwijać się życie na naszej planecie, to jednak bez warstwy ozonowej energia i promieniowanie ultrafioletowe emitowane przez słońce byłyby dla człowieka tragiczne w skutkach. Należy pamiętać, że im mniejsza ilość ozonu w stratosferze, tym więcej szkodliwego promieniowania dociera do po-

wierzchni Ziemi, co w negatywny sposób wpływa na skórę.

– Jasna karnacja skóry dominująca w naszych szerokościach geograficznych nie wydaje się genetycznie przygotowana, „zahartowana”, na przyjmowanie wysokich dawek letniego słońca. Od czego zależy reakcja skóry na działanie promieniowania UV?

– Na negatywne skutki działania promieniowania UV najbardziej narażone są dzieci, osoby pracujące na zewnątrz oraz właśnie osoby o jasnej

karnacji. Reakcja skóry zależy od wielu czynników, m.in. od karnacji, czyli fototypu determinowanego dominującym typem barwnika, czyli melaniny. W skórze osób z ciemną karnacją przeważa czarna lub brązowa eumelanina, zmniejszająca wrażliwość skóry na UV, a także ryzyko jej uszkodzeń. U osób z I (celtyckim) lub II (północnoeuropejskim) fototypem więcej jest natomiast feomelaniny, która niestety znacznie słabiej zabezpiecza przed słońcem, dlatego są one zdecydowanie bardziej narażone na negatywne skutki promieniowania UV i prawie zawsze występuje u nich rumień, nawet po krótkim kontakcie ze słońcem. Osoby z jasną karnacją bardzo łatwo i szybko ulegają poparzeniom. Dodatkowo zachorowalność np. na czerniaka u rasy białej (kaukaskiej) jest istotnie większa niż u rasy czarnej (negroidalnej). Rdzenni mieszkańcy obszarów z dużą liczbą dni słonecznych w ciągu roku, mają naturalnie ciemniejszą skórę i włosy, co jest efektem ewolucyjnego zabezpieczenia przed szkodliwym oddziaływaniem promieniowania UV.

– Jaki rodzaj promieniowania słonecznego i w jakich dawkach staje się zagrożeniem dla naszej skóry?

– Promieniowanie słoneczne, a w szczególności promieniowanie UV, jest jednym z najczęstszych czynników środowiskowych oddziałujących na skórę. Niemożliwe jest określenie jednej, uniwersalnej, bezpiecznej dla każdego dawki promieniowania UV, gdyż szybkość reakcji obronnej skóry i biologiczne skutki zależą od wielu składowych m.in. uwarunkowań genetycznych, w tym wspomnianego fototypu, stanu skóry i predyspozycji do jej oparzeń, wieku, powierzchni ciała poddawanej działaniu promieni słonecznych, stosowanej ochronie przeciwsłonecznej, pory dnia i pory roku, czasu i częstotliwości ekspozycji, natężenia i długości fali promieniowania UV, szerokości geograficznej (roczne dawki promieniowania UV maleją wraz z rosnącą odległością od równika), wysokości nad poziomem morza (na każde 300 m wzrostu wysokości efektywność promieni słonecznych wzrasta o około 4%), powierzchni odbicia światła (śnieg odbija około 85% promieniowania UV a woda około 5-10%), naturalnego zachmurzenia (dawka promieni UV docierających do powierzchni Ziemi zależy od wielkości, gęstości oraz kształtu chmur) oraz zanieczyszczenia powietrza (np. smogu). Zarówno duża skumulowana, jak i sporadyczna (rekreacyjna), ale intensywna dawka promieniowa-



nia UV powoduje nieodwracalne zmiany na poziomie naskórka i skóry właściwej. Promieniowanie to odpowiada za około 80% ogólnych oznak starzenia się skóry. Należy zaznaczyć, że opalanie w solariach nie stanowi „zdrowszej” alternatywy czy lepszej podstawy dla późniejszego opalania w sposób naturalny, a „bezpieczne opalanie” nie istnieje, gdyż to samo promieniowanie, które wywołuje brązowienie skóry, może być odpowiedzialne za uszkodzanie skóry i proces tworzenia komórek nowotworowych. U osób, które korzystają z solariów przed 30 rokiem życia, ryzyko rozwoju czerniaka złośliwego wzrasta aż do 75%.

Atmosfera ziemską pochłania około 90% promieniowania UVB, a do powierzchni Ziemi dociera głównie promieniowanie UVA (96-99%). Jednakże nawet te częściowo docierające promienie UVB (1-4%,) są uważane za niebezpieczne dla człowieka. Najgroźniejsze spośród wszystkich rodzajów UV jest wysokoenergetyczne promieniowanie UVC (100-280 nm). W wyniku zmniejszenia się warstwy ozonowej w atmosferze zaczęło ono docierać do powierzchni Ziemi, jednak jego ilość oddziałująca na organizm ludzki nie jest znacząca. Wpływa ono destrukcyjnie na rogówkę, wywołuje silny rumień skóry i przyczynia się do uszkodzania DNA. Stwierdzono, że im krótsza fala promieniowania, tym więcej energii jest wchłaniane przez skórę, co skutkuje silniejszym oddziaływaniem degeneracyjnym. Siła działania UVB (280-320nm) uzależniona jest od



pory roku i dnia. Największe jego natężenie odnotowuje się latem (od kwietnia do września, co wynika z wyższej pozycji Słońca nad horyzontem), w bezchmurne dni, między godziną 10 a 15. Działa rumieniotwórczo, odpowiada za oparzenia skóry, a także pigmentację długotrwałą. Przenika do warstwy podstawnej naskórka i powoduje tworzenie się nowotworczych wolnych rodników tlenowych i tlenu singletowego zwiększających ryzyko uszkodzenia skóry. Jest najbardziej mutagenną, pochłanianą przez DNA frakcją, która może powodować transformację nowotworową komórek, dysregulację genów tkankowych oraz transformację onkogeną naskórkowych melanocytów. Dodatkowo działa supresyjnie na odpowiedź immunologiczną organizmu, czyli osłabia układ odpornościowy. Natężenie UVA (320–400nm) nie zależy natomiast od pory roku dnia czy pogody. Przenika przez chmury, szyby, tekstylia bawełniane oraz niektóre tworzywa sztuczne i dociera do skóry właściwej. Posiada 20-krotnie większą energię promieniowania niż UVB i potęguje jego działanie. Wywołuje pigmentację szybką, lecz nietrwałą. Zwiększa liczbę wolnych rodników i odpowiada za uszkodzanie białek strukturalnych oraz DNA, przez co wykazuje właściwości nowotworcze i mutagenne. Promieniowanie to dzieli się na UVA-1 (340–400 nm) i UVA-2 (320–340 nm), z czego to właśnie UVA-2 jest silniejszym czynnikiem rakotwórczym.

– Czym jest photoaging? I jak to jest z wpływem słońca na zmarszczki?

– To starzenie się skóry spowodowane negatywnym wpływem promieniowania UV. Proces ten indukowany jest głównie przez promieniowanie UVA, ale nie bez znaczenia jest UVB i światło widzialne o najkrótszej długości fali, które dodatkowo przyczynia się do występowania stresu oksydacyjnego, hiperpigmentacji, zmian w poziomie nawilżenia skóry oraz uszkodzeń DNA. Objawami klinicznymi fotostarzenia są m.in. suchość, pogrubienie, szorstkość i łuszczenie się naskórka, przebarwienia, teleangiektazje (poszerzone naczynia krwionośne) oraz wiotkość skóry. Zmarszczki dynamiczne (mimiczne) związane są z ruchem mięśni np. przy mrużeniu oczu. Początkowo są pojedyncze, powierzchniowe, odwracalne, jednak z upływem czasu ulegają utrwaleniu. Zmarszczki statyczne mogą być uwarunkowane genetycznie i mają związek z trybem życia, m.in. właśnie z nadmierną ekspozycją na promieniowanie UV. Mówimy wtedy o zmarszczkach postłonecznych. Charakterystycznym objawem tego typu zewnętrznego pochodnego starzenia się skóry jest nieodwracalna degradacja elastyny, czyli elastaza, której nie obserwuje się w skórze chronionej przed promieniowaniem UV.

– Jakie są najczęstsze powikłania zdrowotne na skutek nadużywania promieni słonecznych?

– Bezpośrednio po napromieniowaniu stymulowana jest produkcja licznych cytokin prozapalnych i prostaglandyn, które inicjują odpowiedź zapalną w postaci rumienia, a także powodują hiperplazję, czyli rozrost komórek naskórka i jego złuszczenie. Dodatkowo pobudzana jest oksydacja lipidów i białek warstwy rogowej naskórka oraz zmiana składu płaszcza lipidowego pokrywającego naskórek, co może przyczyniać się do zaburzenia funkcji ochronnych bariery naskórkowej, odwodnienia, suchości skóry. Poza oparzeniami, często dochodzi do pojawienia się przebarwień, teleangiektazji, czyli *trwałego poszerzenia naczynek śródskórnych*, fotostarzenia, rogowacenia słonecznego oraz rozwoju różnych fotodermatoz (np. polimorficzne osutki świetlne, pokrzywka słoneczna), a także odczynów fototoksycznych i fotoalergiczych. Istnieje również wiele dermatologicznych jednostek chorobowych, w których promieniowanie UV jest czynnikiem zaostrzającym lub wyzwalającym. UV jest odpowiedzialne za rozwój głównie niemelanocytowych raków skóry, co związane jest z właściwościami immunomodulującymi, powodującymi fotoimmunosupresję a w następ-

stwie fotokancerogenezę. Za rozwój nowotworów skóry odpowiedzialne mogą być także bezpośrednie uszkodzenia DNA komórek, spowodowane przez promieniowanie UVB. Najczęściej występującym nowotworem złośliwym skóry jest rak podstawonokomórkowy, który stanowi 80% wszystkich złośliwych zmian nowotworowych skóry. Drugim pod względem częstości występowania jest rak kolczystokomórkowy. Najgroźniejszym nowotworem skóry jest czerniak złośliwy. W wyniku przewlekłej ekspozycji na promieniowanie słoneczne obniżeniu ulega również odporność przeciw zakażeniom miejscowym i ogólnoustrojowym wywoływanym przez bakterie, wirusy, pasożyty i grzyby.

– A jakie są pozytywne efekty działania słońca, mające korzystny wpływ na kondycję i wygląd naszej skóry?

– Promieniowanie słoneczne jest ważnym elementem procesu melanogenezy, dzięki któremu dochodzi do wzmożonej pigmentacji, czyli opalenizny. Uczestniczy ono w regulacji funkcjonowania naturalnego zegara biologicznego odpowiedzialnego za rytm okołodobowy organizmu. Przyczynia się do poprawy nastroju i pozytywnie wpływa na samopoczucie. Wykorzystywane jest również w kontrolowanej klinicznie fototerapii niektórych dolegliwości oraz jednostek chorobowych (np. łuszczyca, nerwica), a także w celu poprawy odpowiedzi immunologicznej. Powinniśmy cieszyć się przebywaniem na świeżym powietrzu, ale korzystać z tej przyjemności w taki sposób, aby wyeliminować ewentualne oparzenia słoneczne.

– To również dzięki promieniowaniu UVB w skórze wytwarzana jest korzystna dla organizmu witamina D₃.

– Co najmniej 80% potrzebnej ludzkiemu organizmowi witaminy D pochodzi z syntezy skórnej. W organizmie prowitamina D₃ (7-dehydrocholesterol), pod wpływem promieniowania UVB, przekształcana jest do prewitaminy D₃, która następnie, pod wpływem ciepła, ulega izomeryzacji do witaminy D₃ (cholekalcyferol). Odgrywa ona ważną rolę w procesie rozwoju i funkcjonowania układu kostnego, nerwowego i mięśniowego oraz immunologicznego. Latem, do wytworzenia odpowiedniej jej ilości, wystarczy nam nawet 15-minutowy pobyt na słońcu przy odsłoniętych 18% powierzchni ciała.



U osób ciemnoskórych wymagana jest dłuższa ekspozycja na promieniowanie. Witamina ta może być dodatkowo magazynowana w wątrobie, tłuszczu, a także w komórkach mięśni szkieletowych i stopniowo uwalniana w miarę zapotrzebowania. Ponadto, w przypadku nadmiernej ekspozycji na światło słoneczne nie dochodzi jednak do zatrucia witaminą D₃, ponieważ w przypadku nadmiernej syntezy skórnej następuje jej inaktywacja do biologicznie nieczynnych produktów. Z kolei większość urządzeń do opalania emituje przede wszystkim promieniowanie UVA, które jest stosunkowo nieskuteczne w stymulowaniu syntezy cholekalcyferolu, a w połączeniu z wysokim ryzykiem uszkodzeń skóry, jest po prostu niebezpieczne.

– Opalenizna słoneczna jest reakcją fizjologiczną skutkującą ciemniejszym odcieniem skóry, za który odpowiada melanina.

– Pierwszym skutkiem kąpieli słonecznej jest rumień, a po jego ustąpieniu dochodzi do przejściowej zmiany zabarwienia (pigmentacji) skóry na ciemniejszy. Opalenizna powstaje w wyniku reakcji obronnej organizmu, tj. pobudzenia melanocytów do wzmożonej syntezy naturalnego pigmentu, czyli właśnie melaniny. Wyróżnia się kilka jej odmian: eumelaninę, feomelaninę, trichochromy pokrewne eumelaninie. Od proporcji między nimi oraz ich ilości zależy indywidualny odcień skóry, włosów oraz kolor oczu. Melanina posiada zdolność absorpcji i rozpraszania



światła słonecznego, dzięki czemu, w pewnym stopniu, zapobiega głębszemu przenikaniu promieni UV oraz neutralizuje działanie wolnych rodników. Produkcja pigmentu przez komórki barwnikowe skóry regulowana jest przez tyrozinazę. Enzym ten wpływa na przemianę tyrozyny kolejno w L-dopa, dopachinon i melaninę, która następnie jest transportowana do bardziej powierzchniowych warstw skóry. Z reguły synteza ta utrzymywana jest na właściwym poziomie, jednak u niektórych osób dochodzić może do nadmiernej (hiperpigmentacja) lub niewystarczającej (np. albinizm) produkcji barwnika. Natomiast bielactwo to zaburzenie pigmentacji, powstające m.in. na skutek uszkodzenia melanocytów i zahamowania syntezy melaniny.

- Najlepszą formą ochrony przed niekorzystnym działaniem promieniowania są preparaty z filtrami przeciwsłonecznymi. Jak je dobrać i stosować, aby były skuteczne?

- Idealny preparat fotoprotekcyjny powinien chronić skórę przed szerokim spektrum promieniowania (UVA i UVB). Najnowsze trendy w zakresie fotoprotekcji wskazują również na konieczność ochrony przed promieniowaniem UVA1 oraz światłem widzialnym. Taki kosmetyk powinien być wodoodporny, niedrażniący, łatwy w aplikacji oraz przy-

jemny kosmetycznie, a przede wszystkim skuteczny i bezpieczny. Dodatkowo powinien możliwie długo utrzymywać się na powierzchni skóry i nie ulegać szybkiemu ścieraniu.

Kluczowymi składnikami tego typu preparatów są właśnie tzw. filtry UV (fizyczne i chemiczne). Ich działanie koncentruje się na powierzchni skóry i nie powinno przekraczać granicy skóry właściwej, a tym bardziej przenikać do krążenia ogólnego. Dobry filtr UV jest stabilny pod względem chemicznym jak i fizycznym, hipoalergiczny, nietłoty, bezbarwny i bezzapachowy oraz kompatybilny z pozostałymi składnikami receptury danego produktu. Mechanizm działania filtrów fizycznych polega głównie na zjawisku odbijania lub rozpraszania promieni słonecznych, natomiast filtry chemiczne wykazują zdolność ich absorbowania.

Do filtrów fizycznych, nazywanych również nieorganicznymi czy mineralnymi, zalicza się barwne pigmenty oraz pigmenty mikronizowane. Pierwsze, prócz promieni ultrafioletowych, rozpraszają również światło widzialne.

Filtry chemiczne należą do różnych klas związków organicznych, a ich wspólną cechą jest obecność w cząsteczce licznych wiązań nienasyconych oraz ugrupowań zawierających wolne pary elektronów. Pochłoniętą energię światła słonecznego zamieniają w energię ciepłą. Klasyfikowane są w zależności od długości fali pochłanianego promieniowania UV. Filtry szerokozakresowe to natomiast związki absorbujące zarówno promieniowanie UVB, jak również UVA. Do receptury preparatów fotoprotekcyjnych, oprócz syntetycznych filtrów UV, coraz częściej wprowadza się substancje naturalnego pochodzenia (masło Shea i kakaowe, olej arganowy, awokado, makadamia, sezamowy oraz ekstrakty roślinne, m.in. aloes zwyczajny). Co prawda pochłaniają one promieniowanie UV, jednak ich właściwości fotoprotekcyjne są niewielkie, dlatego nie mogą stanowić podstawy preparatów o wysokim współczynniku ochrony i należy je łączyć z filtrami organicznymi i nieorganicznymi. Ważną rolę odgrywają również wtórne substancje promieniochronne, czyli przeciwutleniacze (witaminy E i C, flawonoidy, koenzym Q10 i β -karoten), które w przeciwieństwie do filtrów UV, powinny wnikać do głębiej położonych warstw skóry i osiągać tam wysokie stężenie. Ich ilość w kosmetykach chroniących przed słońcem z reguły jest niewystarczająca, dlatego zaleca się dodatkową podaż antyoksydantów wraz z dietą. Dodatkowo, w zaawansowanych preparatach fo-

toprotekcyjnych składnikiem może być ektoina czy enzymy (np. endonukleaza) zapobiegające nieodwracalnym zmianom w DNA komórek skóry.

– Jakie są najczęstsze błędy w wyborze i stosowaniu kosmetyków przeciwsłonecznych?

– Na rynku dostępna jest szeroka gama kosmetyków chroniących przed słońcem, aby dokonać właściwego wyboru, warto czytać informacje widniejące na opakowaniu. Preparat ochrony przeciwsłonecznej charakteryzowany jest głównie przez wartość SPF (*Sun Protection Factor*), która maksymalnie wynosi 50+ i określa wielkość ochrony przed promieniowaniem UVB. Ważna jest także ochrona przed UVA, aktualnie proporcja ochrony UVA/UVB wynosi co najmniej 1/3. Istotna jest również lista składników podana wg nomenklatury międzynarodowej (INCI). W celu uzyskania skutecznej ochrony, preparat należy zastosować 20–30 minut przed nałożeniem ubrania i wystawieniem się na działanie promieni słonecznych, aby został wchłonięty. W praktyce wiele osób aplikuje go tuż przed rozpoczęciem opalania, nie nakłada go dokładnie i równomiernie, ani w ilości zgodnej z zaleceniami producenta. Zapominamy również o potrzebie jego reaplikacji w rekomendowanych odstępach czasu, czyli mniej więcej co 2–3 godziny, a w razie potrzeby częściej, gdyż kontakt z wilgocią, aktywność ruchowa, usuwanie i tarcie mechaniczne zmniejsza jego skuteczność. Znaczenie ma również stosowanie optymalnej ilości nakładanego preparatu, tu nie należy oszczędzać.

– **Jednakże kosmetyki nie zastąpią rozsądku. Media przytaczają wyniki badania, które wykazało, że pacjenci korzystający z kremów z filtrem mają nowotwory skóry częściej, ponieważ – paradoksalnie – czując się bezpieczni tracą umiar i ryzykownie nadużywają kąpieli słonecznych.**

– Często żyjemy w przeświadczeniu, że stosując preparaty fotoprotekcyjne jesteśmy całkowicie chronieni przed negatywnym wpływem promieniowania UV, a tym samym przed rakiem skóry, i bez ograniczeń korzystamy z kąpieli słonecznych. Nic bardziej mylnego. Badania wykazały, że wśród osób stosujących kremy z filtrem, mimo dużej świadomości zagrożeń dla zdrowia wynikających z ekspozycji na słońce i przestrzegania zasad ochrony przed promieniowaniem UV, ryzyko zachorowania na raka skóry było ponad dwukrotnie większe. Wprawdzie



stosowały one kosmetyki z filtrem przeciwsłonecznym dosyć często, zapewniając sobie fałszywe poczucie bezpieczeństwa, ale w stosunku do długotrwałego i nieprzerwanego zażywania słońca, stosowana ochrona okazywała się ciągle niewystarczająca. Należy pamiętać, że żaden, nawet najdroższy czy najbardziej polecany krem nie zastąpi zdrowego rozsądku. Stosowanie preparatów fotoprotekcyjnych jest oczywiście bardzo pożądanym zachowaniem, jednak w porównaniu np. do unikania słońca czy używania specjalnej odzieży chroniącej przed słońcem stanowi tylko relatywnie skuteczną formę ochrony skóry.

– Kiedy mówimy o oparzeniu słonecznym?

– Oparzenia słoneczne wywołane są intensywnym naświetlaniem promieniami widma rumieniowoczerwonego (290–400nm) a więc promieniowaniem UVA i UVB. Pierwsze zmiany, o charakterze rumieniowo-zapalnym, pojawiają się na skórze już po kilku godzinach od ekspozycji, a szczyt ich nasilenia występuje po około 12–24 godzinach. Skóra staje się zaczerwieniona, podrażniona i gorąca, a także przesuszona i wrażliwa. Oparzenie pierwszego stopnia dotyczy wyłącznie naskórka, są to zmiany rumieniowo-obrzękowe ustępujące po kilku dniach bez pozostawienia śladu. Proces przejścia od fazy rumieniowej do fazy brązowienia skóry lub złuszczenia naskórka przebiega stosunkowo łagodnie. Oparzenia drugiego stopnia, poza naskórkiem, obejmują



również skórę właściwą, są to zmiany rumieniowe, w obrębie których tworzą się bolesne pęcherze ustępujące z pozostawieniem nadżerek, które z reguły ulegają wygojeniu w ciągu kilku tygodni. Tutaj dodatkowo pojawić się mogą objawy ogólne, takie jak m.in. gorączka, nudności, wymioty, bóle głowy czy też zaburzenia krążeniowe.

– Co robić, gdy przesadziliśmy z opalaniem i odczuwamy tego bolesne skutki? Kiedy należy zwrócić się do lekarza?

– W pierwszej kolejności należy zejść ze słońca, aby zapobiec dalszym uszkodzeniom skóry, następnie schłodzić skórę np. chłodnym prysznicem i okładami. Powinniśmy również zadbać o nawodnienie organizmu i kondycję skóry. Preparatów jest wiele, najlepiej wybierać te o właściwościach chłodzących, łagodzących i nawilżających. Sprawdzą się tutaj kremy o lekkiej konsystencji lub pianki z kwasem hialuronowym, aloesem, D-panthenolem czy alantoiną, wzbogacone dodatkowo o składniki odżywcze. Pamiętajmy, aby nie były to preparaty zbyt tłuste i ciężkie. Jeśli oparzeniu towarzyszą dolegliwości bólowe i stan zapalny, pomocne mogą być niesteroidowe leki przeciwzapalne dostępne bez recepty. Jednak w przypadku dużych pęcherzy, silnego bólu, wystąpienia objawów ogólnych lub sugerujących wstrząs objawiający się m.in. spadkiem ciśnienia krwi i temperatury ciała, pobudzeniem lub wręcz odwrotnie – zamroczeniem pacjenta, drgawkami, niezbędna jest szybka konsultacja lekarska.

Zamiast zastanawiać się co stosować na oparzenia słoneczne lepiej im zapobiegać. Latem należy regularnie stosować krem z filtrem ochronnym, unikać przebywania na słońcu w godzinach 10.00–16.00, pamiętać o nakryciu głowy i okularach przeciwsłonecznych oraz odpowiednim, przewiewnym, ale ochraniającym od słońca ubiorze. Warto regularnie oglądać swoją skórę celem identyfikacji nowych lub zmieniających się znamion i raz na pół roku odwiedzać dermatologa. Ostrożność zachować należy szczególnie w przypadku dzieci. Dla nich poparzenie słoneczne, podobnie jak inne oparzenia termiczne, będzie dużo bardziej bolesne i poważniejsze w skutkach.

– Coraz częściej mówi się o uczuleniu na słońce? Czym są reakcje fotoalergiczne i fototoksyczne?

– Tak, szczególne znaczenie ma tu promieniowanie UVA. Rozpoznanie uczulenia ustala się na podstawie badania lekarskiego, w tym szczegółowego wywiadu, i oględzin skóry. W celu oceny jej wrażliwości można wykonać np. próby świetlne, czyli określić tzw. próg rumieniowy. Jest to minimalna dawka rumieniowa, która wywołuje rumień u danej osoby. Ocenia się również okres trwania nadmiernej reakcji oraz występowanie i czas utrzymywania się dodatniego odczynu (izomorficznego).

Odczyn fotoalergiczny to natychmiastowa (od kilku minut do kilku godzin) lub późna (po 24–48 godzinach) nadreaktywność układu immunologicznego występująca po niewielkiej nawet dawce promieniowania UVA. Profilaktyka polega na unikaniu czynnika sprawczego, czyli słońca, noszeniu odzieży ochronnej oraz stosowaniu preparatów z filtrami przeciwsłonecznymi. Znane jest też zjawisko zmniejszania się objawów wraz z powtarzającym się narażeniem na słońce w danym sezonie, dlatego w niektórych, uzasadnionych przypadkach, w celu zwiększenia tolerancji na promieniowanie UVA, wczesną wiosną rozważa się tzw. profilaktyczną PUVAterapię, czyli po podaniu psoralenu (leku światłowrażliwiającego), naświetla się skórę małymi dawkami promieniowania UVA. Nie jest to jednak leczenie dla wszystkich, a decyzję o jego wdrożeniu podejmuje dermatolog.

Odczyn fototoksyczny to natomiast reakcja fotochemiczna wywołana promieniowaniem i jednocześnie działaniem doustnego lub działającego bezpośrednio na skórę fotouczulacza (np. roślin, perfum, kosmetyków, leków). Występuje ona bezpo-

średnio lub w ciągu kilku godzin od ekspozycji. Zmiany ograniczone są do miejsca kontaktu skóry, na którą jednocześnie działa promieniowanie i czynnik fotouczulający, a ustępują po jego eliminacji. Odczyn ten, w odróżnieniu od fotoalergicznego, który dotyczy tylko niektórych osób (mających predyspozycje), występuje u większości osób wystawionych na działanie substancji fototoksycznej i promieniowania.

Prawie dwadzieścia lat temu z profesor Barbarą Zegarską opisałyśmy ciekawy przypadek pacjenta, któremu podczas pobytu na wakacjach przypadkowo osoba wykonała tatuaż z użyciem czarnej henny, i który następnie korzystał z kąpieli w morzu, jak również przez kilka godzin przebywał, bez stosowania fotoprotekcji, na słońcu. Po kilku godzinach wystąpił rumień w miejscu tatuażu oraz uczucie świądu i pieczenia. Zmiany w ciągu kilku godzin uległy znacznemu zaostrzeniu, w wyniku czego doszło do powstania nadżerek układających się wzdłuż zdożenia. Zmianom skórnym towarzyszyła podwyższona temperatura ciała oraz objawy ogólnego złego samopoczucia. Po długim leczeniu ustąpiły one, pozostawiając blizny, przebarwienia i odbarwienia wzdłuż tatuażu.

– Słońcem i opalenizną z pewnością jesteśmy zauroczeni, a czy możemy być od nich uzależnieni?

– Uzależnienie od opalenizny nazywane jest tanoreksją. Rozwija się ona początkowo niewinnie, stopniowo i dotyczy głównie młodych kobiet rasy białej. Przyczyną może być m.in. niska samoocena, dysmorfofobia, czyli nieprawidłowe postrzeganie własnego ciała lub nadmierna potrzeba poprawy swojego wyglądu, a także aktualnie panujące trendy, do czego poniekąd przyczyniła się ikona świata mody Coco Chanel, która w czasach, kiedy to jasną skórę uznawano za kanon piękna, pojawiła się na przyjęciu z opalenizną i od tego momentu opalona skóra stała się hitem na salonach. Uzależnienie od posiadania opalenizny (*Tanning addiction behavior*) zgodnie z klasyfikacją DSM IV (*Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders*) nie jest uznawane za zaburzenie psychiczne.

– Jaka jest, i czy w ogóle jest, recepta na rozsądną, czyli ładną i jednocześnie zdrową opaleniznę.

– Skóra to największy organ ludzkiego ciała, który każdego dnia narażony jest na działanie czynników środowiskowych, dlatego należy o nią dbać



przez cały rok i niezależnie od warunków atmosferycznych stosować kompleksową fotoprotekcję, a podczas kąpieli słonecznych zawsze zachować umiar i zdrowy rozsądek. Stosowanie preparatów promieniochronnych jest podstawowym elementem profilaktyki fotostarzenia oraz nowotworów skóry. Ale powtarzam – nawet najlepszy kosmetyk nie jest w stanie zagwarantować 100% ochrony przeciw-słonecznej. Należy zatem unikać nadmiaru słońca i stosować odpowiednią odzież, nakrycie głowy oraz okulary przeciwsłoneczne. Warto nadmienić, że funkcjonuje również wskaźnik ochrony przed UV dotyczący ubrań (UPF – *UV protection factor*). Aby uniknąć oparzenia skóry, a jednocześnie zapewnić jej ładny opalony kolor bez ekspozycji na słońce, można stosować kosmetyki z beta-karotenem, który nadaje skórze słoneczny kolor lub skorzystać z samoopalaczy i opalania natryskowego. Istotne znaczenie ma także odpowiednio zbilansowana, przewencyjna dieta, która powinna być niskotłuszczowa, bogata w witaminę A, wielonienasycone kwasy tłuszczowe z grupy omega-3 oraz polifenole. W ostatnich latach obserwuje się wzrost świadomości społeczeństwa i korzystne zmiany w podejściu do ochrony skóry przed słońcem m.in. dzięki akcjom profilaktycznym, kampaniom edukacyjnym, organizowanym również przez naszą katedrę.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia: Winicjusz Schulz

Jarosław Dumanowski

A na lato kuchnia elektryczna

„Lato! Pora kwiatów, owoców, wakacji, urlopów i... upałów. Pora najbardziej ulubiona przez młodzież i starszych. Niesie ona swobodę i wypoczynek. Wszyscy lubią lato. Tylko Pani domu, która niema kuchni elektrycznej, a musi zajmować się gospodarstwem domowym cierpi przy pracy katusze.

W kuchni upań od otwartego płomienia, a przez okno wpada gorące, letnie powietrze. Istne piekło”.

Jak z tego piekła wyjść, opowiedzą nam redaktorzy i autorzy artykułów z toruńskiej „Kuchni Elektrycznej” z lat 1937–1939.

A najpierw była elektrownia...

Elektrownia w Gródku

W 1923 r. w okolicach Gródka nad rzeką Wdą (w powiecie świeckim) otwarto elektrownię wodną, która z czasem zaopatrywała w prąd najbliższą okolicę, a także Świecie, Toruń, a później również Gdynię. Jej początki były trudne, gdyż trzeba było zbudować linie przesyłowe oraz przekonać odbiorców do korzyści płynących z zastosowania prądu w gospodarstwach domowych, warsztatach i fabrykach. Przełomem okazało się uruchomienie linii przesyłowych do Torunia; dopiero wtedy elektrownia zaczęła naprawdę zarabiać na siebie. Początkowo bowiem prąd służył głównie do zapewnienia funkcjonowania samej elektrowni, jej oświetlenia i ogrzewania, czyli faktycznie do produkcji... prądu.

Przy elektrowni powstały warsztaty produkujące grzejniki i kuchenki, ale trzeba było jeszcze przekonać klientów do ich zakupu. Zwłaszcza korzystanie z kuchenek elektrycznych wymagało szeroko zakrojonej akcji edukacyjno-promocyjnej. Było to częścią przemian, jakie wówczas zachodziły w całej Europie. Zarówno w Polsce, jak i w innych krajach europejskich wydawano książki kucharskie opisujące gotowanie na gazie i kuchniach elektrycznych. Wymagało to zupełnie nowej wiedzy, innych umiejętności, nowych naczyń, a niekiedy także zmiany nawyków żywieniowych.

Gotowanie przestało być równoznaczne z używaniem ognia. Miało to szczególne znaczenie latem, podczas upałów, gdy praca nad buchającym płomieniem i rozżarzoną płytą kuchenną była wyjątkowo uciążliwa. Pierwsze kuchenki elektryczne były maszynowe i w porównaniu z dzisiejszymi płytami indukcyjnymi, emitowały ogromne ilości ciepła, ale na tle płyt węglowych stanowiły radykalną zmianę, do której trudno było się przyzwyczaić.

Babcia Pawlakowa z filmu „Sami swoi”, udając się po wojnie na Ziemię Odzyskane, nie potrafiła zaakceptować nawet zwykłej żeliwnej „angielki” na węgiel. Żeliwną kuchnię wyniesiono więc z nowego domu Pawlaków i wybudowano prawdziwy, mуро-



Reprodukcja egzemplarza „Kuchni Elektrycznej” (KPBC UMK)

wany i lepiony piec: można było na nim gotować, piec chleb, zostawiać potrawy w żarze i popiele, by powoli „dochodziły”. Poza tym ogrzewał dom i dawał możliwość spania na specjalnie do tego przeznaczonych półce.

Na Pomorzu „angielki” były już powszechne, lecz przejście na kuchnię elektryczną i tak okazało się prawdziwą rewolucją.

Czasopismo

„Kuchnia Elektryczna” to tytuł czasopisma wydawanego w Toruniu w latach 1937–1939. Wydawcą tego periodyku, który miał spopularyzować używanie kuchenek elektrycznych i w ogóle prądu w gospodarstwie domowym, była elektrownia wodna w Gródku. Dyrekcja elektrowni mieściła się w Toruniu. Tu w 1935 r. wydano broszurę pt. *Kuchenska kawalerska. Przepisy kulinarne* (na stronie tytułowej jako *Elektryczna kuchnia kawalerska*). Dopiero jednak późniejsze czasopismo przedstawiało czytelnikom pełną listę zalet gotowania na kuchni elektrycznej. Robiono to systematycznie, a wydawane co miesiąc kolejne numery pisma dotyczyły sezonowych potraw, świąt i pór roku.

W epoce kuchni indukcyjnych i odchodzenia w przeszłość kuchenek gazowych trudno już nam sobie wyobrazić na czym polegała ta dawna rewolucja w gotowaniu, przed drugą wojną światową tylko rozpoczęta i potem na długie lata odłożona. Zapewne sporo osób pamięta jeszcze kuchnie węglowe i codzienny trud związany z użyciem rozpałki, drewna i węgla. Powolne rozpalać, popiół, dym i sadza, a nawet czad i ogromna pracochłonność takiego typu gotowania to coś, o czym całkiem już zapomnieliśmy.

Uroki opisywanej w toruńskim czasopiśmie kuchni elektrycznej chcielibyśmy przedstawić w oparciu o numery z miesięcy letnich, by w ten sposób nawiązać do zbliżających się wakacji i tematyki wakacyjnego już numeru „Głosu”. Tak broszurka o kuchni kawalerskiej, jak i pierwszy numer „Kuchni Elektrycznej” z 1937 r., zawierały całą serię zupełnie podstawowych informacji o działaniu urządzeń elektrycznych i ich obsłudze. Dla nas dzisiaj porady te brzmią cokolwiek dziwacznie i naiwnie, musimy jednak pamiętać, że były one adresowane do osób, które nigdy wcześniej nie miały do czynienia z prądem w ogóle, a z gotowaniem na urządzeniach elektrycznych w szczególności. Jak jednak stwierdzali redaktorzy pisma „nieomal każda Pani Domu marzy o zelektryfikowaniu swego gospodarstwa domowe-



go”. Czytelnikom, a raczej czytelniczkom należało wyjaśnić, że:

„Kuchnia posiada płytki o różnej wielkości i piekarnik. Płytki są znormalizowane i do każdej wielkości płytki jest odpowiednio dobrana moc, którą mierzy się w watach”. Poza tym „Każdą płytkę posiada trójstopniową regulację i jest włączana oraz regulowana za pomocą przełącznika”.

Inne uwagi dotyczyły garnków, oszczędnego gotowania, możliwości użycia „grzałki nurkowej” i w szczególności funkcjonowania piekarnika.

Drugi numer pisma z października 1939 r. dotyczy już ogólnych zasad gotowania omawianych w nawiązaniu do podstawowych rodzajów potraw: zup, ryb, mięs, warzyw czy osobno ziemniaków. Dopiero w trzecim numerze, w którym dalej kontynuowano opis ogólnych zasad działania kuchenek elektrycznych i sposoby przygotowywania podstawowych rodzajów potraw i dodatków (tu już kompoty, suflety, pieczywo i ciasta) podano szczegółowe receptury.

Jak stwierdzono, z uwagi na zbliżający się Adwent i post, zaproponowano czytelniczkom potrawy z ryb i opisano sposoby przyrządzania szczupaka nadziewanego sardelami (anchois), szczupaka po polsku i ryby duszonej w jarzynach (ale jeszcze nie po grecku). Numer grudniowy dotyczył już menu wigilijnego. W kolejnych wydaniach pisma koncentrowano się już na produktach i potrawach sezonowych.

Lato

Ponieważ czasopismo zaczęło wydawać od września 1937 r., to w poszczególnych numerach opisano dwa sezony letnie (w 1938 i 1939 r.). W 1938 r. czerwiec uznano w zasadzie jeszcze za miesiąc wiosenny i cały numer poświęcono przyrządzaniu szparagów. Nieco inny rytm przyrody oraz inna organizacja pracy w ogrodnictwie i rolnictwie sprawiały, że sezon szparagowy zaczynało nieco później niż dzisiaj.



Numer lipcowy poświęcono zaprawom, sterylizacji warzyw i owoców. Oprócz zielonego groszku, długo, nawet w postaci konserwowanej uważanego za niezwykły i wyrafinowany przysmak, opisano tu sposoby konserwowania truskawek, czereśni i agrestu. Sezon na truskawki najwidoczniej również padał wtedy później niż obecnie.

Kolejny, podwójny numer za sierpień i wrzesień, dotyczył już wyrobu i konserwacji soków oraz przygotowywania dżemów. Zamieszczono w nim także recepturę na szarlotkę i sposób konserwowania (wekowania) grzybów.

Lato dla gospodyń pomorskich nie było więc czasem beztroskich wakacji, podróży i przygód. Tak jak innym paniom domu letnie miesiące to w gospodarstwie domowym – tak na wsi jak i w mieście okres intensywnych prac właśnie nad konserwacją żywności. Rozpowszechniające się właśnie wtedy techniki wekowania i apertyzacji (sterylizacji) mogły być stosowane w o wiele prostszy i szybszy sposób dzięki wykorzystaniu kuchni, a zwłaszcza piekarników elektrycznych. Ponieważ przy tych wielodniowych, a właściwie wielotygodniowych, a nawet wielomiesięcznych zabiegów (od szparagów, koperku czy szczawiu) po grzyby, śliwki i gruszki gospodynie nie musiałyby się już zajmować przygotowaniem opału, podsycaniem ognia, wybieraniem popiołu i czyszczeniem osadzającej się wszędzie sadzy, mogły poświęcić więcej czasu samemu wekowaniu.

Konserwacja owoców, wyrób dżemów i soków bardzo długo stanowiły dla naszych przodków coś w rodzaju magii. Ograniczone możliwości przechowywania świeżych owoców i warzyw oraz stopniowe dopiero rozpowszechnianie się apertyzacji sprawiały, że przetwory owocowe były dla dawnych konsumentów czymś właściwie takim samym jak świeże owoce. A nawet czymś lepszym, bo słodkim, lepiałym się od cukru, ociekającym gęstym syropem. Dopiero w czasach międzywojennych udało się zwiększyć produkcję buraków cukrowych i podaż samego cukru, który intensywnie promowano jako produkt narodowy, smaczny i przede wszystkim – jak solennie zapewniano – zdrowy. Słynne hasło reklamowe „Cukier krzepi” było tak wszędobylskie i rzucające się w oczy, że podróżujący pociągami cudzoziemcy przypuszczali, że jest to popularna i ciągle powtarzająca się nazwa miasta (stacji kolejowej).

Przez całe wieki smażenie w cukrze, oblepione słodkim syropem „konfekty” i tzw. „suche konfitury” były przywilejem elit. Cukiernicy i zwłaszcza tzw. „konfiturnicy” należeli do najlepiej opłacanych adeptów sztuki kulinarnych, a ich specjalność uznawano za fach bliski zajęciom artystycznym. Tzw. „aparaty” Wecka, a więc nie tylko stoiki ze sprężynkami, ale cały system [postumentów do zamykania stoików, kociołków, podgrzewaczy i obowiązkowego termometru. Użycie kuchni elektrycznej pozowało na odejście od tej skomplikowanej i drogiej aparatury



Reprodukcja egzemplarza „Kuchni Elektrycznej” (KPBC UMK)

i apertyzację słoików z zaprawami bezpośrednio w piekarniku czy w kotle umieszczonym na elektrycznych i lepsze kontrolowanie temperatury.

W czerwcu 1939 r. jeszcze raz, jak podkreślono w redakcyjnym wstępie, wrócono do tematu szparagów. Podkreślono przy tym, że szparagi są w Polsce warzywem relatywnie nowym i ciągle mało znanym, porady dotyczące ich konserwacji oraz przygotowywania potraw ze szparagów będą więc bardzo pomocne,

Z punktu widzenia historycznego teza o szparagach jako innowacji z XX wieku wydaje się ryzykowna. W Polsce opisywano je i zachwycano się nimi co najmniej od XVI wieku, była to jednak pasja bardzo elitarna. Tak jak sama apertyzacja i używanie cukru do konserwacji owoców szparagi zaczęły się demokratyzować dopiero w XX wieku i taki właśnie proces możemy dostrzec w recepturach i poradach z toruńskiej „Kuchni Elektrycznej”. Co prawda za godne opisanie w poczytnym już piśmie uznano kurczęta duszone w sosie pomidorowym (kiedyś i kurczaki stanowiły przysmak sezonowy. Czytelnikom proponowano też zupę „jarzynkową”, a na deser krem czekoladowy, ale znakiem rozpoznawczym czerwca dalej były szparagi.

By nieco zmienić tematykę numeru lipcowego, zajęto się w nim przede wszystkim procedurami przyjęciami gości w godzinach popołudniowych. Do herbaty czy kawy radzono wtedy podawać konfitury i przepisy na nie wypełniły numer podobnie jak rok wcześniej.

W numerze sierpniowo-wrześniowym, ostatnim wydaniu naszej „Kuchni Elektrycznej” opisano sezonowe menu na lato i idąc tym tropem, zamieszczono odpowiednie receptury. Taki wzorcowy obiad miał się składać z pomidorów faszerowanych (na przystawkę), chłodnika, kurcząt duszonych z mizerią i smażonych ptysiów z sokiem. Główne elementy tego menu zamieszczamy niżej w wybranych recepturach.

Zaczęliśmy od piekła związanego z używaniem kuchni węglowej latem. Kończymy na wybawieniu, jakie pomorskim czytelniczkom przyniosła kuchnia elektryczna. Do wakacji, urlopów i podróży było jeszcze daleko, ale:

„Nasze czytelniczki z uśmiechem wspominają te przykrości, gdyż gdzie elektryczność gotuje tam jest chłodno i miło nawet w upalne dni sierpniowe. W niniejszym numerze podajemy naszym czytelniczkom przepisy na trzy obiady oraz dania nadające się na kolację, przyrządzone wyłącznie na kuchence dwupłytkowej typu TA2-20”.



Elektrownia w Gródku

Fot. Ulrich Jahr

Receptury

Chłodnik

Produkty:

3 szklanki dobrego rosółu (bez tłuszczu), sok z kiszonych ogórków lub cytryny do smaku, 1 szklanka dobrej śmietany, 4 buraki, 1 wiązka kopru, 2 jajka na twardo, 15 deka pieczeni cielęcej, 1 świeży ogórek, 1 łyżeczka mąki, sól.

Kolejność czynności:

- 1) Ogórek obrać, pokrajać w plasterki i lekko posolić.
- 2) Koperek drobno posiekać.
- 3) Jaja obrać i pokrajać na drobne cząstki.
- 4) Pieczeń cielęcą pokrajać w drobną kostkę.
- 5) Buraczki pokrajać w plasterki (należy zwrócić uwagę, aby buraczki były w środku ciemne).
- 6) Rosół zagotować, dodać soku ogórkowego lub cytryny do smaku, wrzucić buraczki, zaprawić mąką, raz zagotować i zestawić z płytki.
- 7) Po 10 minutach zupę przecedzić.
- 8) Dodać do zupy śmietanę, ogórek, koperek, jajka i cielęcinę, dobrze wymieszać i dopiero posolić. Dodać odrobinę cukru do smaku.
- 9) Przebrać do wazy i wynieść w zimne miejsce dla ostudzenia.
- 10) Przy wydaniu na stół włożyć do wazy drobne kawałeczki chemicznie czystego lodu.



Reprodukcja egzemplarza Kuchni Elektrycznej (KPBC UMK)

Kurczęta duszone w sosie pomidorowym

Produkty:

2 kurczaki, 1/2 szklanki marmelady pomidoro-
wej, 1 szklanka wody, 1 łyżeczkę masła, 2 łyżeczki
mąki, 1/4 szklanki śmietany, sól, magi.

Kolejność czynności:

- 1) Oczyszczone i osolone kurczęta przekroić na cztery części, jeśli mniejsze na pół, włożyć do nagrzanej nelsonki, dodać trochę masła i rumienić na stopniu „2” przez 12 minut na płytce 180 mm.
- 2) Gdy kurczęta zarumienione, dodajemy wodę i dusimy na stopniu „1” od 30 do 40 minut.
- 3) Gdy kurczęta miękkie, dać pomidory, zaprawić mąką i śmietaną, dodać resztę masła, posolić do smaku, dodać parę kropli magi (aby sos był trochę ostrzejszy), raz zagotować i podawać na stół.

Marmelada z agrestu

Produkty:

1 kg agrestu, 50 dkg cukru, 3/4 szklanki wrzącej wody.

Kolejność czynności:

- 1) Agrest obrać z korzonków i dobrze wymyć.

- 2) Zmleć na maszynie.
- 3) Przygotować syrop jak do konfitur.
- 4) Wrzucić zmielony agrest i wolno gotować, często mieszając, aby się nie przypalił. Mieszać tylko drewnianą łyżką.
- 5) Gdy masa już dosyć gęsta, bierzemy trochę marmelady na łyżkę i spuszczaemy z góry na powrót w nelsonkę, jeśli nie utonie w masie pozostałej w nelsonce, marmelada gotowa.
- 6) Bardzo gorącą marmeladę kładziemy do nagranych słoików, aby się z wierzchu utworzyła twarda skorupka.
- 7) Na drugi dzień zawiązujemy słoiki i chowamy w suche i chłodne miejsce.

Czas gotowania:

płytką 180 mm, nelsonka 44/20.

- 1) Zrobić syrop jak na konfitury.
- 2) Wrzucić agrest, płytkę przełączyć na „3”, na 7 minut.
- 3) Gdy marmelada zagotowała się przełączyć płytkę na „1” na 70 minut następnie na „0” na 10 minut.

Marmelada truskawkowa

Produkty:

1 kg truskawek, 25 dkg cukru, 1 szklanka soku ze świeżych przetartych porzeczek

Kolejność czynności:

- 1) Truskawki obrać z korzonków.
- 2) Wymyć w wodzie.
- 3) Włożyć do nelsonki, dodać sok z porzeczek, postawić na płytce, przykryć pokrywą i zagotować.
- 4) Gdy się zagotują, zdjąć pokrywę, aby marmelada mogła parować i gotować aż będzie gęsta, (próba gęstości taka sama jak dla marmelady agrestowej).

Czas gotowania:

płytką 180 mm, nelsonka 44/20.

- 1) Postawić nelsonkę z truskawkami na płytce, przykryć pokrywą, płytkę włączyć na „3” na 7 minut.
- 2) Gdy się zagotują zdjąć pokrywę, przełączyć na „1” na 50 minut i na „0” na 10 minut.



Prof. Jarosław Dumanowski — kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarnego na Wydziale Nauk Historycznych UMK

Aleksandra Kleśta-Nawrocka

Lato z Martą

Nadchodzące letnie miesiące cieszą nas nie tylko z powodu zbliżającego się urlopu i wakacji. To przecież okres, w którym możemy bezkarnie zjadać się sezonowymi warzywami i owocami. Za tym smakiem i aromatem przynajmniej ja tęsknię przez wiele miesięcy.

Lato to także czas wyjazdów tych dalszych i tych bliższych. A gdyby tak wyjechać do Grudziądza, pójść na targ, kupić truskawki, świeże raki i tajemniczo brzmiący mużeron? I żeby było jeszcze ciekawiej, a z pewnością nasze zakupy mogłyby się powieść, musielibyśmy się przenieść w czasie. Na przykład do XIX wieku, kiedy to truskawki były gastronomiczną nowością, a mużeron (grzyb o intensywnym cebulowym smaku zbierany powszechnie w maju i czerwcu) i raki były popularnymi i eleganckimi produktami,

które najlepiej smakowały właśnie w miesiącach letnich.

Skąd ten pomysł? Lato, Grudziądz i XIX wiek – ta myśl chodzi mi po głowie, odkąd poznałam pewną Martę i o tym będzie ta opowieść.

W listopadzie ubiegłego roku Wydawnictwo Naukowe UMK opublikowało niezwykle ciekawą książkę... kucharską. Pojawiło się najnowsze wydanie, krytyczne opracowanie smakowitego źródła *Marta. Godna zaufania doradczyni w sztuce kulinarnej i w wielu innych dziedzinach gospodarstwa domowego*. Autorki krytycznej edycji – Anna Mikołajewska, Katarzyna Szczerbowska-Prusevicius oraz Marta Sikorska – przywróciły czytelnikom mieszczański poradnik dla kobiet, w którym najważniejsza jest kuchnia. Te trzy niezwykle kobiety – dwie filolożki germańskie, literaturoznawczynie i historyczka



Spotkanie promocyjne w Restauracji Spichrz w Toruniu, 02.04.2025 r.: od lewej: dr Anna Mikołajewska, dr Marta Sikorska (fot. Marcin Lutomiński)



Jeden z przepisów z *Marty* serwowanych w Restauracji Spichrz (fot. Marcin Lutomierski)

sztuki kulinarnej już 8 lat temu zakasały rękawy i wykonały mrówczą pracę. Dokonały nie tylko przekładu tekstu z języka niemieckiego, ale również zabawiły się w detektywa, poszukując źródeł tej książki i przede wszystkim dowodów na istnienie autorki dzieła! Tak, przez lata nie było to wcale takie oczywiste, że autorka to kobieta z krwi i kości – Minna Hooff, dojrzała 45-letnia kobieta, która wydała *Martę*, by wspomóc grudziądzki sierociniec. A tytułowa *Marta* – zapytacie? To w przeszłości jeszcze oczywiste nawiązanie do świętej Marty, patronki między innymi kucharzy i zapracowanych kobiet, której historia pięknie splata się z intencją Minny Hooff. Te soczyste historie zamieszczono w początkowych rozdziałach najnowszego wydania, a część tę pięknie zatytułowano *Pociągami do Przeszłości*. To dzięki niemu przenosimy się do XIX-wiecznego Grudziądza i zanurzamy w ówczesne realia miasta oraz regionalne smaki.

Dla mnie – smakoszki i badaczki dziedzictwa kulinarnego każda taka publikacja jest jak czekoladka wybierana z bombonierki. Ślinka cieknie na samą myśl. Dlatego też, kiedy tylko dowiedziałam się o tym, że *Marta* na nowo ujrzała światło dzienne na rynku wydawniczym, wiedziałam, że muszę ją zdobyć, poznać bliżej nie tylko jej treść, ale także jej historię. Nie tylko dlatego, że to książka kucharska, nie dlatego, że to książka z XIX wieku, ale powodem było również to, że jest to książka z naszego regionu i miasta, które bardzo lubię.

Marta została po raz pierwszy wydana w Grudziądzu w 1866 roku, po czym wielokrotnie wznowiana. Książka była również inspiracją dla innych autorów i redaktorów wydawanych wówczas książek kulinarnych. Z niej bowiem czerpał – jak ustalili badaczki i autorki ostatniego krytycznego wydania – choćby autor i redaktor najstarszej toruńskiej książki kucharskiej – *Kuchni polskiej* z 1885 roku. Jak się możecie domyślić, nie zdradził tego w tekście, a nawet nie wstawił przypisu. Gdybyśmy my tak dziś zrobili... strażnicy prawa autorskiego mieliby co robić... Wówczas, nie było nad takimi sytuacjami kontroli, a pożyczanie przepisów było rozpowszechnioną praktyką.

Jedno warto podkreślić – książka musiała od samego początku inspirować i była drogowskazem dla wielu kobiet, a jej XXI-wieczne wydanie jest świadectwem długiego trwania tego fenomenu.

Pierwotnie *Marta* była dedykowana kobietom prowadzącym gospodarstwo domowe, również tym, które dopiero wkraczają na tę drogę, więc przepisy są kreślone bardzo precyzyjnie. Mogły z nich z powodzeniem uczyć się sztuki kulinarnej młode dziewczęta, dla których umiejętność dobrego przyrządzania posiłków była z pewnością atutem na przykład podczas szukania pracy. To także poradnik kulinarny i gospodarski, skierowany do kobiet z niższych warstw społecznych – życiowy drogowskaz w codziennym funkcjonowaniu.

Smaki Marty

Smaki *Marty* to przede wszystkim lokalne i tradycyjne potrawy. Począwszy od zup (buliony, rosoly, zupy kwaśne i słodkie, na zimno i na gorąco), przez kluski, kasze, wytrawne przysmaki, różności, mięsa, frykasy, potrawki, sosy, warzywa, ryby, farsze, placiki, puddingi, leguminy, galaretki, kremy, lody, ciasta, napoje, sałatki, pikle i inne przetwory... Tak, proszę Państwa – *Marta* to zbiór ponad 600 receptur, bardzo szeroka gama pomysłów, procedur kulinarnych,

zróżnicowanie produktów i umiejętność ich przetworzenia oraz konserwowania. XIX wiek w kulinarno-gospodarskiej pigułce. Nomen omen - znajdziecie tam także pomysły na ówczesne domowe lekarstwa.

Autorki najnowszego wydania dzielą się refleksją nad tym czy była to kuchnia prowincjonalna, czy może kosmopolityczna? Zanim bowiem rozpoczniemy przeglądanie dziewiętnastowiecznych receptur, zostajemy wprowadzeni w kontekst, byśmy mogli jeszcze lepiej zrozumieć ówczesne przepisy kulinarne, zadziwić się nimi, a może po prostu spróbować przekonać się do słodko-kwaśnych smaków. Te na północy Polski do dziś są traktowane jako swojskie i tradycyjne.

Niemniej dla tradycjonalistów i kulinarnych konserwatystów lektura *Marty* może być powodem przyspieszenia tętna i skoków ciśnienia – nie tylko z przyjemności czytania dawnych receptur, ale z powodu tego, co w nich można wypatrzyć – cały kolonialny świat – od sosu sojowego, po curry! Tak, mnie też ta informacja zszokowała, podobnie jak żółwie w puszkach!

Frykasy z kury i inne potrawy, w których występuje aromatyczna przyprawa curry, modna w XIX wieku za sprawą kolonii angielskich, to świadectwo ówczesnej ciekawości i fascynacji tym co egzotyczne i niebanalne. Umiejętność jej przygotowania była możliwa dzięki wskazówkom, a przez to chęć posiadania zaspokojona.

Proszek curry

Bierze się 6½ uncji nasion kolendry, 1½ uncji kminku, ¼ uncji kardamonu, 3 uncje kurkumy i ½ uncji imbiru. Po oczyszczeniu i utarciu na drobny proszek każdą przyprawę z osobna stawia się na ogniu do wysuszenia i dopiero potem miesza przyprawy ze sobą. Gdy mieszanka wystygnie, dodaje się 20 kropli olejku cytrynowego, 10 kropli olejku goździkowego i 10 kropli olejku muskatołowego, dokładnie miesza się i rozciera w młynku. Mieszaninę przechowuje się w butelkach. Taka ilość starczy na 2–3 razy.

Jeśli kto potrzebuje dokładnych ilości, ten bierze: 10 łutów i 8 kwentyn nasion kolendry, 2 łuty i 7 kwentyn kminku, ½ łuta kardamonu, 5 łutów i 4 kwentyny kurkumy, jeden łut imbiru, 20 kropli olejku cytrynowego, 10 kropli olejku goździkowego i 10 kropli olejku muskatołowego.

Odwieczne pożądanie tego co odległe geograficznie i kulturowo uwidacznia się na kartach książki, która była dedykowana przecież zwykłym gospodyniom. Procedura przygotowania samego proszku



Obwoluta najnowszego wydania książki (fot. WN UMK)

wydać się dość skomplikowana, bo samo curry nie jest li tylko zwykłą mieszaniną przypraw. Widzimy tu bogatą paletę ingrediencji, aromatyczny orient zamknięty w butelkach.

Smakowite spotkanie autorskie i promocja grudziądzkiej książki kucharskiej

Na początku kwietnia w toruńskiej restauracji Spichrz odbyło się piękne, uroczyste i wzruszające spotkanie. Autorki najnowszej edycji opowiedziały o swojej pracy, o poszukiwaniach i w końcu o samej książce i kuchni z czasów, w których *Marta* powstawała. O to, żeby laik, głodny łasuch mógł lepiej zrozumieć sedno treści i tajemniczej historii zawartej na drukowanych stronicach, organizatorzy wydarzenia postarali się doskonale.

O gości i ich podniebienia zadbała kuchmistrzyni Ewa Politowska-Krajniewska, znana z tego, że kocha wszystko co związane z dziedzictwem kulinarnym, a starym recepturom nadaje nowe życie! Na spotkaniu autorskim uraczyła obecnych słucha-

czy daniami prosto ze stron *Marty*, dzięki którym wiele osób na sali mogło przenieść się w czasie – nie tylko do Grudziądza z XIX wieku, ale jak się okazało do domu babci, mamy czy ciotki. W menu znalazły się: zupa z kaczki i jabłek, jaja z serdelami i palonym masłem, gotowany filet z piersi kurczaka z sosem jajecznym z rodzynkami, pierogi z gromką i śliwkami. A dla spragnionych przygotowano koktajle o tajemniczo brzmiących i dostojnych nazwach: papież, kardynał, biskup. Wiem, że w restauracji wprowadzono do menu wkładkę z daniami inspirowanymi *Martą*. Serdecznie zachęcam do ich spróbowania.

Na targach książki regionalnej

13 maja 2025 r. w Bibliotece Uniwersyteckiej, podczas targów książki regionalnej miałam przyjemność prowadzić rozmowę inspirowaną *Martą* i dawnymi książkami kucharskimi z województwa kujawsko-pomorskiego. Rozmawiałam z dr Martą Sikorską, dr Anną Mikołajewską oraz prof. Jarosławem Dumanowskim, którzy dzielili się swoją wiedzą oraz doświadczeniem w zakresie badań nad dawnymi tekstami i historią sztuki kulinarnej. Zastanawialiśmy się wspólnie, co badacz może wyczytać z książek kucharskich, jakie są źródła badań nad dawną kuchnią oraz jak, na podstawie źródeł kulinarnych, odczytywać tożsamość. Nie zabrakło również smaczków z przeszłości, wspomnień, największych zaskoczeń i wzruszeń. Tak, opowieści o dawnej kuchni, a zwłaszcza uświadomienie sobie długiego trwania zapisanego w smaku może wywoływać różne emocje. Przywoływane pierogi z gromką i suszoną śliwką, sos jajeczny z rodzynkami, pomelki, zupa z gęsi lub kaczki na kwaśno, Klops smażony, na kwaśno, z toruńską katarzynką to tylko kilka przywołanych potraw ze stron *Marty*. Niewielki skrawek, opowiadający o przeszłości kulinarnej naszego regionu. Mam nadzieję, że Państwa zaciekawi i sięgniecie z apetytem do tej książki.

Lektura *Marty* jest jak podróż przywołanym wcześniej pociągiem do przeszłości, z wagonem restauracyjnym, serwującym dania proste i skomplikowane, swojskie i egzotyczne zarazem. Zachęcam do tej podróży. Smacznego.

Życząc Państwu pięknego i ciepłego lata, podsyłam recepturę na orzeźwiające lody i inne specjały z „*Marty*”.

Lody z lemoniady

28 łytów cukru rozpuszcza się w $\frac{3}{4}$ kwarty wody i soku z 5–6 cytryn, z których usunięto pestki, i zagotowuje. Następnie dodaje się skórki z 2 cytryn, które mają się tylko zaparzyć, a nie zagotować. Potem przelewa się płyn przez muślinową ściereczkę i następnego dnia wcześniej rano odstawia do zamrożenia. Po pół godzinie mrożenia do masy dodaje się lekko ubitą, a nie sztywną pianę z białek 10 jaj. Piana znacznie zwiększa objętość lodowej masy, dlatego należy na początek wypełnić nią pojemnik tylko do połowy.

Legumina truskawkowa na zimno

Truskawki, najlepiej takie prosto z ogrodu, dokładnie się płucze i przeciera przez sito włosiane. Na jedną kwartę musu truskawkowego bierze się $1\frac{1}{4}$ funta przesianego cukru, szybko to razem zagotowuje i miesza z 3 łytami rozpuszczonej w 3 filiżankach wody czerwonej żelatyny przelanej przez muślinową ściereczkę.

Powstałą masę wypełnia się do połowy formę do leguminy lub misę, a gdy wystygnie, wypełnia się drugą połowę formy bitą śmietaną, którą należy doprawić cukrem i startą skórką cytrynową. Można udekorować ją wedle uznania pozostawionym do tego celu musem truskawkowym albo surowymi truskawkami.

Przygotowanie masła rakowego

Po dokładnym usunięciu wnętrzości, oczu i wszystkich innych wystających części czyste pancerze raków rozgniata się w moździerzu, dodaje tyle masła, żeby w połowie pokrywało raki, stawia na ogniu, dolewa trochę wody, żeby masło się nie smażyło, i gotuje.

Po kwadransie ponownie dolewa się trochę gotującej się wody, przeciera masło przez sito albo cedzak i wlewa do garnka. Pancerze ponownie zalewa się gotującą się wodą, tak żeby pływały w płynie, a masło zebrło się na powierzchni, wszystko to solidnie się przegotowuje i zlewa do płynu będącego już w garnku, a na końcu jeszcze dokładnie opłukuje pancerze gotującą się wodą. Potem zbiera się czerwone masło z powierzchni płynu.

Dr Aleksandra Kleśta-Nawrocka — Wydział Prawa i Administracji UMK, badaczka i popularyzatorka dziedzictwa kulinarnego

Magdalena Schulz

Głodówki – szybkie efekty, czy narzędzie wspierające zdrowie?

Lato za pasem, więc Ci którzy odwiekali w czasie zmianę stylu życia, zaczynają szukać szybkiego sposobu na zmniejszenie obwodów ciała. I wtedy pojawia się ona: głodówka! Obietnica szybkiego spadku masy ciała przed urlopem czy ważnymi wydarzeniami. Ale o głodówkach mówimy nie tylko w kontekście odchudzania, coraz częściej są praktykowane jako sposób na oczyszczenie i „zresetowanie” organizmu.

Zwolennicy przekonują, że okresowa rezygnacja z jedzenia może wspierać funkcjonowanie przewodu pokarmowego oraz regenerację komórek, a nawet wydłużać życie. Przeciwnicy z kolei ostrzegają przed niedoborami pokarmowymi, spadkiem energii oraz ryzykiem zaburzeń odżywiania. Jak jest naprawdę? W tym artykule obiektywnie przyjrzymy się głodówkom i sprawdzimy, jakie są potencjalne korzyści i zagrożenia z ich stosowania.

Rodzaje głodówek

Post przerywany (intermittent fasting – IF)
Polega na ograniczeniu jedzenia do określonego okna czasowego w ciągu doby, np. 8 godzin zwyczajowego jedzenia i 16 godzin postu (metoda 16:8 jest najpopularniejsza) lub 5 dni jedzenia wg upodobań i 2 dni drastycznego obciążenia kalorii, czyli metoda 5:2 (periodic fasting – PF). Do postów przerywanych możemy zaliczyć również post alternatywny, czyli stosowanie głodówki co drugi dzień naprzemiennie ze zwyczajową dietą.

Długotrwały post (long – term fasting – LF)
Powstrzymanie się od jedzenia od dwóch do nawet kilkudziesięciu dni lub minimalna podaż kalorii w granicach 200–300 kcal / dobę. Do długotrwałych głodówek możemy również zaliczyć VLCD (very low calories diet), gdzie przez okres 6–12 tygodni stosowana jest dieta ok. 1000 kcal, zawierająca około 100 g białka dziennie.



Post ścisły

Całkowita rezygnacja z jedzenia, trwająca zazwyczaj od 24 do 72 godzin, w trakcie której spożywa się jedynie wodę i elektrolity. Ten rodzaj głodówki najczęściej jest stosowany w warunkach ambulatoryjnych, np. po ostrym zapaleniu trzustki.

Głodówka oczyszczająca

Fanatycy detoksów często stosują głodówki w celu „oczyszczenia organizmu z toksyn”. Uważają, że przejście na kilkudniową monodietę (np. sokową) usunie z organizmu nadmiar toksyn oraz ograniczy dostarczanie zanieczyszczeń z żywności, takich jak: metale ciężkie, pestycydy czy dodatki do żywności. Dziś już wiemy, że badania naukowe nie potwierdzają tej tezy i głodówki w żaden sposób nie prowadzą



do pozbycia się toksyn. Wiemy także, że detoks zachodzi w naszym ciele 24h/7, za sprawą chociażby wątroby i nerek, które metabolizują toksyczne związki. W związku z tym codziennie powinniśmy wspierać pracę tych narządów, a nie poprzez okresowe oczyszczanie. Warto w tym celu ograniczyć lub



wyeliminować używki, alkohol, spożywać więcej warzyw oraz nie objadać się.

Co się stanie, gdy drastycznie ograniczymy jedzenie?

W pierwszej dobie głodówki organizm wykorzysta zapasy energetyczne glukozy oraz glikogenu w wątrobie i zacznie czerpać energię z białek i tłuszczów. Obniżenie poziomu glukozy we krwi poniżej normy (hipoglikemia) może powodować niepokojące objawy: wzmożoną potliwość, kołatanie serca, silny głód, niepokój, a nawet omdlenia. Po około dobie od zaprzestania jedzenia (lub drastycznego ograniczenia) dochodzi do zmian metabolicznych. Organizm przedstawia się na czerpanie energii z ciał ketonowych (stan ketozy), dlatego zwiększeniu ulega ich stężenie (najwyższe wartości odnotowuje się po około 4 dniach). Po adaptacji nieprzyjemne objawy mijają, zmniejsza się uczucie głodu i łatwiej jest wytrwać kolejne dni na głodówce. Pytanie tylko, czy warto? Badania naukowe nie potwierdzają związku między stosowaniem długotrwałych głodówek a poprawą zdrowia i wydłużeniem życia.

Czy głodówki są zdrowe?

Zastanawiając się nad odpowiedzią na pytanie, czy głodówki są zdrowe, nie możemy udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Zależy to od rodzaju postu oraz celu jego zastosowania. Okresowe głodówki prowadzone pod nadzorem lekarza są stosowane jako element leczenia niektórych schorzeń lub u pacjentów z dużą otyłością, gdzie dieta bardzo restrykcyjna niesie za sobą mniejsze zagrożenie dla zdrowia niż powikłania otyłości olbrzymiej. Innym rodzajem głodówki, który ma uzasadnione zastosowanie jest post przerywany (IF). Zgodnie z aktualnym stanem wiedzy IF poprawia profil lipidowy, zwiększa wrażliwość tkanek na insulinę, a także ułatwia redukcję masy ciała (niektórym zastosowanie postu przerywanego pomaga ograniczyć wieczorne i nocne podjadanie). Powyższe korzyści zdrowotne można również osiągnąć, stosując standardową restrykcję kaloryczną, dlatego warto pamiętać, że IF jest tylko jednym z narzędzi, a nie remedium na nadmierną masę ciała. Istnieją różne metody na poprawę sylwetki, natomiast wszystkie sprowadzają się do jednego mechanizmu: wygenerowania deficytu energetycznego, czyli dostarczenia do organizmu mniejszej ilości energii, niż jest w stanie wydatkować w ciągu dnia. Nie ma znaczenia, jakim sposobem uda się wygenerować deficyt, natomiast warto wybrać taki

model, który jesteśmy w stanie stosować długoterminowo i który może stać się naszym zdrowszym stylem życia. U części osób zastosowanie czasowego okna żywieniowego będzie ułatwiało utrzymanie deficytu energetycznego oraz zmianę nawyków żywieniowych. Badania pokazują, że efekty zastosowania okresowych głodówek i tradycyjnej diety redukcyjnej są porównywalne, natomiast zauważa się większy odsetek rezygnujący z okresowych głodówek niż ze zwykłej diety odchudzającej. Natomiast do niezaprzeczalnych plusów postu przerywanego można zaliczyć wydłużony post nocny (najlepiej, aby stanowił minimum 12 h), w czasie którego układ trawienny ma szansę odpocząć i się oczyścić, a mózg lepiej zregenerować w czasie snu. Dlatego nawet przy standardowym żywieniu warto spożywać lekko, wcześniejszą kolację.

Negatywne skutki głodówek

O ile okresowe głodówki nie niosą dużego zagrożenia dla zdrowia, o tyle stosowanie długotrwałych głodówek na własną rękę może powodować wystąpienie wielu niepożądanych objawów, np.:

- zmęczenie,
- hipoglikemię,
- zaparcia,
- biegunki,
- zmniejszenie masy mięśniowej,
- stłuszczenie wątroby,
- upośledzenie funkcji nerek,
- obrzęki,
- kamicę żółciową,
- dnę moczanową,
- choroby układu sercowo-naczyniowego,
- obniżoną odporność,
- niedobory witamin i składników mineralnych,
- obniżenie podstawowej przemiany materii,
- zmniejszenie masy kostnej

Nawet diety bardzo niskokaloryczne, np. VLCD (very-low-calorie diet) mają uzasadnione zastosowanie tylko w określonych przypadkach klinicznych, pod ścisłym nadzorem lekarza. Takie głodówki długotrwałe są przeznaczone dla osób z ciężką otyłością, które nie reagują na standardowe interwencje i wymagają medycznie uzasadnionej szybkiej utraty wagi, np. przed operacją.

A co z efektem jo-jo?

Głodówka wiąże się z deficytem energetycznym, więc oczywiście zauważymy ubytek kilogramów.



Niestety, szybkie zmniejszenie masy ciała jest głównie powiązane z wyczerpaniem zapasów glikogenu oraz redukcją wody, a nie tkanki tłuszczowej. Dodatkowo, zastosowanie głodówki nie uczy prawidłowych nawyków żywieniowych, dlatego po powrocie do standardowej diety istnieje dużo ryzyko efektu jo-jo. Częste stosowanie detoksów, głodówek i wymyślnych diet z dużymi restrykcjami sprzyja utracie masy mięśniowej, co przekłada się na obniżenie podstawowej przemiany materii. Duże restrykcje kaloryczne również osłabiają organizm, powodują złe samopoczucie i brak energii na aktywność fizyczną. W efekcie przemiany metaboliczne ulegają spowolnieniu, a każda próba odchudzania może kończyć się powrotem kilogramów z nawiązką.

Głodówka głodówce nie równa. Istnieją różne rodzaje ograniczenia jedzenia, nie wszystkie są niebezpieczne dla zdrowia. Okresowe posty u części osób mogą ułatwiać generowanie deficytu energetycznego i wówczas stanowią skuteczne narzędzie do redukcji masy ciała i poprawy wyników parametrów krwi. Natomiast długotrwałe głodówki (dramatyczne lub ściste) mogą powodować szereg niebezpiecznych konsekwencji zdrowotnych i nie polecam stosowanie ich na własną rękę. Takie metody nie sprzyjają również trwałych rezultatów. Sukcesem nie jest szybki spadek masy ciała, tylko utrzymanie wypracowanego efektu. Dlatego należy znaleźć „swoją dietę”, która odpowiada naszym preferencjom oraz jest zgodna ze stylem życia. Tylko w ten sposób osiągniemy swój cel na lata, zamiast do lata.



Mgr Magdalena Schulz — absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny

Zdjęcia Winicjusz Schulz

Marek Jurgowiak

Świadomość śmierci – dar i przekleństwo

„Każdy pragnie żyć długo,
ale nikt nie chciałby starości”
Jonathan Swift (1667–1745)

„Nie jest zaś prawdopodobne, by natura, która
wszystkie poprzednie okresy życia doskonale
przeprowadziła, niby akt pięknej sztuki, zlekcewa-
żyła jak niewprawy poeta, jego akt ostatni”
Cyceron (*Katon Starszy o starości*)

Powszechnie znany jest przypadek urodzonego w Troi Tironosa, obdarowanego, na prośbę zachanej w nim bogini Eos, przez Zeusa przywilejem nieśmiertelności. Bogini zapomniała przy tym w prośbach o jednoczesny dar wiecznej młodości dla ukochanego.

Tironos osiągnął odrażający dla jego otoczenia wiek starczy, co uczyniło go skrzeczącym, nie mającym siły umrzeć stworzeniem. My, ludzie, wyczuwamy nawet podświadomie tę zasadniczą różnicę pomiędzy nagłą śmiercią, nieświadomą jako kres

bytu, wpisaną w życie świata zwierząt a naszą własną śmiercią uświadomioną poprzez pryzmat odejścia, pozostawienia, pustki, niebytu nieuchronnie nadchodzącego i oczekiwanego. W pewnym stopniu zaczyna to u progu XXI wieku przypominać los Tironosa, jeśli wydłużającej się starości nie zapewnimy dostatecznie dobrego zdrowia. Śmierć jednostki, choć jest wpisana w los gatunku *homo sapiens* i odbierana jako tragiczny los, poprzedzona jest coraz dłuższym okresem nieuchronnego starzenia, które także zaczynamy odbierać jako niewyczekiwany z niecierpliwością czas naszego istnienia. Naturze przy tym nie zależy na wiecznym życiu jednostki. Brzmi to brutalnie, ale jesteśmy tylko przemijającym ogniwem w łańcuchu życia naszego gatunku. Niemniej sukcesem współczesnej nauki i medycyny jest między innymi to, że mogą czynić ostatni etap naszego życia – starość – zdrowszym i mniej uciążliwym niż w okrutnym losie Tironosa, ostatecznie litościwie zamienionego przez Zeusa w świerszcza.

Faktem jest ogromne zainteresowanie tą sferą życia człowieka, co przejawia się w wielu dziedzinach, już nie tylko nauki, ale i kultury, przy jednocześnie słabym nadal rozumieniu istoty i problemów dotyczących starzenia, jak i starości jednostki. O ile moment śmierci jest chyba najbardziej intymną chwilą, której towarzyszy ujmująca samotność człowieka, o tyle poprzedzająca ją starość domaga się uwagi i zrozumienia w pędzącym zmedykalizowanym i technologiczowanym świecie.

Starość jest w naszej świadomości zjawiskiem tak obecnie powszechnym, że tylko w momencie, gdy nadejdzie do nas samych, uświadomimy sobie, jak bardzo jest starością indywidualną, starością poszczególniej jednostki, naszą niepowtarzalną. Są starzenie i starość przedmiotem badań i zainteresowania wielu obszarów nauki, medycyny i kultury, niemniej trudno się o niej dyskutuje, pisze, przedstawia jako atrakcyjny temat medialny. Bo i jest każda starość niepowtarzalnie inna, nawet jeśli próbujemy opisywać ją uniwersalnymi teoriami tłumaczącymi



jej biologiczny i ten niebiologiczny, niewytłumaczalny charakter (bo nie sens, skoro trudno doszukiwać się sensu w istocie życia biologicznego). Nie sposób jednak starzenia i starości z naszego myślenia wyeliminować.

Spośród istot zamieszkujących Ziemię jedynie człowiek jest najprawdopodobniej świadomy własnej śmierci wraz z ograniczonością swojego istnienia w czasie. Bowiem świadomość kresu my, ludzie, mamy nawet wtedy, gdy możliwość jej zaistnienia wydaje się nam odległa na tyle, że wydaje się niemal nierzeczywista. Jednocześnie taką świadomość istnienia i świadomość nieuchronnego jej końca w momencie śmierci trudno jest pogodzić. To z tego przeciwstawienia świadomości bytu i nieuchronności jego kresu wywodzi się przeważająca część kultury ludzkości – religii, sztuki i poszukiwania sensu istnienia we wszechświecie lub chociażby tu na ziemi. W czysto biologicznych dociekaniach możemy jedynie dojść do wniosku, że starzenie i śmierć osobnicza są wytworem ewolucji, są nieuniknione i dotyczą świata złożonych wielokomórkowych istot. Zresztą szybka wymiana osobników rozmnażających się płciowo na nowe, o nowych kombinacjach genów, jest czynnikiem sprzyjającym ewolucji i zmianom przystosowawczym, a to pozwala na przeżycie populacji i gatunków w zmieniających się przecież nieustannie środowiskach ich życia. Jeśli jednocześnie biologia nie potrafi dać odpowiedzi na pytania o cel i sens naszego życia, nie mogąc ich badać metodami naukowymi, to może potrafi zbliżyć nas do tego celu sztuka. Obie bowiem te formy działalności człowieka stanowią o poszukiwaniu prawd o otaczającym nas świecie i nas samych. Jest to zarazem zaleta, ale i wysoka cena, jaką płacimy za ewolucję naszych mózgów, naszego intelektu. Kilka pokładów komórek w korze mózgowej *homo sapiens* pozwala nam badać otaczającą nas rzeczywistość i nas samych, dając nam świadomość śmierci i jej nieuchronności poprzedzonej starością, a jednocześnie ta bolesna świadomość stanowi wysoką cenę, jaką płacimy za ewolucję swojego intelektu.

Skoro jednocześnie mamy tak niezwykle i wydaje się niemal nieograniczone w swych możliwościach twórczych mózgi i umysły, poszukiwania dróg do nieśmiertelności albo chociażby odsunięcia w czasie przykrych skutków starzenia, poprzez aktywność intelektualną mogą stanowić o tym, że nauka i sztuka dadzą nam ukojenie i wizję świata uporządkowanego, także poprzez wyjaśnianie zdarzenia nieuchronne i pewne, jak starość i kres bytu.



Strach bowiem budzą w nas rzeczy obce i nieznane, a wiedza i znajomość choćby niecałkowita, niepełna, stanowią dla naszych umysłów oparcie i pocucie, że wszystko, co nas dotyczy, ma choćby nawet złudny, to jednak „jakiś” cel i sens.

Oswajanie starości i odchodzenia możemy znaleźć w poezji Jarosława Iwaszkiewicza:

Umarłaś w mrozy. Jakie były śniegi!
Już nie mam kogo spytać: czy pamiętasz?
Musi wystarczyć przechadzka na cmentarz.
Samotna pamięć wątle snuje ściegi.
A dzisiaj w nocy śniły się pokoje
Domu, co dawno zgaś jak świeczka w dłoni.
Lekko kołysał echem ucho moje
Stukot przed domem kopyt naszych koni.

(Z tomu *Muzyka wieczorem* (1980) *Do siostry*)

Z pewnością z takim ludzkim pogodzeniem się z rzeczywistością kruchości naszego życia przychodzi nam łatwiej, gdy uświadomimy sobie, że kiedyś nas nie było, teraz jesteśmy, w przyszłości nas nie będzie. W ogromie wszechświata powstało bowiem wspaniałe źródło naszego człowieczeństwa – mózg *homo sapiens*.

Warto przeczytać:

Maria Poprzęcka, *Śmierć przed obrazem*. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria. Gdańsk 2024.



Dr n. med. Marek Jurgowiak — Wydział Farmaceutyczny Collegium Medicum UMK, wiceprzewodniczący Rady Programowej CN Młyn Wiedzy, Rada Programowa TFNiS, autor i popularyzator nauki, członek zespołu redakcyjnego „Głosu Uczelni”

Anna Supruniuk, Mirosław A. Supruniuk

Korony i togi

W roku 2024 w podziemiach Bazyliki Archikatedralnej św. Stanisława i św. Władysława w Wilnie odkryto skarby, które przenoszą nas w głąb historii Rzeczypospolitej i Wielkiego Księstwa Litewskiego w czasy, gdy stanowiły jeden organizm państwowy.

Odkrycia te, obejmujące zarówno insygnia grobowe władców, jak i elementy stroju rektorskiego ks. Piotra Skargi, są nie tylko świadectwem kunsztu dawnych rzemieślników, ale także symbolem nierozzerwalnych więzi kulturowych Polski i Litwy. Dla nas, mieszkańców Torunia, mają one także aspekt poznawczy, a ponadto odnoszą się do prehistorii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

16 grudnia 2024 r. w wileńskiej katedrze odnaleziono żelazną skrzynię, ukrytą w 1939 r. w obawie przed sowiecką grabieżą wojenną. Ogłoszenie tego odkrycia, dokonane 6 stycznia 2025 r. przez metropolitę wileńskiego, arcybiskupa Gintarasa Grušasa, stało się wielkim wydarzeniem dla historyków i miłośników dziedzictwa polsko-litewskiego. W skrzyni, owiniętej przedwojennymi polskimi gazetami i mocno związanej sznurem, spoczywały bezcenne artefakty: trzy korony grobowe: króla Aleksandra Jagiellończyka, Elżbiety Habsburżanki i Barbary Radziwiłłówny, a także berło i jabłko królewskie tej ostatniej. Ponadto łańcuchy, medaliony, złote monety, pierścionie, tabliczki nagrobne oraz wota z Kaplicy św. Kazimierza. Regalia, odnalezione w czasie



Strój akademicki pierwszego rektora Uniwersytetu Wileńskiego Piotra Skargi — peleryna, prezentowany w Sali Smuglewicza w Bibliotece Uniwersyteckiej w Wilnie



Strój akademicki pierwszego rektora Uniwersytetu Wileńskiego Piotra Skargi — biret, prezentowany w Sali Smuglewicza w Bibliotece Uniwersyteckiej w Wilnie

badzeń podziemi katedralnych po wielkiej powodzi w Wilnie w 1931 r., i przed 1939 r. umieszczone w skarbcu kościoła, zdawały się być przez wiele lat zaginione. Chociaż wiadano, że zostały ukryte, poszukiwania skrytki, rozpoczęte po odzyskaniu niepodległości przez Litwę w 1991 r., nie dawały rezultatu. Dopiero wykorzystanie nowoczesnej technologii pozwoliło ujawnić tajemnicę skrywaną przez dekady. Znalezione artefakty, po konserwacji, trafią do Muzeum Dziedzictwa Kościelnego w Wilnie, gdzie staną się świadectwem wspólnej historii Polski i Litwy, są bowiem – pomimo zniszczenia i naturalnej degradacji wynikającej z użytych materiałów (insygnia grobowe wykonywano z połączanego żelaza) czymś więcej niż tylko materialnymi pozostałościami wspólnego dziedzictwa. Są one świadectwem wielkości Wielkiego Księstwa Litewskiego i jego stolicy – Wilna, które wespół z Krakowem kształtowało oblicze Rzeczypospolitej. Korony, symbole władzy i ciągłości państwa, przypominają o roli katedry wileńskiej jako nekropolii, porównywalnej z Wawelem. Dla Litwinów odkrycie to stawia

Wilno w rzędzie najważniejszych centrów symbolicznych dawnej Europy.

Równie doniosłe, choć odmienne w charakterze, jest odnalezienie peleryny i biretu ks. Piotra Skargi, wybitnego jezuitę, kaznodziei i rektora Kolegium Jezuitów i Akademii Jezuitów w Wilnie. Odkrycie to, opisane w „Kurierze Wileńskim” z 17 lutego 2025 r. i szeroko komentowane przy okazji prezentacji stroju w dniu zaprzysiężenia nowego rektora Uniwersytetu Wileńskiego prof. Rimvydas Petrauskas na drugą kadencję, dla historyków nauki miało znacznie równie wielkie, jak odnalezienie regaliów grobowych. Strój rektorski, zidentyfikowany dzięki badaniom Litewskiego Muzeum Narodowego we współpracy z Uniwersytetem Wileńskim, to nie tylko zabytek kultury, ale także symbol roli Wilna jako ośrodka intelektualnego kontrreformacji. Identyfikacja nie mogła być specjalnie skomplikowana, jako że toga pierwszego rektora była trzykrotnie, w latach 1919, 1929 i 1936 prezentowana na terenie USB, w szklanej szafie w Sali Smuglewicza, między portretami ks. Piotra Skargi i króla Stefana



Strój akademicki pierwszego rektora Uniwersytetu Wileńskiego Piotra Skargi — peleryna i biret, prezentowane w Sali Smuglewicza w Bibliotece Uniwersyteckiej w Wilnie

Batorego, i była fotografowana. Był też zachowany biret pierwszego rektora, wówczas w posiadaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Togę rektorską, a właściwie pelerynkę i biret, widać również na portrecie ks. Skargi, namalowanym między rokiem 1632 a 1699, znajdującym się w Litewskim Muzeum Narodowym w Wilnie. W 1919 r. miała ona posłużyć za wzór dla stroju ceremonialnego Uniwersytetu Stefana Batorego, ale wydaje się, że jedynym elementem „zapożyczonym” była peleryna z kapturem, która według zwyczaju w dawnym uniwersytecie przechodziła kolejno do innych rektorów. Opis togi mamy także w pracy Józefa Bielińskiego *Uniwersytet Wileński (1579–1831)*, t. 1–3, Kraków 1899–1900.

Ubiór rektora, zwłaszcza ubiór ceremonialny, był i jest najbardziej czytelnym i rozpoznawalnym wizualnie elementem dostojeństwa akademickiego, podkreślającym wyjątkowość ceremoniału i nobilitującym władze Uniwersytetu. Tak w przeszłości, jak i teraz, wyróżnia on akademików na tle innych grup społecznych oraz wyraża prawa i przywileje związane z przynależnością do tego wyjątkowego

stanu. Ponieważ średniowieczni mistrzowie i ich uczniowie wywodzili się ze stanu duchownego, również ich strój, zwany ogólnie *vestitus clericalis*, pochodził z tego środowiska. Dotyczył on i obowiązywał wszystkie osoby świeckie, ci bowiem, którzy mieli święcenia kapłańskie, zobowiązani byli do noszenia ubiorów duchownych na mocy przepisów Kościoła. Stroje akademickie miały w różnych krajach i uniwersytetach odmienny wygląd, ale w wiekach średnich, w Bolonii, Paryżu i na najstarszych uniwersytetach brytyjskich Oksfordzie i Cambridge używana była przez mistrzów (magistrów i doktorów) ciemna *cappa clausa* – luźna, sięgająca kostek, peleryna z kapturem i dziurą na głowę. Studenci natomiast zobowiązani byli zakładać supertuniki lub tabardy. Z czasem *cappa clausa* ulegała modernizacji i zastąpiona została przez togę. Trzeba jednak zaznaczyć, że nie obowiązywał jakiś jeden zasadniczy wzór tego stroju, a różnice istniały nawet w obrębie jednego uniwersytetu. Krój togi różnił się też w zależności od klimatu, zamożności, pozycji w społeczności akademickiej i tradycji. W Europie Środkowej,

w tym także w Wilnie, ze względu na surowszy klimat, togi uniwersyteckie podbijano futrem i nazywano je szubami. Od średniowiecza obowiązywała już na wielu uczelniach zasada, że wyróżnikiem stroju rektorów były gronostaje. Drugim wyróżnikiem stroju rektora były rękawiczki w kolorze togi. Uzupełnieniem togi był biret, który nakładać mogli na głowę tylko doktorzy i profesorowie. Na starych sztychach pojawiają się również *pileus* – krągłe czepki przylegające do głowy, zakrywające uszy, tak zwane *skull-caps*. Z czasem nakrycia głowy poczęli nosić wszyscy członkowie *academiae*, lecz były one różne, w zależności od mody i tradycji, a także pozycji na uczelni, i przyjmowały formę biretu, bezpośrednio nawiązujące do stroju duchownego, kapelusza, szerokiego beretu, rogatywki, dekla/czapki z daszkiem (zwłaszcza w wypadku studentów), by na uczelniach anglosaskich przyjąć formę *mortarboard*, odnoszącą się do kształtu czyli deski murarskiej doczepionej do piuski, bezpośrednio nawiązującej do stroju cechowego. Osoby duchowne, nosiły birety kapłańskie zakończone u góry pomponem. Taki biret widać na obrazie Piotra Skargi.

Od średniowiecza przeciwieństwem stroju ceremonialnego rektora była skromność i prostota ubrań studenckich. Zabraniano na uniwersytetach noszenia szat zdobionych, z bufiastymi rękawami, kolorowych i kusych, które kojarzyły się z bogactwem i strojami świeckimi. Zakazywano także zakładania pantofli ze spiczastymi zakończeniami, tzw. „tureckich”, czyli dworskich oraz czerwonego obuwia. Zabraniając scholarzom noszenia ubiorów świeckich, pozbawiono ich także prawa do noszenia broni: mieczy, noży i innych narzędzi świeckich. *Vestitus clericalis*, bezwzględnie nakazane na uniwersytetach, miały być przyzwoite i poważne, i podobne do stroju duchownego. Mniej więcej od XIV w. regulowały go statuty, których kilka zachowało się do naszych czasów, i które – obok miniatur – są głównym źródłem wiedzy o początkach akademickich ubiorów. Znajdujemy w nich np. informację że w Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1456 r., że „Nie wolno [było] przyjmować takich kandydatów, którzy mają suknie nieprzyzwoite tj. nieduchowne”. Stroje miały znaczenie w czasie różnego rodzaju uroczystości akademickich. Przy promocji doktorskiej promotor wręczał licencjatom insygnia doktorskie, tj. wkładał każdemu z osobna na ramiona pelerynkę, na głowę biret, a na palec pierścione. Pelerynka miała doktorowi przypominać, aby godność piastował z chlubą dla fakultetu. Biret miał być wskazówką, by noszący



Portret Piotra Skargi jako rektora Akademii Wileńskiej, obok uroczysty strój akademicki — berło, sygnet, otwarta księga statutu uczelni, peleryna oraz czterorożny biret — I połowa XVII w., autor nieznan, w zbiorach Litewskiego Muzeum Narodowego

go był wzorem dla innych, a pierścione symbolizował śluby między kandydatem a filozofią. Pocałunek składany na czole przez promotora miał nań nakładać miłość do Boga i bliźnich.

Podejście do stroju zmieniło się w okresie reformacji wraz z nowymi tendencjami w modzie i sztuce. Szaty akademickie stawały się coraz bardziej praktyczne, kolorowe i z czasem także luksusowe, chociaż statuty uniwersyteckie z większym rygorem przypominały o potrzebie skromności tak w bursach, jak i na terenie Uniwersytetu. Jeszcze w 1559 r. Uniwersytet Krakowski wydał surowe ustawy regulujące stroje i zasady posiadania broni dla studentów i mistrzów i dopiero biskup Filip Padniewski zezwolił w 1566 r. „na własną rękę, bez porozumienia się z władzą uniwersytecką, nosić scholarzom suknie takie, jakie kto posiadał i chciał, z wyjątkiem sukien

z długimi kołnierzami, których osobiście nie cierpiały. Większa liczba członków *universitas* wymusiła też w praktyce konieczność wyróżnienia barwami funkcji akademickich i fakultetów. Togi zwierzchników uczelni najczęściej przybierały kolor szkarłatny, wzorowany na barwach przypisanych władcom świeckim i kościelnym, i nierzadko zdobione były złotem. Naturalnie i tu bywały odstępstwa wynikające ze zwyczajów. Na przykład w Wiedniu rektorzy ubierali się w stylu hiszpańskim, tj. w czarną togę ze złotymi galonami i gronostajami, do tego hiszpański kapelusz. Rękawiczki pozostały niezmiennym elementem stroju rektorskiego. Najbardziej czytelnym wyróżnikiem wydziałów stały się kolorowe pelerynki nakładane na ramiona, zwane mucetami, i wyłogi, a w przypadku brytyjskich uniwersytetów oraz akademii jezuickich (choć odmiennie) – kaptury. Różnice kulturowe i religijne spowodowały, że niemożliwe było ustalenie wspólnego mianownika dla barw akademickich na poszczególnych uczelniach, choć występowały podobieństwa i wspólne cechy. Kolor fioletowy przewidziany był z reguły dla teologii, szkarłat lub inne odcienie czerwieni dla prawa, zieleń dla medycyny (przy tym fakultecie występował też regularnie karmazyn), a niebieski dla filozofii. Niektóre uniwersytety, zwłaszcza mniejsze, obchodziły się bez wyróżników barwnych na strojach, zachowując wszelako ich obowiązek w murach uczelni.

Reformy oświeceniowe w szkołach wyższych doprowadziły do otwarcia niektórych uczelni europejskich dla kobiet i do sekularyzacji stroju akademickiego, który w swojej uroczystej formie zakładany był odtąd jedynie przy okazji specjalnych odświętnych wydarzeń. Od średniowiecza uroczystości akademickie organizowano przy okazji każdego święta kościelnego, ważnych ze względu na korzenie, z jakich wywodziły się szkoły wyższe. W wieku XIX liczba ta spadła do najważniejszych uroczystości państwowych i związanych z działalnością szkół: inauguracji, promocji doktorskich, uroczystych pogrzebów, wizyt państwowych itp. W Imperium Habsburgów w 1784 r. cesarz Józef II ogłosił nawet zakaz zakładania dekorowanych tog akademickich na uniwersytecie w Wiedniu, twierdząc, że są one spuścizną wieków ciemnych, a nakaz ten zaczął wkrótce obowiązywać w całym cesarstwie z wyjątkiem Pragi.

W miejsce tóg, w początkach XIX stulecia, na wielu europejskich uczelniach pojawiły się mundu-

ry projektowane na wzór strojów wojskowych, lub urzędniczych, podkreślające podległość pracowników uniwersytetów państwowej administracji. Widać te mundury na portretach profesorów Uniwersytetu Wileńskiego: Szymona Malewskiego czy Wacława Pelikana. Wprowadzono także klasy mundurów, osobne dla uczonych i dla akademickiej administracji. Tego typu uniformy były obowiązkowe na uniwersytetach w Rosji, choć nie obowiązywały księży. Historyczne stroje akademickie powróciły do wnętrza uniwersyteckich w drugiej połowie XIX w., a jeszcze pełniej w okresie międzywojennym, jednak zgodnie z zasadą zakładano je jedynie na doniosłe uroczystości, podkreślające dostojęstwo uniwersytetów. Historyk oświaty, Antoni Karbowski, napisał w roku 1889: „Złoto, purpura i aksamit, oto cechy ubrania rektorskiego, które go stawiają pod tym względem na równi z królem. Bo też rektor i rex to pojęcia jednego i tego samego pochodzenia i podobnych zakresów. Rektor i król obaj mają berła, obaj jak u nas są władzami wychodzącymi z wyboru sobie równych, król rządzi krajem i jego ludnością, rektor jest udziałem w tym kraju panem, jest królem w państwie uczonych”.

W XIX stuleciu poczęto przyjmować na uniwersytety kobiety, co wymusiło określenie ich stroju. Część uczelni, zwłaszcza poza Europą, wprowadziła mundurki dla studentek (np. Japonia). W wieku XX mundury dla wszystkich studentów wprowadzono również na niektórych uniwersytetach azjatyckich (Tajlandia, Kambodża, Laos, Filipiny i Wietnam).

*

Oba odkrycia – insygnia królewskie i strój Piotra Skargi – splatają się w opowieść o Wilnie jako sercu Wielkiego Księstwa Litewskiego i kluczowym ośrodku Rzeczypospolitej. Są one dowodem na to, że historia, choć czasem ukryta w podziemiach czy muzealnych magazynach, nie przestaje przemawiać.

Dr hab. Anna Supruniuk — Archiwum UMK

Dr hab. Mirosław A. Supruniuk — Archiwum Emigracji UMK, Muzeum UMK

Zdjęcia dzięki uprzejmości JM Rektora Uniwersytetu Wileńskiego prof. Rimvydasa Petrauskasa.

Winicjusz Schulz

Mapy odwiedzanych miejsc

Zmarł prof. Mieczysław Ziomek, artysta malarz, uczeń jednej z największych indywidualności toruńskiego Wydziału Sztuk Pięknych – prof. Stanisława Borysowskiego. Także i Ziomek w dziejach tego wydziału zapisał piękną kartę (m.in. jako profesor, prodziekan). Urodzony we Lwowie, wychowany w Opolu, przez dziesięciolecia związany z Toruniem. Zmarł w wieku 84 lat.

O zmarłych albo nic, albo tylko dobrze – głose stare porzekadło. Muszę je trochę nagiąć, gwoli historycznej prawdy. Znałem Profesora przez długie lata, ale jeśli mam pisać tę prawdę, to same początki naszej znajomości mógłbym określić mianem „szorstkiej przyjaźni”. Pamiętam – profesor zajął któregoś dnia do redakcji, by zainteresować nas jednym z kolejnych plenerów, które z wielką pasją organizował. Może wówczas wykazałem za mało entuzjazmu? Ale Profesor, o czym zapewne zaświadczy wielu, nie dawał się łatwo zbyć. Nagle wyciągnął gotowy artykuł na ten temat. Próbowałem oponować. – Panie Profesorze, czy to wypada, żebyście sami o sobie pisali? – zapytałem, co tylko Profesora zirytowało. Zrobiło się niemiło.

Gdy po latach wspominaliśmy te niezbyt miłe początki naszej znajomości, Profesor śmiał się z tego serdecznie. Nauczyliśmy się przez te lata o sobie wiele – On o pracy redakcji, ja o świecie sztuki. Przegadaliśmy wiele godzin. Tematów nie brakowało: od Borysowskiego po współczesność, od artystycznych inspiracji po prozę życia. Tej ostatniej także nie brakowało, zwłaszcza gdy Profesor wtajemniczał mnie w detale przygotowań do kolejnych plenerów, których zorganizował wiele – i w urokliwych zakątkach Polski, i za granicą, m.in. we Włoszech, choćby w jego ukochanej Florencji. Dzięki niemu dziesiątki, a może nawet setki studentek i studentów Wydziału Sztuk Pięknych miało okazję obcować z pięknem przyrody, malarskimi i architektonicznymi arcydziełami. I także tworzyć. Bez tego plenery przecież nie miałyby sensu! Ale ile tej prozy życia musiał Profesor znieść, by plenery się odbyły. Opowiadał mi czasem ze smutkiem, czasem z radością, jak to wędruje po sponzorach, zdobywa fundusze. Bywało, że przychodził do mnie mocno sfrustrowany i już od progu oznajmiał,

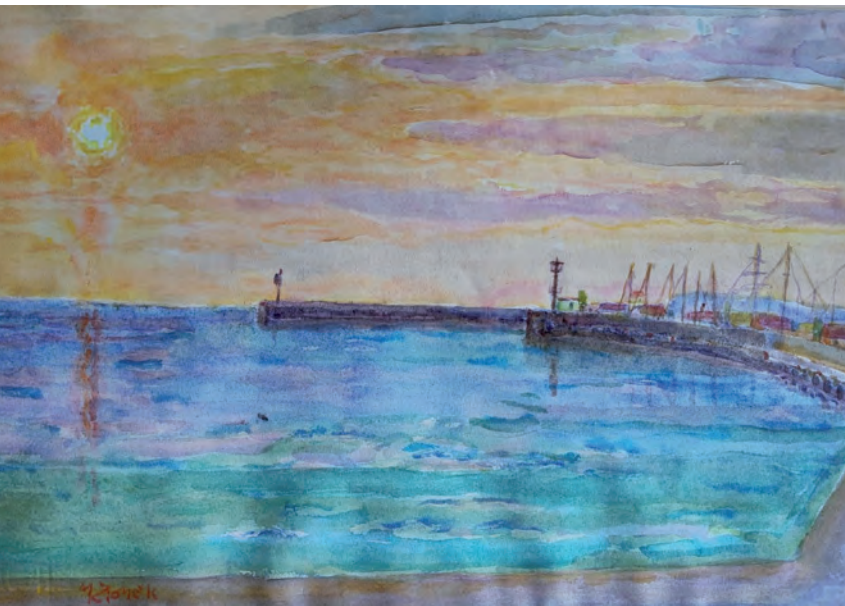


Fot. Alina Dauksza-Wiśniewska

że teraz był to Jego ostatni raz, że już więcej pleneru nie zorganizuje. Bo ma dość tych przeszkód, bo i wiek nie ten. A i tak za rok znów zapraszał młodych adeptów sztuki na wyjazd. Cały on! Nie musiał, ale to robił! I to z jakim skutkiem!

Ale oczywiście był nie tylko pedagogiem, mentorem, był przede wszystkim artystą. Malował nie tylko „oleje”, ale także te ukochane przez Niego akwarele. Były jego emocjonalnym notatnikiem, dziennikiem podróży, fascynacji. I dowodem wielkiej wrażliwości na światło, kolor, tak zwany urok chwili. Jedną z takich akwarel dostałem nawet od Niego w przyjacielskim prezencie. Raz jeszcze dziękuję...

Kiedyś o Mieczysławie Ziomku tak oto napisał na łamach naszego „Głosu” Sebastian Dudzik: „Autor zabiera widza w wirtualną podróż, w której malowany obraz rzeczywistości pełni rolę mapy,



Mieczysław Ziomek „Port rybacki na Helu” akwarela Fot. Winicjusz Schulz

pozwalającej definiować emocjonalny potencjał wizualnych znaków. Takie mapy Ziomek konstruuje we wszystkich odwiedzanych miejscach, czy będzie to nadwiślany krajobraz, tokańskie pagórki, czy rozedrgany wysoką temperaturą obraz Kairu. Wszędzie rozpoznawalne elementy krajobrazu stanowią jedynie wprowadzenie w dalszą opowieść o doznawaniu miejsca i czasu”. Chciałoby się rzec: święta prawda.

Odszedł artysta nietuzinkowy. I takiż człowiek. W czasach, w których gonimy za mocnymi wrażeniami, On pochylał się nad subtelnym detałem. W czasach, gdy pędzimy do przodu, On z pietyzmem pielęgnował okruchy przeszłości. W czasach, gdy wielu pyta – co i za ile, On robił swoje, bo tak było trzeba. Mieczysławie! Profesorze! Spoczywaj w pokoju!

Lubow Żwanko

Polskie fascynacje pejzażami Ukrainy

Wybitnych mistrzów pędzla i płótna – których spuścizna artystyczna jest wpisana na listę dziedzictwa narodowego Polski, a ich obrazy pozostają ozdobą ekspozycji czołowych muzeów, kolekcji prywatnych i domów aukcyjnych – łączyła wspólna pasja. Czerpali z niej wielką inspirację dla swojej twórczości malarskiej.

Pisali o niej wzruszające słowa. Poświęcali jej swoje prace. Imię tej pasji to: Ukraina – „ziemia marzeń”, „raj na ziemi”, „cudowna ziemia” oraz miejsce urodzenia. A ci artyści to Juliusz Kossak, Józef Brandt, Józef Chełmoński, Stanisław Witkiewicz, Leon Wyczółkowski i Jan Stanisławski.

W niniejszym artykule przedstawiono tylko niektóre ich znakomite dzieła na ukraińskie tematy, które są zachowane w polskich i ukraińskich muzeach.

Ukraina na płótnach wielkich batalistów polskich

Wybitny malarz Juliusz Kossak (1824–1899) jest uznany za nestora wypraw do Ukrainy w celach artystycznych. Poznał on polskich właścicieli majątków na Wołyniu i Podolu, których odwiedzał w latach 1844–1850. Podczas tych wizyt „studiował” konie, malując je, a później wykorzystywał te rysunki w kompozycjach, które tworzył m.in. w Paryżu. Stanisław Witkiewicz w pracy o Juliuszu Kossaku zanotował: „Dla wszystkich takich natur Ukraina była ziemią marzeń. Wyrazy: step, kozak, czumak, porohy, futor, jar, mogiła, czajki, miały szczególnie urok i pociąg”.

Uczeń Kossaka, Józef Brandt (1841–1915), uważany obok Jana Matejki i Henryka Siemiradzkiego za jednego z największych malarzy polskich XIX w. i najwybitniejszego polskiego batalistę swo-

jej epoki niejednokrotnie bywał w Ukrainie. W latach 60. i 70. XIX w. odbył w towarzystwie Juliusza Kossaka podróże nad Dniestr i Dniepr. On tak się zachwycił krajobrazami ukraińskimi i historią tych ziem, że Ukraina stała się jednym z głównych wątków twórczości artysty. Pod jej wpływem stworzył liczne dzieła na tematy kozackie: „Kozak na koniu”, „Jeździec kozacki”, „Kozak na czatach”, „Kozak z dziewczyną przy studni”, „Wesele kozackie” i „Powitanie stepu”, „Potyczka Kozaków z Tatarami”, a też rodzajowe – z Podola: „Miasteczko na Podolu”, „Nad Dniestrem”.

Największa inspiracja Józefa Chełmońskiego

Jeden z najważniejszych polskich artystów drugiej połowy XIX w. Józef Chełmoński (1849–1914) odwiedzał Ukrainę wielokrotnie. Po raz pierwszy udał się na Podole w 1870 r., po śmierci swego ojca. Artysta zajeżdżał do Lechaczychy, gdzie bywał z wizytą w majątku ciotki Ludwiki Ułaszynowej. Za każdym razem przywoził też stamtąd zapisane w głowie widoki ukraińskich krajobrazów i chłopów i przenosił je na swoje płótna.

Jego uczennica malarka Pia Maria Górka, z którą Chełmoński dzielił się swoimi przemyśleniami malarskimi oraz wspomnieniami, pisała: „Ukraina była jego rajem. Wolność, bezgraniczne przestrzenie, «cudownie skomponowane» horyzonty o różnorodnych planach, lasy, jary, chutory – to wszystko wraz z barwnie ubranym ludem, czerstwymi dziewczętami, zgrają lirników i «didów», końskimi targami i chłopską rozśpiewaną gromadą zlewało się w jego pamięci w czarujący kraj swobody i bajki”.

Fascynacja ukraińską przyrodą i ludźmi przyczyniła się do powstania kilkudziesięciu obrazów, które malował w swoich pracowniach w Paryżu, a później w folwarku Kukłówka blisko Grodziska na Mazowszu. Wśród dzieł poświęconych Ukrainie są obrazy „Odwilż na Ukrainie” (1876), „Dniestr nocą” (1906). W 1877 r. w Paryżu namalował nokturn „Noc na Ukrainie zimą” (Muzeum Narodowe w Warszawie). Dzieła artysty na te tematy cieszyły się dużym zainteresowaniem wśród zachodniej publiczności, dla której krajobrazy wschodniej Polski i Ukrainy były czymś nowym, a nawet egzotycznym.

Jego obraz „Czwórka ukraińska” (1881) z całej serii przedstawień końskich zaprzęgów jest nie tylko jednym z najbardziej dynamicznych, ale też największych formatem płócien. Zachowane dziś w Muzeum Narodowym w Krakowie ma monumentalne wymiary: wysokość 275 cm, szerokość 660 cm. Historycz-



Józef Brandt, „Wesele kozackie” (przed lub w 1896), źródło: ze zbiorów Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu



Józef Chełmoński, „Noc na Ukrainie zimą” (1877), źródło: ze Zbiorów Cyfrowych Muzeum Narodowego w Warszawie



Stanisław Witkiewicz, „Noc ukraińska” (1895), źródło: ze Zbiorów Cyfrowych Muzeum Narodowego w Krakowie

ka sztuki Agnieszka Świętosławska uważa, że obecnie „Czwórka ukraińska” uchodzi za sztandarowy przykład naturalizmu w malarstwie polskim, którego nurtu naczelną cechą była próba werystycznego, czyli w pełni wiernego rzeczywistości, oddania świata (<http://www.isztuka.edu.pl/i-sztuka/node/603>).

„Noc ukraińska” Stanisława Witkiewicza

Stanisław Witkiewicz (1851–1915), malarz i ilustrator, krytyk i teoretyk sztuki, twórca stylu zakopiańskiego w architekturze także zwrócił się w stronę motywów ukraińskich. Był on rozmiłowany w nokturnach, czyli przedstawieniach sceny nocnej. Dlatego w 1895 r. stworzył obraz „Noc ukraińska”, którego głównym bohaterem jest spokojna letnia

noc na wsi. „Niezwykle ciekawym zabiegiem malarskim jest ukazanie na kompozycji robaczków świętojańskich, ukośnych kresek znajdujących się na całej powierzchni obrazu” (Łukasz Kuc, *Najpiękniejsze ukraińskie pejzaże*, <https://artbidy.com/pl/historie/najpiekniejsze-ukrainskie-pejzaże>). Ten obraz jest uważany za jeden z najpiękniejszych pejzaży ukraińskich autorstwa polskich artystów.

Ukraińskie motywy Leona Wyczółkowskiego

Leon Wyczółkowski (1852–1936) spędził w Ukrainie z przerwami w różnych miejscach prawie dziesięć lat. Po raz pierwszy wyjechał tam w 1883 r., a później z przerwami do 1911 roku. Najpierw przebywał w majątku Głębockich w Laszkach na Wołyniu. W latach 1886–1887 gościł w jednym z najbogatszych majątków Ukrainy, u Władysława Branickiego w Białej Cerkwi, mającego w swoich dobrach wielki przemysł cukrowniczy. Artysta namalował wówczas kilka olejnych wersji „Kopania buraków”, z których znane są: „Kopanie buraków I” (1892) w MN w Warszawie, „Kopanie buraków II” (1893) w MN w Krakowie, „Kopanie buraków” (1903) w Domu Leona Wyczółkowskiego – Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy.

Leon Wyczółkowski odkrył w Ukrainie wspaniałe krajobrazy, roślinność, światło i kolor. Malował pejzaże i pracę ludzi, a swoje obserwacje zamieścił na płótnach także w kilku wariacjach: „Rybaki”, „Chłopi ukraińskie”, „Orka”. Jednym z piękniejszych jego dzieł jest „Orka” (1893), namalowana w stylu zapoczątkowanego w tym czasie francuskiego impresjonizmu.

„Plener mój pochodzi ze wsi, z Ukrainy, nie z Paryża”

Artysta zachwycał się Ukrainą i mówił: „Plener mój pochodzi ze wsi, z Ukrainy, nie z Paryża”. O niej z wielką pasją pisał: „Ukraina cudowna. Efekty światła, po deszczu najbardziej intensywne słońce przy zachodzie... [...] Na Ukrainie płaszczyna, szalenie kolorowy kraj, skamieniałe morze. [...] Czar, step. Magnetyzuje przestrzeń nieskończona. Płaszczyna w lecie, kiedy słońce drga. Linia horyzontu się zatrza, zaokrąglenie ziemi czuć na 30 km, tam nie. W nocy wyjeżdżałem na step i do rana nie mogłem się nasycić. Nie mogłem zubożnąć na piękno przyrody. Najpiękniejszy kraj. Step ma czahary, dęby, ptactwo. Wszystko zieleje, bo szuka wody. Czaha, chłód, drzewa, łąki. [...] Gaje, pasieki typowe: kilkadziesiąt uli. Siedzi pasiecznik, rzeka



Leon Wyczółkowski, „Orka na Ukrainie” (1892), źródło: ze Zbiorów Cyfrowych Muzeum Narodowego w Krakowie

płynnie, wiosna rozkoszna, masa kaczeńców z wikliną, rybacy się kręcą, kwitnące drzewa, niebo jak południowe, granat, ultramaryna, a na tym tle kwiecie. Barwny lud, bukszpany, wstążki, cudowne obrazy jak z bajki. [...] Step, jak zastygłe, zamrożone morze [...] – step, coś nieuchwytnego, człowiek nie może sobie dać rady. Tęsknica. [...] Coś magnetycznego”.

„Ataman” pejzażu urodzony w Ukrainie

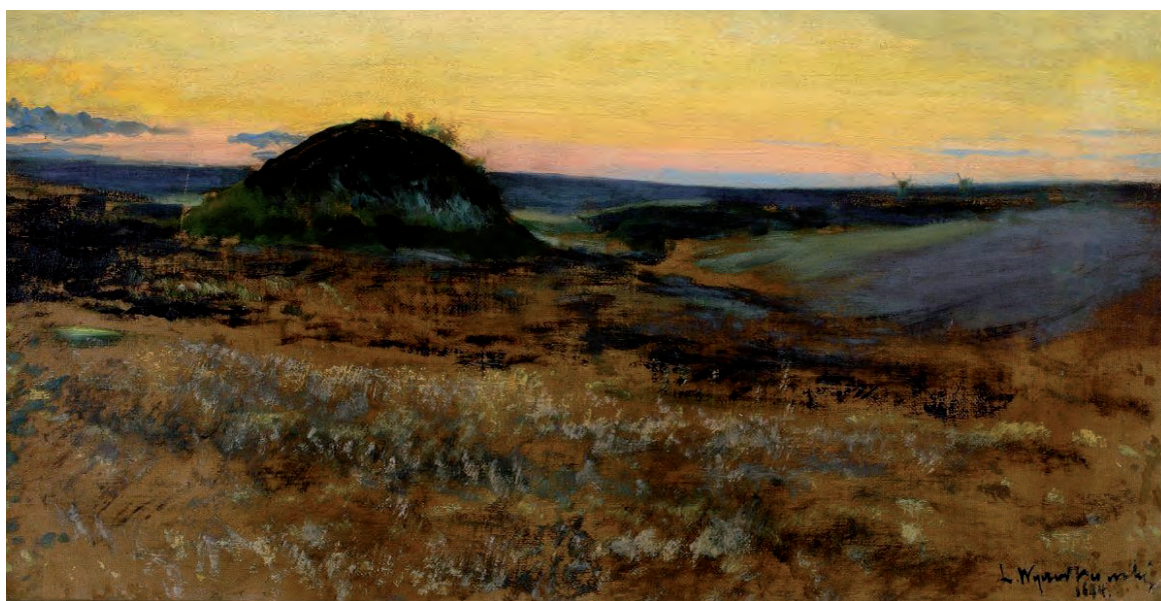
Jan Stanisławski urodził się 12 czerwca 1860 r. we wsi Wilszana w powiecie zwenygrodzkim w guberni kijowskiej w rodzinie profesora Uniwersytetu Charkowskiego Antoniego Stanisławskiego. Według innej wersji chłopczyk urodził się w Charkowie, gdzie spędził pierwsze osiem lat swego życia. Do Ukrainy Stanisławski wracał wielokrotnie, ona na zawsze została w jego sercu. Przebywał przeważnie w Kijowie, gdzie mieszkali jego matka i brat Grzegorz, odwiedzając przy tym chętnie dwory swych znajomych i domy rodziny (Wilszana, Biała Cerkiew, Zofiówka, Pustownia, Bojarka, Popówka, Śmiła). Był zaprzyjaźniony z artystami kijowskimi, miał bliskie relacje ze znanym malarzem Michailem Nesterowym.

Jana Stanisławskiego uznaje się za twórcę krakowskiej szkoły pejzażowej. Któryś z uczniów malarza nazwał go kiedyś „atamanem”. „Nie hetmanem, lecz właśnie atamanem. Nie bez powodu. Ten kozacki termin doskonale się schodził z nie tajonymi przezeń sentymentami do Ukrainy, stepowych krajobrazów, ukraińskich zachodów słońca, etc., do



Leon Wyczółkowski, „Kopanie buraków” (1893), źródło: ze Zbiorów Cyfrowych Muzeum Narodowego w Krakowie

ziemi mlekiem płynącej i miodem” (Adam Grzymała-Siedlecki). Jego obrazy – rośliny polne, zioła, kępy drzew, zaś w dali wioski z chatami, stodołami, cerkiewkami – charakterystyczne cechy krajobrazu Ukrainy. Wiele z tych pejzaży powstało w Ukrainie, o czym świadczą tytuły: „Pole w Białocerkwi” (1890), „Krajobraz stepowy”, „Folwark” (inaczej „Stodoly w Pustowni”, 1898?), „Pejzaż ze stogami” (1900), „Pejzaż Popówka na Ukrainie” (1905), „Motyw ukraiński” (1906).



Leon Wyczółkowski, „Kurhan na Ukrainie” (1894), źródło: ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy im. Leona Wyczółkowskiego



Jan Stanisławski, „Ule na Ukrainie”, (1895), źródło: ze Zbiorów Cyfrowych Muzeum Narodowego w Krakowie



Jan Stanisławski, „Step”, (1900), źródło: ze Zbiorów Cyfrowych Muzeum Narodowego w Krakowie



Jan Stanisławski, „W okolicach” (1904), źródło: ze zbiorów Muzeum Sztuki w Sumach imienia Nykonora Onackiego, zdjęcie Lubow Żwanko, 16.12.2021

Osobne miejsce zajmuje obraz „Ule na Ukrainie” (1895). Jest uważany za najbardziej impresjonistyczny w dorobku artysty. W katalogu Muzeum Narodowego w Krakowie Galeria Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach napisano o nim: „Malowany w Paryżu miniaturowych rozmiarów obraz Jana Stanisławskiego, przedstawiający «Ule na Ukrainie», należy do najpiękniejszych i najlepiej rozpoznawalnych przykładów interpretacji francuskiego impresjonizmu w malarstwie polskim. Uchwycony «pod słońce» fragment pasieki z ulami ustawionymi rytmicznie wśród gęstwiny krzewów i drzew owocowych kresowego sadu stał się dla artysty pretekstem do zarejestrowania wrażenia wywołanego przez światło, odtworzenia migotliwej gry letniego, mocnego słońca i uchwycenia na płótnie zmienności barw”.

Obrazy Stanisławskiego w Sumach

19 obrazów Jana Stanisławskiego znajduje się w zbiorach Muzeum Sztuki w Sumach im. Nykanora Onackiego na Ukrainie Wschodniej. Należą one do dość bogatej kolekcji obejmującej ponad 80 dzieł malarstwa, grafiki i rzeźby kijowskiego kolekcjonera Oscara Hansena (1881–1964), znanego przemysłowca, dyrektora zarządu Kolei Biełgorod-Sumy i Cukrowni Wielkobobryńskiej. Wśród nich: „Etiuda z drzewami. Dęby”, „Dom nad Dnieprem”, „Wiejski ogród”, „W okolicach”, „Latem”, „Malwy”.

13 kwietnia 2025 r. Rosjanie po raz drugi uszkodzili Muzeum Sztuki im. Nykanora Onackiego w Sumach, w którym do dziś znajduje się kolekcja obrazów. Miasto Sumy jest położone 30 kilometrów od granicy z Rosją.

Ukraina niezmiennie fascynowała wybitnych polskich artystów z XIX i początku XX wieku. Ich zamiłowania do tych terenów pozostały na zawsze w „obrazach ukraińskich”. Juliusz Kossak, Józef Brandt, Józef Chełmoński, Stanisław Witkiewicz, Leon Wyczółkowski i Jan Stanisławski zostali minstrelami ziemi ukraińskiej, jej urokliwości i piękna, szerokich stepów i pracowitych ludzi.



Prof. dr hab. Lubow Żwanko — historyczka, kierowniczka Centrum Muzealnego Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie, Zasłużona dla Kultury Polskiej

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomierski

Patryk Tomaszewski

Bratnia Pomoc

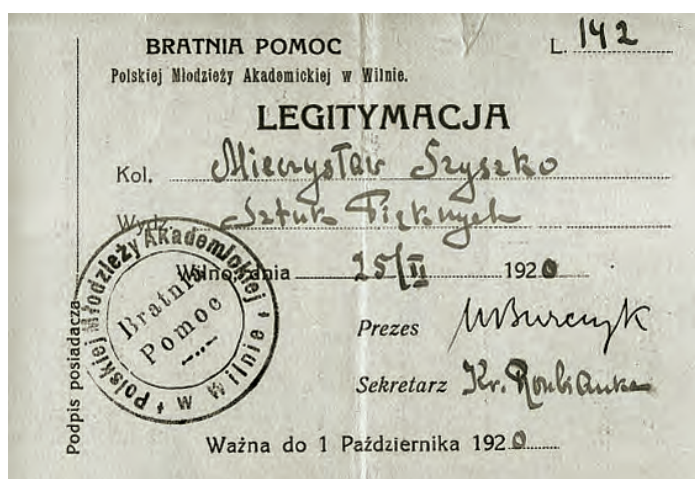
Wśród organizacji działających na terenie dawnych uczelni ważne miejsce zajmowały stowarzyszenia ogólnouczelniane, które miały zgodnie ze swoimi założeniami skupiać szerokie grono młodzieży akademickiej niezależnie od kierunku studiów. Przede wszystkim chodziło o Bratnią Pomoc, wywierającą znaczny wpływ na życie studentów, głównie dzięki możliwościom społecznym i kulturalno-oświatowym. Ówczesną Bratnią Pomoc w zakresie działania można porównać do współczesnego Samorządu Studenckiego, chociaż jej zakres działania był znacznie większy.

Bratnia Pomoc przyznawała pożyczki swoim członkom, prowadziła stołówkę, sanatorium, czytelnię i świetlicę. Mniejszości narodowe zrzeszały się we własnych organizacjach, które pełniły podobne funkcje do Bratniej Pomocy.

Stowarzyszenie Bratnia Pomoc Polskiej Młodzieży Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego było organizacją o szerokim zakresie działania, a przede wszystkim o masowym, jak na warunki USB, charakterze. Organizacja została powołana do życia 6 grudnia 1919 roku, a zatwierdzona przez Senat USB już 17 grudnia tego roku. W statucie Stowarzyszenia zapisano, że jest ono organizacją samopomocową, mającą na celu zapewnianie pomocy bezpośredniej i pośredniej swym niezamierzonym członkom. Stowarzyszenie zakładało instytucje oraz przedsiębiorstwa samopomocowe, a ponadto przyznawało zwrotne zapomogi pieniężne i udzielało poparcia studentom ubiegającym się o pomoc materialną u władz USB, samorządowych, administracyjnych, a także prowadziło biuro pośrednictwa pracy. W 1922 roku Bratnia Pomoc miała ośmiu członków honorowych, a wśród nich Józefa Piłsudskiego – Naczelnika Państwa, pierwszego rektora USB prof. Michała Siedleckiego, Władysława Mickiewicza (najstarszy syn Adama Mickiewicza) – pierwszego opiekuna BP, gen. Lucjana Żeligowskiego, Annę hr. Mahłównę, prof. Ferdynanda Ruszczyca. Pieniądze na działalność BP płynęły z kilku źródeł. Przede wszystkim studenci otrzymujący zapomogi mieli je zwracać po ustabilizowaniu sytuacji życiowej już po studiach. Oczywiście liczba skryptów dłużnych rosła. Od 1923 roku Kwestura USB wprowadziła opłatę trymestralną w wysokości 20 zł, z której większość środków przelewano na konto Bratniej Pomocy. Składka była obowiązkowa dla studentów Polaków. Ponadto w poszczególnych województwach, również wileńskim, działały Komitety Wojewódzkie Pomocy Polskiej Młodzieży Akademickiej organizujące tzw. Tygodnie Akademickie. Za pośrednictwem tych komitetów rząd przeznaczał pewne sumy na wsparcie młodzieży akademickiej. „Bratniak” prowadził też własne spółdzielnie, organizował akcje doraźne, jak chociażby bale. W celu polepszenia swojej sytuacji finansowej pobierał opłaty za niektóre usługi świadczone na rzecz braci studenckiej. O wpływy we władzach Bratniej Pomocy ubiegali się różne



zowaniu sytuacji życiowej już po studiach. Oczywiście liczba skryptów dłużnych rosła. Od 1923 roku Kwestura USB wprowadziła opłatę trymestralną w wysokości 20 zł, z której większość środków przelewano na konto Bratniej Pomocy. Składka była obowiązkowa dla studentów Polaków. Ponadto w poszczególnych województwach, również wileńskim, działały Komitety Wojewódzkie Pomocy Polskiej Młodzieży Akademickiej organizujące tzw. Tygodnie Akademickie. Za pośrednictwem tych komitetów rząd przeznaczał pewne sumy na wsparcie młodzieży akademickiej. „Bratniak” prowadził też własne spółdzielnie, organizował akcje doraźne, jak chociażby bale. W celu polepszenia swojej sytuacji finansowej pobierał opłaty za niektóre usługi świadczone na rzecz braci studenckiej. O wpływy we władzach Bratniej Pomocy ubiegali się różne





organizacje o profilu ideowo-wychowawczym, powiązane przed wojną z różnymi orientacjami politycznymi.

W latach trzydziestych w strukturze Bratniej Pomocy istniały społeczne biuro pośrednictwa pracy, biblioteka i czytelnia akademicka, referat statystyczny, sekcja kulturalno-samokształceniowa, referat prasowy, referat zagraniczny, sekcja pomocy naukowych, referat zdrowia. Największe jednak znaczenie miał dział gospodarczy. Istniały też referaty, które w zasadzie nie funkcjonowały, jak referat zdrowia czy referat zagraniczny.

Interesujące, że w roku 1927 w BP ustalono wzór czapki noszonej przez studentów zrzeszonych w organizacji, były to tzw. batorówki. Ponadto w 1929 roku wybrano wzór „munduru” – jak to określano – studentów należących do BP. Prace nad wzorem czapki trwały jednak już wcześniej; jak donosiło pismo „Nurt” z 1925 roku, zarząd uchwalił, że czapki „batorówki” mogą nosić tylko członkowie organizacji, ale nie udało się tego przeforować, ponieważ nie było kworum. Między zarządem „Bratniaka” a innymi organizacjami studenckimi trwał spór o prawo do noszenia czapki „batorówki”. W konsekwencji rektor USB wydał zarządzenie stanowiące, że „batorówka” nie jest symbolem ogólnoakademickim. Ostatecznie 2 października 1935 roku wojewoda wileński udzielił BP oficjalnego pozwolenia na noszenie „batorówek”.

Mensa Akademicka, Akademicka Kolonia Wypoczynkowa w Legaciszkach, Ognisko Akademickie i Dom Akademicki na Górze Bouffałowej oraz Akademicka Kasa Chorych stanowiły w latach

trzydziestych wydzielone przedsiębiorstwa Bratniej Pomocy, działające na zasadzie samowystarczalności. Każde przedsiębiorstwo miało swojego kierownika.

Mensa Akademicka powstała w 1921 roku. Jak pisano na łamach „Alma Mater Vilnensis”, niezamożnej młodzieży akademickiej przysługiwała 25–75-procentowa zniżka na obiady przygotowywane w mensie. W pierwszym roku jej działalności wydawano 80 ulgowych obiadów miesięcznie, w 1926 roku – 300 obiadów, a w 1928 – już 400. W 1939 roku, gdy mensa mieściła się już w Domu Akademickim, zwracano uwagę, że sala stołówek była wypożyczana przez Bratnią Pomoc na zabawy taneczne, co – jak wskazywano – zakłócało spokój mieszkańców akademika.

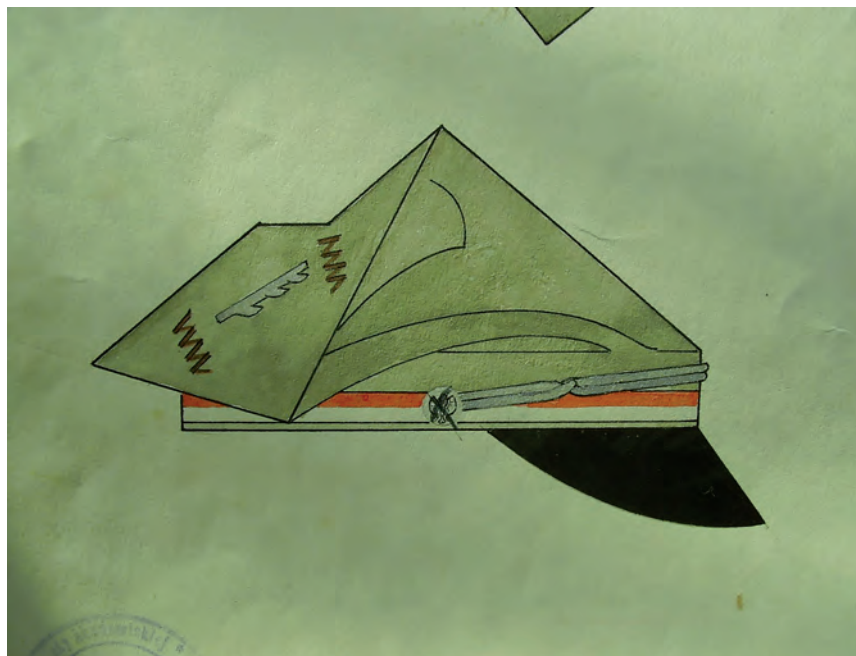
Stowarzyszenia akademickie organizowały część imprez kulturalnych i naukowych w Ognisku Akademickim. Przy ognisku działała czytelnia, która prenumerowała w 1929 roku 56 czasopism, a także wypożyczalnia książek, czynny był również bufet – w pierwszych latach codziennie, a od 1928 roku w dni zabaw urządzanych w świetlicy. Według przygotowanego przez Bratnią Pomoc sprawozdania z działalności w roku akademickim 1932/1933 w Ognisku Akademickim dziennie przebywało około 100 osób.

23 lipca 1923 roku w Nowiczach nad Żejmianą, w majątku położonym w powiecie święciańskim powstało uzdrowisko akademickie. Działo do roku 1929. Dzierżawiony majątek obejmował las i dwa jeziora. Uzdrawisko mieściło się w budynkach folwarcznych dworu, w których znajdowało się 80 łóżek. Odwiedzali je zarówno profesoria, jak i studenci. 30 czerwca 1930 roku w obecności prezydenta Ignacego Mościckiego otwarto Akademicką Kolonię Wypoczynkową w Legaciszkach, w powiecie wileńsko-trockim, która zastąpiła uzdrowisko w Nowiczach. Kolonia należała do Wileńskiego Komitetu Pomocy Polskiej Młodzieży Akademickiej. Powstała na gruntach należących do skarbu państwa, użytkowanych i administrowanych przez Bratnią Pomoc. Kolonia miała około 30 pokoi, w których jednorazowo mogło przebywać 100 osób. Poza pokojami mieściła się w niej również sala taneczna, kort tenisowy, boiska sportowe i wypożyczalnia kajaków.

Działał także Dom Akademicki na Górze Bouffałowej oraz Bursa Męska i Bursa Żeńska. Dom Akademicki został oddany do użytku w 1931 roku. Znajdowały się w nim 104 miejsca noclegowe. Miał

też pewne udogodnienia, mianowicie student prawa Stanisław Wawrzyńczyk wspominał, że gdy było ciepło, na dachu Domu Akademickiego funkcjonowała „plaża”, na której prawnicy mogli drzemać ze skryptami nad głową. Sytuację Domu Akademickiego dobrze ilustruje fragment sprawozdania Bratniej Pomocy z roku akademickiego 1932/1933, gdzie pisano: „Zbudowany wielkim kosztem za pieniądze studenckie Dom Akademicki na Górze Boufałowej wskutek wadliwej organizacji i wygórowanem komornem nie spełnia swego zadania, którem jest zapewnienie niezamożnym akademikom tanich i wygodnych mieszkań. Nawet przy obecnych cenach (20 zł miesięcznie w pokojach dwuosobowych i 33 zł w pokojach jednoosobowych) i wszelkich możliwych oszczędnościach Dom Akademicki daje deficyt, który był przewidziany przez Komitet Budowy, zaś pokrywać deficyt miał Senat USB. Zarząd Bratniej Pomocy, obejmując administrację Domu Akademickiego, miał zapewnione pokrycie przez Senat deficytu Domu, jednak rozporządzenie Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zabraniało senatom pokrywania deficytów Domów Akademickich”. W Domu Akademickim pojawiały się również problemy z utrzymaniem należytych zasad higieny. Komisja Sanitarно-Lekarska Akademickiego Ośrodka Zdrowia USB po wizycie w Domu Akademickim 15 grudnia 1938 roku stwierdziła: „Studenci i służba nie jest przebadana przez lekarzy. Na 258 mieszkańców Domu Akademickiego posiada świadectwo lekarskie 45%. Służba w ilości 11 osób w ogóle nie posiada świadectw zdrowia. Komisja stwierdziła, że chorzy na gruźlicę i groźni dla otoczenia zamieszkują w Domu Akademickim, np. Konstanty Jocz¹. W całym lokalu zarówno na korytarzach, w mieszkaniach studenckich, ubikacjach i kancelarii kurze zalegają grubą warstwą, na gzymsach, ramach okiennych itp. brudne szmaty i papiery pochowane za kaloryferami, np. łazienka na 5 piętrze. Szczotki do podłóg walają się po kątach i pod ławkami na korytarzach. Lokale mieszkalne są słabo wietrzone. Pościel u mieszkańców jest brudna lub nie ma jej wcale. Światło na korytarzach jest za słabe (jedna żarówka na korytarzu). [...] Służba jest w fartuchach brudnych, ubrana

¹ Wówczas student prawa, działacz „Awangardy” – Akademickiego Związku Młodej Polski.



niedbale. Wrażenie wywiera nieestetyczne. Pokój „fryzjera” zaniedbany. Fryzjerzy w fartuchach brudnych ubrani niedbale [...]”. Zanim w latach trzydziestych powstał w Wilnie Dom Studencki, akademicy mieszkali w bursach. Nie były one koedukacyjne – mężczyźni mieszkali w bursie znajdującej się przy ul. Bakszta 15 (mury klasztoru poaugustiańskiego), a kobiety przy ul. Zamkowej 26. W 1922 roku bursa męska mogła zakwaterować 60 studentów, żeńska zaś 25 studentek. Noblista Czesław Miłosz wspominał: „W Wilnie długo nie było nic prócz mensy (mowa o domu akademickim), czyli stołówki, pod którą to nazwą rozumiano również całą dość obскую bursę przy ul. Bakszta”.

Opieka zdrowotna na uczelniach została wprowadzona dzięki rozporządzeniu MWRiOP, w którym ustalono, że od roku 1924/1925 zacznie obowiązywać przymusowa opłata na Studencką Kasę Chorych. W Wilnie i Poznaniu Akademicką Kasę Chorych w porozumieniu z Senatem uczelni zorganizowali sami studenci. Obok Akademickiej Kasy Chorych przy Bratniej Pomocy Polskiej Młodzieży Akademickiej USB powstała także Kasa Chorych Wzajemnej Pomocy Studentów Żydów USB.



Dr Patryk Tomaszewski — adiunkt w Katedrze Myśli Politycznej Wydziału Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie UMK, rzecznik prasowy UMK



Na zdjęciu widoczna kopia fragmentu „Portretu rosyjskiej aktorki” Konrada Krzyżanowskiego wraz z oryginałem i autorką kopii Magdaleną Sitkiewicz, Muzeum Okręgowe w Toruniu, Ratusz Staromiejski, fot. Archiwum Magdaleny Sitkiewicz

Czego uczą mistrzowie? O kopii artystycznej, edukacji i twórczości

Z dr Magdaleną Sitkiewicz z Zakładu Technologii i Technik Sztuk Plastycznych na Wydziale Sztuk Pięknych UMK o dziedzictwie mistrzów malarstwa i malarskim dialogu z przeszłością, a także o edukacji artystycznej rozmawia Agata Jóźwiak

– Czy praca konserwatorsko-twórcza zaczyna się od idei i od pasji?

– Mając na uwadze specyfikę zawodu, decyzja o wyborze tej drogi musi się łączyć z pasją i wiarą w to, że warto poświęcać swój czas, by poznawać, badać dzieła sztuki, dbać o nie i je ratować. W tej pracy niezwykle przydatnymi, a raczej niezbędnymi cechami są cierpliwość, wytrwałość i dokładność w realizowaniu podejmowanego zadania, niezależnie, czy dotyka ono sfery badawczej, czy czysto praktycznej. Bez pasji i przekonania, że warto to robić byłoby raczej trudno.

– W tym kontekście, jak mniemam, idealizm jest rozumiany jako dążenie do najlepszego poziomu wykonawczego, to są ważne kwestie w sztuce. Istnieją obszary kultur, gdzie perfekcjonizm jest oczywistością i obniżenie pułapu wykonawczego czy usług jest poniżej społecznej akceptacji.

– Idealizm, rozumiany jako przeświadczenie, że dzieła sztuki jako byt określony formą nadaną przez artystę ma swoją wartość niematerialną, która określa jego istotę i która powinna trwać – m.in. dzięki szerokim działaniom konserwatora dzieł sztuki, czy tworzeniu kopii technologicznych. Per-

fekcjonizm w sztuce i konserwacji – tak, myślę, że jest niezwykle ważny, ale kontrolowany - utrzymany na takim poziomie, by zapewnić możliwie najwyższą jakość działań konserwatorskich czy artystycznych, powinien motywować do zdobywania kolejnych progów w dążeniu do doskonałości, ale jednocześnie nie odbierać radości i satysfakcji z pracy. Sądzę, że te pojęcia nierozzerwalnie wiążą się ze świadomością bogactwa, jakie zatrzymane jest w dziełach sztuki. Nauka ich czytania, którą mam wrażenie można nieustannie rozwijać, to według mnie zasadnicza umiejętność np. w procesie rekonstruowania czy kopiowania dzieła sztuki, bo dzięki niej wzrasta szacunek i respekt względem warsztatu artysty, co sprawia, że podejmując się takich działań człowiek staje się bardziej uważny.

– Ten proces na pewno bardzo poszerza świadomość i tworzy w wykonawcy, rekonstruktorze ciekawy stosunek do historii sztuki. Myślę też o sytuacji, gdy artysta ma świadomość co było przed nim i gdy ma szansę spojrzeć na siebie jak na ważne ogniwo w łańcuchu pokoleń. Nie jest jednak przesadnie skoncentrowanym na swojej własnej wizji... Wiedza i konfrontacja z dziełami buduje szacunek do poprzedników, niejednokrotnie wielkich twórców. A co z Twojej perspektywy daje współczesnemu człowiekowi sztuka z zamierzchłej przeszłości?

– Myślę, że to rzecz względna. Każdemu człowiekowi daje pewnie coś innego, w zależności od

tego jak bardzo jest on otwarty i wrażliwy na świat i dzieła sztuki, które go otaczają. Z mojej perspektywy dzieła sztuki dawnej to niezgłębiona, wielowarstwowa skarbnica wiedzy, z szeregiem sposobów i metod ukazania świata przy pomocy różnych środków plastycznego wyrazu. Opowieść o technikach i technologii. Im więcej okazji do zdobywania wiedzy na temat tajemnic sztuki dawnej, tym – w mojej ocenie – konserwator i artysta staje bogatszy, posiada większy wachlarz umiejętności, co wcale nie musi go ograniczać we własnej twórczości. Mam wrażenie, że sztuka dawna odbierana jest przez niektórych właśnie jako potencjalny element blokujący rozwój artysty. Według mnie nic bardziej mylnego. Dialog ze sztuką dawną przyjmował przecież najróżniejsze formy – myślę tutaj przykładowo o kopiowaniu dzieł sztuki – i mamy setki przykładów, w których nie ograniczał on artystycznego „ja”.

– Co Cię pociągnęło do tego rodzaju działalności zawodowej między nauką a sztuką?

– Jedną z pierwszych koncepcji i pomysłów na życie była w moim przypadku medycyna, później nastąpił zwrot i wybrałam konserwację malarstwa i rzeźby polichromowanej. Na studiach poza samą konserwacją, najbardziej pochłaniały mnie zajęcia praktyczne, zwłaszcza te specjalistyczne, prowadzone już od II roku studiów, w ramach których mogłam poznawać tajemnice warsztatowe artystów działających w różnych okresach i środowiskach



Wystawa studentów konserwacji i restauracji dzieł sztuki WSP UMK w Galerii Muz, 2022, fot. Katedra Technologii i Technik Sztuk Plastycznych

artystycznych i mierzyć się z nimi w praktyce, tworząc prace w danej technice i konwencji, pod okiem prowadzących zajęcia.

– Twoja historia z malarstwem to w dużej mierze malarstwo XIX-wieczne i sztuka Konrada Krzyżanowskiego. Wykonywałaś kopie jego dzieł do rozprawy doktorskiej. „Portret rosyjskiej aktorki” z Muzeum Okręgowego w Toruniu, który studiowałaś jest pięknym obrazem, ale podkreśliły dość nietypowym, nieakademickim. Czego nauczył Cię Krzyżanowski?

– Sztuka XIX wieku i początku XX chyba najbardziej pochłania moją uwagę. A twórczość Krzyżanowskiego do tej pory zachwyca. Sam proces kopiowania jest w mojej ocenie niezwykle wartościowy, pozwala odkryć ogrom niuansów technicznych, które potrafią umknąć przy analizie wizualnej dzieła. Portret aktorki to jeden z najwcześniejszych portretów artysty, powstałych jeszcze w okresie petersburskim. Uosabia dla mnie najciekawsze aspekty jego twórczości. Malarstwo portretowe Krzyżanowskiego osadzone jest w manierze realistycznej, jednak większość portretów ma mocny ekspresyjny wyraz, który był wypadkową wielu czynników. Tego jak patrzył na modela sam malarz, w jaki sposób tworzył jego wizerunek na płaszczyźnie obrazu i z jakich środków plastycznego wyrazu korzystał. Kopiując obraz Krzyżanowskiego, mogłam w spokoju analizować i podziwiać technikę pracy malarza. Dla mnie jest ona zadziwiająca. Pewność jego ręki i zarazem pewność względem własnej wizji portretowanego, o czym świadczy i opowiada materia, pismo malarskie w obrazie. Krzyżanowski w swoich portretach często posługiwał się zawężoną gamą barwną, wprowadzał umiejętnie mocne i czyste w kolorze akcenty kolorystyczne. Operował zróżnicowaną techniką prowadzenia pędzla i farby na powierzchni obrazu, uzyskując różnorodne efekty estetyczne. Obraz zyskiwał dzięki temu dodatkowe zestawienia barw powstających już nie na palecie, ale w samym obrazie. Jego malarstwo to seria kontrastów światłocieniowych, łączenie szkicowości i precyzji wykonania, zestawianie szerokiej i ekspresyjnej w formie techniki malarskiej, z wyraźnym zaznaczeniem śladów pisma malarskiego z bardziej wypracowaną techniką, w której opracowaniu jakby zwalniał tempa. Sięgał wówczas nierzadko po wąskie i precyzyjne pędzle, opracowując detale twarzy portretowanych postaci. O jego malarstwie portre-

towym można mówić długo i analizować je z różnych perspektyw. Miał wyjątkową umiejętność, ponieważ w szybki ma się wrażenie sposób zatrzymywał w obrazie prawdę o portretowanym, tą którą on dostrzegał. Za życia był mocną jednostką, co widać, analizując jego drogę artystyczną. Jego twórczość stanowi w mojej ocenie istotne ogniwo w historii sztuki okresu w którym tworzył.

– Gdy patrzy się na jego obrazy, przychodzą na myśl poważne utwory literackie czy na przykład II koncert Rachmaninowa... To egzystencjalne, poruszające malarstwo.

– ...Dramatyczne.

– A niezwykle lekko malowane i zdaje się szybko.

– Istnieją przekazy osób, które знаły artystę, czy uczęszczających do jego pracowni uczniów, mówiące o jego podejściu do pracy, zamiłowaniu do szerokiego gestu malarskiego – szerokich pędzli, nierzadko niezwykle szybkiego tempa pracy. Z jednej z relacji wynika, że marszałek Piłsudski zgodził się pozować Krzyżanowskiemu, ale jedynie przez 15 minut. Artysta przyjął wyzwanie, „skakał przy obrazie jak szalony”, pozostawiając modelowi swobodę ruchu, z której ten skorzystał. Po upływie ustalonego czasu marszałek wstał przekonany, że malarz nie skończył pracy – jednak obraz też był już gotowy (śmiech).

– Krzyżanowski jest wymagający. Wiele jego obrazów jest niepokojących, hipnotycznych, posiadają one „ciężar”. Zachowałaś w domowej przestrzeni swoją kopię obrazu „Rosyjskiej aktorki”, żyjesz z tym dziełem na co dzień. W tym obrazie jest mrok, ból czy niebezpieczeństwo, ale i piękno człowieczeństwa. Gdy patrzy się na to, co wielokrotnie zyskuje poklask w naszych czasach, czym ludzie lubią się otaczać i jaką rolę ma spełniać obraz na ścianie, sportretowana kobieta Krzyżanowskiego wygląda jak przybysz z innej galaktyki. Może tych warstw, bogactwa gatunkowego, przesłania duchowego, jak i znakomitego warsztatu dziś nie szuka się w malarstwie zbyt często? Zastanawia mnie to, jak ten portret bardzo różni się na poziomie warsztatu, ale i ładunku emocjonalnego, także pokazania złożoności natury ludzkiej od niewystarczająco przeżytych wielu współczesnych prac. Arcydzieło to odstaje także od skądinąd świetnie wykonanych portretów z XIX wieku. Intrygujące jest to, że do

swoich studiów wybrałaś akurat ten obraz – „kósmiškę w czerni”.

– Rzeczywiście jest coś takiego w obrazie, co rezonuje nieodgadnioną siłą. Szeroka, ekspresyjna, momentami wręcz szkicowa technika malarska, skonstrastowana z niezwykle subtelnie malowaną twarzą modelki; dynamiczna asymetryczna kompozycja, spychająca twarz modelki do lewej górnej części obrazu; ulubione przez artystę brązy i czerwień, zestawione z rzucanymi na obraz jaskrawymi, wyrazistymi akcentami żółci, zieleni, czerwieni, ponadto światło, którym artysta skupia uwagę odbiorcy na tajemniczej twarzy aktorki. Jest niezwykle lekko malowany, przy wykorzystaniu oszczędnych środków wyrazu, wydaje się, że nie ma w nim zbędnych dotknięć pędzla, a wrażenie wywołuje kolosalne. Myślę, że miałam duże szczęście, że taki obraz znajduje się właśnie w kolekcji toruńskiego muzeum i wybór sam się dokonał.

– Czy po tylu latach jeszcze zauważasz ten obraz? Jesteś w stanie go „zobaczyć”?

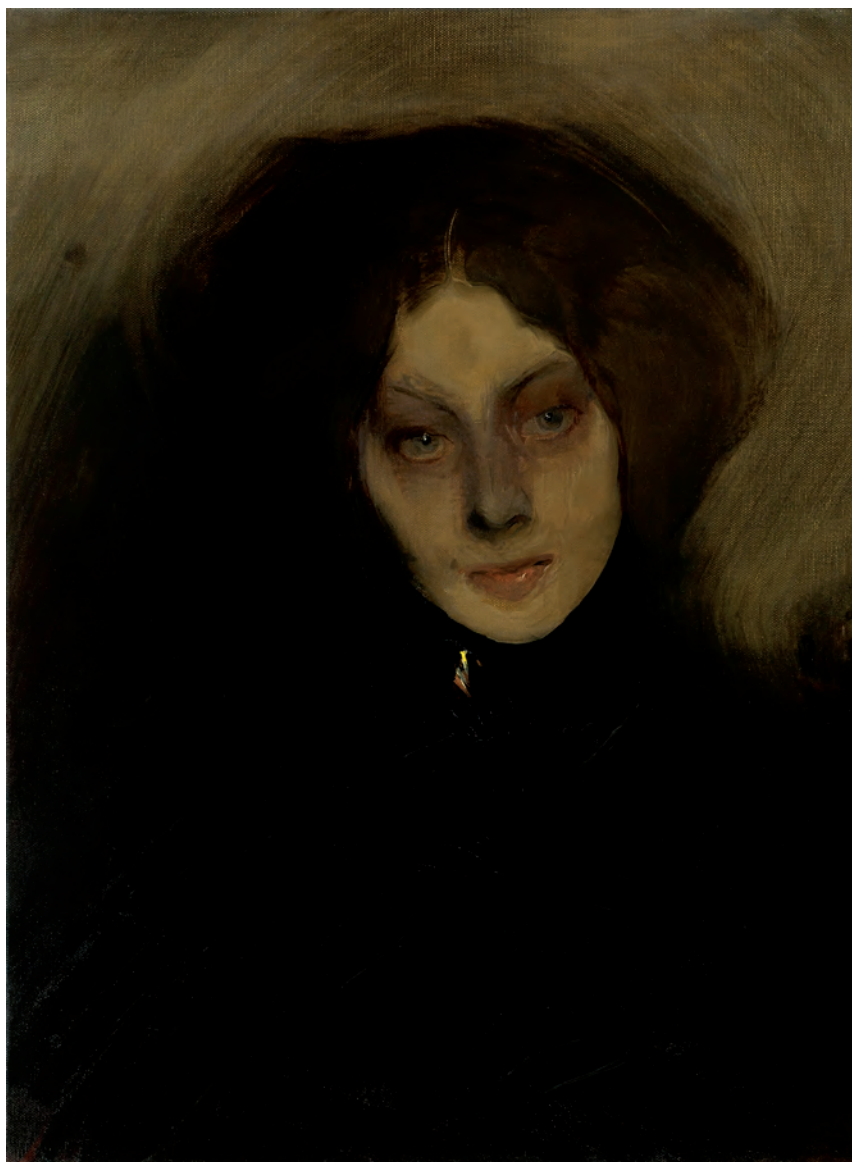
– Tak. Przemieszczając się między sztalugami kopiujących studentów, wielokrotnie zatrzymuję się przy tych samych dziełach i analizuję/oglądam je świadomie. Takie momenty przy obrazach utwierdzają mnie cały czas w przekonaniu, że okazja do kopiowania wybranego dzieła sztuki jest sytuacją wyjątkową i mającą dużą wartość.

– Naturalna nauka uważności...

– W tym natłoku wszystkich bodźców istnieje moment zatrzymania, w którym jesteś tylko ty i obraz. Człowiek zastyga i uwaga koncentruje się wyłącznie na technice i technologii dzieła. Widzę, że – podobnie jak i dla mnie – dla wielu studentów ma to też dużą wartość, że mogą kopiować w galeriach Muzeum Okręgowego w Toruniu, co też jest dodatkową atrakcją dla zwiedzających kolekcję.

– A jak ma się dzieło widziane z ekranu do oryginału w muzeum?

– Studenci widzą, jakie są mankamenty fotografii na ekranie i niejednokrotnie przekonują się, że nie warto nadrabiać zaległości z reprodukcji czy fotografii. Kontakt bezpośredni z dziełem sztuki jest po prostu niezastąpiony, nawet jeśli dysponuje się



Kopia fragmentu „Portretu rosyjskiej aktorki” Konrada Krzyżanowskiego wykonana przez Magdalenę Sitkiewicz, Muzeum Okręgowe w Toruniu, Ratusz Staromiejski, fot. Archiwum Magdaleny Sitkiewicz

fotografiami wysokiej jakości. Możliwość dostrzegania najdrobniejszych niuansów technicznych i kolorystycznych, zwłaszcza w przypadku wielowarstwowej techniki malarskiej, pozwala osiągnąć wyższy poziom artystyczny kopii i zyskać dla siebie więcej cennych informacji.

– Jakie przykładowo ćwiczenia artystyczne przechodzą studenci konserwacji malarstwa i rzeźby polichromowanej?

– Zajęcia dydaktyczne – artystyczne, prowadzone na specjalności konserwacja i restauracja malarstwa i rzeźby polichromowanej obejmują swoim zakresem m.in. całokształt zagadnień składających się na problematykę dawnych i współ-



Magdalena Sitkiewicz, Bez tytułu, 2022, fot. Archiwum Magdaleny Sitkiewicz

czesnych technologii i technik sztuk plastycznych. Mają one długą tradycję. Pracownie, w ramach których studenci mogą rozwijać wiedzę i praktyczne umiejętności związane z technikami rysunkowymi i malarskimi, odgrywają na tej specjalności znaczącą rolę. Pisała o tym już kiedyś w AUNC obecna kierownik naszej Katedry – prof. dr hab. Elżbieta Basiul, omawiając znaczenie kopiowania obrazów sztalugowych w kształceniu konserwatorów. Studenci w początkowym okresie studiów (na I i II roku) odbywają zajęcia artystyczne z zakresu kształcenia ogólnego, w pracowniach anatomii plastycznej, pracowniach rysunku i malarstwa czy w ramach plenerów, w trakcie których zdobywają i doskonalą podstawowe umiejętności artystyczne w zakresie rysunku i malarstwa, metod i sposobów

przedstawiania świata widzianego na płaszczyźnie. W trakcie dalszego toku studiów zajęcia artystyczne są ukierunkowane na zdobywanie wiedzy teoretycznej i praktycznej w zakresie znajomości zagadnień warsztatowych artystów działających w różnych okresach historycznych i środowiskach artystycznych. Studenci realizują wówczas prace w określonej technice malarskiej, wzorowane na wybranej reprodukcji danego dzieła. W pracowniach historycznych technik artystycznych, od II do IV roku, realizują przykładowo prace: w tradycyjnej technice temperowej (tworząc ikony, także wybrane motywy lub fragmenty obrazów malarstwa włoskiego z XIV i XV w.), technice mieszanej (temperowe podmalowanie i wykończenie olejno-żywiczne, według tradycji europejskiego malarstwa

północnoeuropejskiego), technice olejnej (wzorowane na reprodukcji wybranego obrazu jednego z mistrzów malarstwa europejskiego z okresu od XVII do XVIII w., np.: Johanna Vermeera czy Jana-Baptiste'a Siméona Chardina czy w technikach malarstwa ściennego. Na III i IV roku wykonują prace rysunkowe i malarskie w postaci martwych natur inspirowanych siedemnastowiecznym malarstwem niderlandzkim, oraz autoportretów, utrzymanych w ściśle określonej konwencji artystycznej. Autoportrety dla przykładu realizowane są na wzór wybieranych przez studentów portretów mistrzów malarstwa z okresu od XVI w. do I poł. XX w. W procesie twórczym korzystają z reprodukcji wybranego portretu, tworząc obraz na podstawie swojego zdjęcia, które w warstwie kostiumowej, kompozycyjnej i światłocieniowej nawiązuje do obranego wzorca, a także na podstawie studium rysunkowego autoportretu. Fotografie realizowane są w Pracowni fotograficznej przez pracownika naszej katedry Adama Fisza. Na IV i V roku studiów studenci realizują już wierne kopie malarskie, pracując w bezpośrednim kontakcie z oryginałem w Muzeum Okręgowym w Toruniu. Ten etap wymaga już od studenta znacznie większych umiejętności zarówno jeśli chodzi o wiedzę dotyczącą technologii i technik malarskich, jak i zdobytych umiejętności technicznych. Program studiów daje możliwość ciągłego rozwoju powyższych kompetencji. W dalszym ciągu zajęcia służą doskonaleniu zmysłu obserwacji i umiejętności czytania dzieła sztuki. Studenci realizują kopie zgodnie z wytycznymi narzuconymi pracy kopisty, w sposób, który określa technika oryginału, pod okiem prowadzących zajęcia. Umiejętności zdobyte w trakcie wspomnianych wcześniej zajęć i wykonanych realizacji są niezwykle przydatne w przyszłej pracy konserwatora, począwszy od analizowania techniki i technologii oryginału, jak również na etapie wykonania uzupełnień, rekonstrukcji warstwy malarskiej czy realizowania kopii technologicznych. Warto też myśleć podkreślić, że studenci podejmują się kopiowania czy rekonstrukcji w ramach prac dyplomowych bądź magisterskich, które łączą z szeregiem prac badawczych realizowanych w Laboratorium Badań Fizyko-Chemicznych i Nieniszczących w Centrum Badań i Konserwacji Dziedzictwa Kulturowego UMK w Toruniu.

- Czy uważasz, że kopiowanie dawnych dzieł jest potrzebne w procesie edukacji artystów?

- Tak. Uważam, że kopiowanie może być bardzo cennym elementem edukacji zarówno konserwatorów dzieł sztuki, jak i artystów. Jest procesem, w którym można zyskać sporo cennych informacji technicznych, nabyć też kolejne umiejętności manualne, a także wzbogacać swoją wiedzę o różnorodne sposoby i metody obrazowania świata, natury. Bez wątpienia jest to proces wzbogacający warsztat artysty i – jak wspomniałam już – w mojej ocenie nie da się go zastąpić jedynie analizą wizualną. W przypadku studentów konserwacji malarstwa i rzeźby polichromowanej proces kopiowania obrazów w Muzeum Okręgowym trwa dwa semestry. Jest na tyle długi, że pozwala się rozsmakować w tym procesie, sięgać po podobrazia zastępcze, na których można poszukiwać właściwej drogi, by osiągnąć zamierzony efekt estetyczny. Sądzę, że jeśli kopista jest zaangażowany i uważny, nie działa mechanicznie, to niezależnie od finalnego efektu jaki uzyska w kopii, proces ten nie jest dla niego samego bezproduktywny.

Przygotowując się do kopiowania, studenci zachęcani są do wykonania kopii szkicowych, często na mniejszych podobrazach, skupiających się na ogólnej koncepcji dzieła, w których odchodzi się od wiernego przedstawienia detali kompozycji, bądź realizowania szkiców i studiów poszczególnych jej fragmentów. Jestem przekonana, że proces kopiowania – właściwie rozumiany – nie jest czynnikiem, który ogranicza indywidualny rozwój artysty, nawet nie ma o czym mówić (śmiech).

- Myślę, że jest ...

- Tyle wielkich nazwisk, nawet takich, których by się nie posądzało o to, że kiedyś spędzali mnóstwo swojego wolnego czasu w muzeum, by kopiować dzieła dawnych mistrzów, studiowało sztukę dawną. Kiedyś ta praktyka stanowiła zasadniczy element edukacji artystycznej, również w pracowniach prywatnych działających w pewnym okresie niezależnie względem akademii. Do kopiowania podziwianych dzieł wracało też wielu artystów w ramach indywidualnego rozwoju, jak choćby Delacroix, Degas czy van Gogh. Artyści tworzyli kopie wierne i szkicowe, również swobodne – interpretacyjne. W tych ostatnich przenikają się już wartości artystyczne kopiowanego dzieła z tymi typowymi dla kopiującego je artysty. W kopiach szkicowych z kolei, w których kopiujący skupia się na wybranych aspektach dzieła – kompozycji, harmonii barwnej, czy detalach –

dostrzec można pewną analogię względem metod przygotowania, realizacji dzieła zgodnie z regułą akademicką. Mam tu na myśli sytuację, w której praca przy właściwym dziele poprzedza szereg działań rysunkowych i malarskich pozwalających przeanalizować różne aspekty dzieła. Przykładowo *croquies* – były szybkimi, małymi szkicami, rodzajem projektu, stanowiącymi zapis pierwszej koncepcji dzieła, z kolei *esquisse* – malowano na odrębnym podobrazie, w sposób, który pozwalał analizować ogólną koncepcję barwną i kompozycyjną dzieła, bez wchodzenia w szczegóły kompozycji. Wspomnieć można też o rysowanych lub malowanych *études* – które służyły z kolei studiowaniu poszczególnych detali kompozycji.

– Nawet jeśli kopiowanie było niedokładne jak w kopiach malowanych przez Van Gogha albo jak studiowanie stylu Rubensa przez Delacroix czy Fantin-LaTour'a, zawsze było to ćwiczenie się przy znakomitych kompozycjach, przebywanie w wyrazistym świecie malarskim. A czy istnieją malarze, których dzieła najchętniej wybierają studenci do kopiowania?

– W przypadku kopii nowożytnej każdego roku mamy dużą różnorodność, jeśli chodzi o wybierane przez studentów motywy, zarówno jeśli chodzi o styl i technikę pracy artysty, okres powstania dzieła, jak i różnorodne podobrazia malarskie, ale faktycznie jest też tak, że niektóre nazwiska pojawiają się częściej – jest tak w przypadku dzieł Henryka Siemiradzkiego, Wojciecha Weissza, Jacka Malczewskiego, Józefa Brandta, Józefa Mehoffera czy Jana Matejki.

– Malarze z XIX wieku... Czy malarstwo XIX-wieczne jest bardziej przez nas „czytane” niż to z dawniejszych epok?

– Chyba trudno tak jednoznacznie stwierdzić, myślę że jest to sprawa indywidualna, a jednocześnie jest pochodną składu kolekcji muzealnej – od wielu lat dzięki uprzejmości dyrekcji Muzeum Okręgowego studenci mogą kopiować właśnie w galeriach muzealnych, a okres XIX w. reprezentują tam naprawdę interesujące dzieła. Jeśli się zastanowić – to z pewnością ten przedział czasowy w malarstwie oferuje dużą różnorodność w zakresie techniki, metod pracy i sposobów przedstawiania przez artystów obranych motywów.

– We wstępie rozprawy doktorskiej napisałaś: „Cechą rozwoju sztuki na przestrzeni wieków jest nieustanny dialog następujących po sobie pokoleń artystów ze sztuką minioną. Dialog ten przebiegał i przybierać może różne oblicza, a u jego źródeł leży zjawisko inspiracji”. Wydaje mi się, że w swojej działalności również prowadzisz dialog i co jest warte podkreślenia, cały czas podążasz drogą malarstwa olejnego. Masz jakichś twórców współczesnych, na których zwracasz szczególną uwagę?

– Jest wielu artystów, których twórczość z różnych powodów mnie interesuje i też inspiruje. Nawiązując do Twojego pytania, zarówno jeśli chodzi o niezwykle obszerne grono mistrzów dawnych, tak i wśród tych współczesnych artystów, wymienienie jedynie kilku nazwisk jest dla mnie bardzo trudne i w pewnym sensie ograniczające, bo nie sposób powiedzieć o wszystkich, albo o jedynie wybranych aspektach twórczości danych artystów, ponieważ jest tyle wątków wartych odnotowania. Łatwiej może w ten sposób – bez wątpienia najbardziej porusza mnie sztuka przedstawiająca, której głównym obiektem zainteresowania jest człowiek, ciało ludzkie czy sam portret. Choć nie jest to jedyny obszar moich zainteresowań czy inspiracji. Przykładowo niezwykle przyciągające i wrażeniowe są dla mnie prace działającego współcześnie Nicka Alma czy Seana Layha (i tu właściwie otwierają mi się kolejne zakładki i na myśl przychodzą obrazy Sargenta, Zor- na, Philipa de László i twórczość szeregu artystów dawnych i współczesnych podejmujących podobne tematy w swojej twórczości). Intryguje mnie twórczość malarska i rysunkowa Agaty Kus. Interesuje i zachwyca mnie malarstwo wielowarstwowe i możliwości, jakie daje, cenię i podziwiam umiejętność wyrażania ekspresji w malarstwie olejnym, utrzymywania lekkości i swobody pisma malarskiego przy realistycznej w założeniu konwencji pracy. Ta technika mnie nie nudzi.

– Stworzyłaś i tworzysz prace olejne o swoich dziełach. Mogłabyś o tych obrazach opowiedzieć?

– Tak, są one moim światem i wielokrotnie obiektem inspiracji. Wypełniają wiele przestrzeni mojego życia codziennego, obserwacja tego jak się zmieniają i jak postrzegają świat jest dla mnie wystarczająca, by zaistniały też w obrazach czy rysunkach. I nie jest to dla mnie jedynie utrwalenie ich fizjonomii na płaszczyźnie malarskiej, ale swego rodzaju notatka,

opowieść o nich samych w szerszym kontekście, dotykającym np. wątków społecznych. Niektóre kadry zapadają mi mocno w pamięć i cierpliwie czekają na swój czas.

– Podziwiać można rozpiętość techniczną malarstwa olejnego na Twoich pracach: kopii Krzyżanowskiego i portretu córki – autorskiego obrazu namalowanego w stylistyce fotorealistycznej. Jest to obraz cenny dla Ciebie, został też doceniony przez specjalistów. W 2022 roku został nagrodzony grand prix na 26. Międzynarodowym Wschodnim Salonie Sztuki w Lublinie. To ciekawe, jak technika olejna i tematyka portretu pracują w Tobie, i dokąd Cię ta droga dalej poprowadzi. Będziemy czekać na Twoje kolejne piękne obrazy. Wracając do źródeł, czy poszczególni malarze z przeszłości coś Ci dają na tym etapie, na którym jesteś?

– Setki obrazów, wielu artystów z różnych epok ma w sobie coś co podziwiam. Cenię warsztat i biegłość techniczną w malarstwie. Im więcej mam okazji się uczyć i poznawać nowych rzeczy i tajników warsztatu malarskiego różnych twórców, tym mam wrażenie, że jeszcze więcej jest do odkrycia i zyskania dla siebie.

– Kopiowanie jest w dużej mierze procesem intelektualnym związanym z analizą i powrotami do obrazu. To powoduje często wytworzenie w sobie stosunku emocjonalnego do konkretnego dzieła. Dochodzimy do punktu kulminacyjnego naszej rozmowy, pogranicza technologii i misterium. Trwanie w zadziwieniu przy obrazie to jest stan, który podziela wiele osób przeżywających spotkanie z arcydziełem. W filmie dokumentalnym: „Vermeer: blisko mistrza” (reż. Suzanne Raes, 2023) uchwyciono takie sytuacje. Kurator Gregor J.M. Weber, mimo swego doświadczenia zawodowego, wiedzy o dziełach Vermeera, przeczytania setek opracowań, widząc na żywo obrazy mistrza, jest zachwycony i równocześnie bezradny. Nadal nie wie jak można było namalować takie cuda z udziałem światła i koloru.

– Sądzę, że jestem w stanie to zrozumieć. Aktualnie dysponujemy tak wielką bazą informacji na temat warsztatu malarskiego wielu artystów, co stanowi pokłosie kontynuowanej od lat pracy badaczy, teoretyków i historyków sztuki, konserwatorów dzieł sztuki, którzy korzystają z aktualnie

dostępnych nieinwazyjnych i inwazyjnych metod badawczych dzieła sztuki. Ogromna skarbnica wiedzy. Odczucie zachwytu i bezradności, o których wspominałaś – zwłaszcza na etapie wykonania wiernej kopii danego dzieła – wydają mi się zrozumiałe, nawet jeśli posiadamy szczegółową wiedzę na temat technologii i techniki malarskiej, tajników warsztatu pracy artysty, przeanalizowanych etapów realizacji dzieła. Zawsze pozostaje sfera niewerbalna w obrazie, przestrzeń, którą w jakimś stopniu odczytujemy indywidualnie, a która wynika m.in. z artystycznego usposobienia artysty, jego wrażliwości, temperamentu. Kopiowanie jest procesem intelektualnym angażującym kopistę w sposób wielopłaszczyznowy, mamy możliwość poczuć technikę. Jeśli proces kopiowania sprzężony jest z realizacją badań specjalistycznych techniki i technologii oryginału, bądź wybranej grupy dzieł artysty, dysponujemy wówczas szeregiem informacji na temat technologii i techniki użytej do stworzenia dzieła. Proces dochodzenia do tego, „jak” artysta osiągnął dany efekt w obrazie wydaje się czasem nie mieć końca. Nie wszystko jesteśmy przecież w stanie przełożyć na konkretny wniosek, jednoznaczny wynik.

– Poczuć technikę – trafne sformułowanie odnośnie procesu kopiowania. Jednak w tym procesie poznawczym jest też miejsce na powiedzenie „stop”. Albo raczej ten komunikat kieruje do nas dzieło i jego autor?

– Mam wrażenie, że niezwykle trudno odtworzyć dzieło „idealnie” albo mieć przeświadczenie, że w takcie kopiowania pojmujemy wszystkie tajniki i sekrety mistrza. Myślę jednak, że nie taka idea przyświeca temu procesowi. Im więcej zyskamy dla siebie tym jesteśmy bogatsi. Zdolność określenia momentu, w którym możemy zakończyć pracę przy danym obiekcie – dziele, jest umiejętnością nabywaną wraz z doświadczeniem.

– I na tym może zakończmy. Dziękuję za rozmowę.

Zachęcamy do odwiedzenia strony Zakładu Technologii i Technik Sztuk Plastycznych:

<https://techmalart.umk.pl/pages/home/>.

Jeszcze w czerwcu zainteresowani mogą skorzystać z bezpłatnych konsultacji w zakresie przygotowania teczek do egzaminów wstępnych na kierunku Konserwacja i restauracja dzieł sztuki.

Sebastian Żurowski

Pan E. Znikający



Jednym z dosyć częstych pytań zadawanych w poradniach językowych jest pytanie o formę dopełniacza nazwisk męskich, w których przedostatnią literą jest e. Chodzi o wątpliwości typu „czy Dudka, czy Dudeka?”.

Pytania te biorą się z tego, że zasady zawarte w różnych kompendiach są mimo wszystko zawsze dosyć nieprecyzyjne. W *Dobrym słowniku* sformułowaliśmy ją akurat tak: „W odmianie polskich nazwisk zakończonych na -ec, -eć, -ek, -el, -eń, -er, -ew opuszczamy w odmianie literę e, jeśli tak samo dzieje się w odmianie równobrzmiącego rzeczownika pospolitego”. Od razu jednak pojawia się zastrzeżenie, że są popularne wyjątki (*Kamień, pana Kamienia; Krzemień, pana Krzemienia; Czerniec, pana Czarnieca; Mech, pana Mecha*) i że „[b]ywa też tak, że w danej rodzinie istnieje tradycja odmiany nazwiska inaczej, niżby wskazywały na to reguły ogólne. Taką tradycję należy szanować, ale też nosiciele tego nazwiska nie powinni mieć pretensji, że osoby «z zewnątrz» odmieniają je w typowy sposób”. Dosyć znanym wypadkiem wyrażania indywidualnej woli nosiciela nazwiska była sprawa pseudonimu Czesława Wydrzyckiego, czyli Czesława Niemena. Muzyk świadomie promował

wersję *Niemena*, choć dopełniacz nazwy rzeki, którą wybrał na pseudonim (a potem także formalne nazwisko), to przecież *Niemna*.

Skąd w ogóle się wzięło to „znikające e”? To dalekie echo procesu zaniku i wokalizacji jerów. Jery to dawne tzw. półsamogłoski, które występowały w języku prastowiańskim i w powstałych z niego językach słowiańskich. W wypadku języka polskiego procesy zaniku i wokalizacji nastąpiły jeszcze w erze przedpiśmiennej (co znaczy, że nie ma takich liter w żadnym z tekstów, które uważa się za zabytki języka polskiego). To wtedy w niektórych pozycjach z jerów (w uproszczeniu) powstała głoska [e], w niektórych pozostała miękkość poprzedzającej spółgłoski, a w niektórych jer po prostu zanikł. Oczywiście nazwiska powstały dużo później, ale taki sposób odmiany przez wieki utrwalił się w polskich rzeczownikach pospolitych.

Powyższe wyjaśnia, dlaczego sytuacja jest dużo bardziej rozchwiana w wypadku nazwisk obcych: „[w] odmianie tak samo zakończonych nazwisk obcych litera e opuszczana jest zwykle w nazwiskach mających na gruncie polskim dłuższą tradycję”. Jakie nazwiska „zwykle” mają „dłuższą tradycję”? Na pewno takie jak *Havel* (w końcu to nazwisko słowiańskie), ale takimi mogą być także nazwiska germańskie (*Hegel*). Są wypadki, gdy to samo nazwisko można odmienić inaczej, by zaznaczyć, że raz mamy do czynienia z obcokrajowcem (reżysera *Lászla Benedeka*), a raz z Polakiem (gitarzysty *Jana Benedka*).

Jak można łatwo zauważyć, w regułach bierze się pod uwagę przynajmniej takie czynniki jak pochodzenie nazwiska, narodowość nosiciela, tradycję ustaloną w języku, ale też tradycję lokalną czy wręcz rodzinną. Niektóre z nich są stosunkowo obiektywne, ale tak czy inaczej wszystkie wymagają pewnej wiedzy o kontekście, a łatwo się domyślić, że zapewne to jeszcze nie wszystko, co może okazać się istotne przy podejmowaniu ostatecznej decyzji. Ważne bywają także kwestie związane z wymową. Okazuje się, że w pewnych wypadkach nawet w nazwiskach obcych mocno utrwalonych w polszczyźnie (jak *Cromwell*) trudno byłoby wymówić formę bez e. Nie można także pominąć e w nawet dobrze przyswojonych nazwiskach francuskich, w których akcent oryginalnie pada na ostatnią sylabę (jak *Ravel*).



Dr Sebastian Żurowski — Wydział Humanistyczny UMK



Drugie pokolenie obozowe

Z dr Marią Buko rozmawia lic. Weronika Jabłońska

Fot. nadesłana

– Zacznę od najbardziej podstawowego pytania. Badania realizowała Pani metodą historii mówionej, prowadząc wywiady narracyjno-biograficzne. Czym wyróżnia się ta metoda? I co najbardziej skłoniło Panią do wybrania właśnie takiego rozwiązania?

– Metoda wyróżnia się tym, że nie jest oczywistym wyborem do realizacji projektu *oral history*. Jest to specyfika polskiego środowiska historii mówionej, które rozpoczęło się we wczesnych latach 2000. Są badacze, którzy twierdzą, że historia mówiona zaczęła się w Polsce wcześniej, ale odnoszę się do współczesnej praktyki, którą zaczęto tworzyć środowisko socjologów w Warszawie. Metoda została przyjęta częściowo dzięki kontaktom ośrodka Uniwersytetu Łódzkiego z niemieckim badaczem Fritzem Schütze'em.

„Nowa fala” zafascynowała się metodą narracyjno-biograficzną dlatego, że jest szczególnie bo-

gata. Pozwala dowiedzieć się od osoby nagrywanej wszystkiego, co możliwe, niekoniecznie tylko tego, co badacz sam zaplanuje. Nie stawiamy wyłącznie pytań związanych z projektem, więc mamy szansę poznać osobę nagrywaną, tak jak ona chce się przedstawić.

Metoda polega na tym, że nie zaczynamy wywiadu od listy pytań, które nas najbardziej interesują, tylko dajemy szansę osobie nagrywanej opowiedzieć historię swojego życia. Wtedy poznajemy biografię rozmówcy. Czasami część biograficzna trwa kilka godzin albo kilka spotkań – jeśli ktoś jest rozgadany, ma długie życie czy poczucie, że może mówić swobodnie o swoich doświadczeniach. Badacz ma szansę poznać tę osobę lepiej, zanim doprecyzuje bądź zanim jeszcze przygotuje listę pytań dodatkowych.

Wydaje mi się, że takie wywiady są szczególnie wartościowe, już nie tylko ze względu na element poznawczy. Jest to benefit dla osoby nagrywającej – może lepiej skonstruować pytania, o coś dopytać,

zawsze znajdzie się jeszcze aspekt, który nie byłby możliwy do poruszenia bez przedstawienia się przez osobę nagrywaną. Poszerzone wywiady są bardzo istotnym materiałem dla przyszłych badaczy. Z takiej rozmowy mogą skorzystać osoby zainteresowane zupełnie innym wątkiem z danej biografii, czy też z konkretnego zagadnienia historycznego – takie było moje założenie, dlatego też wywiady są zarchiwizowane. Nie dotyczą tylko jednego skompresowanego wątku.

– Opracowując zgromadzone źródła, starała się Pani jak najbardziej oddawać głos swoim rozmówcom, by podążać za wskazywanymi przezeń tropami. Miała Pani indywidualne podejście do każdego badanego. Tak więc, w jaki sposób budowała Pani poczucie bezpieczeństwa oraz zaufania, aby rozmówcy czuli się traktowani jak partnerzy w rozmowie, a nie „obiekty badawcze”?

– Nie ma powtarzalnej osoby. Taka metoda nie sprawdzi się przy każdym nagrywanym rozmówcy. Dużo zależy od intuicji, przygotowania wywiadu oraz zgrania się w trakcie spotkania. Kiedy rozmówca zaznacza, że jest zmęczony, wspomnienia są dla niego zbyt trudne albo czegoś nie rozumie – nie można tego bagatelizować. Tak jak wspomniałam, dużo zależy od intuicji badacza. Myślę, że ją mam, dzięki swojej wrażliwości i empatii. Oczywiście, ma to również swoje złe strony, bo niejednokrotnie byłam stawiana przed wyzwaniem trudniejszym dla mnie niż dla moich rozmówców...

Mogę wskazać kilka sytuacji. Przykładem jest moje zapoznanie się z panią Elżbietą, osobą, która czuje się ekspertką w danym temacie. Przeprowadziłam z nią dwie rozmowy – obie są przedstawione w publikacji. Pani Elżbieta jest profesorką Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz przewodniczącą stowarzyszenia upamiętniającego i zrzeszającego rodziny więźniarek obozu Ravensbrück. Dbą o dziedzictwo wszystkich więźniarek oraz interesy stowarzyszenia. Dodatkowo jest zorientowana w badaniach na bieżąco. Zastanawiałam się, czy uda nam się swobodnie porozmawiać. Prywatnie „nie nadawałyśmy na tych samych falach”, choć teraz to się zmieniło. Stowarzyszenie ma charakter religijny i katolicki, co nie jest moją wrażliwością. Pani Elżbieta zadawała mi wiele pytań, więc miałam wątpliwości, czy „dobrze mówię” – mimo że ja przyszłam z pozycji eksperckiej. Pani profesor chciała mieć obszerną wiedzę o badaniu. Uważam, że słusznie. Poczuła, że

może pytać, a ja otworzyłam się na tłumaczenie projektu. Pamiętam jednak niepewność, jakby to pani Elżbieta pytała mnie z pozycji eksperckiej. Pomimo tego wywiad był udany. Obie, po pierwszym przetestowaniu się i rozpoznaniu na żywo, otworzyłyśmy się na spotkanie, co poskutkowało tym, że było bardzo owocne. Myślę, że to znamieny przykład, aby się nie uprzedzać... Warto ośmielić się i zaufać.

Przytoczę także przykład osoby, która sama się do mnie zgłosiła, chcąc zostać nagraną. Nie miała jednak intuicji, co może wynikać z całego projektu. Zadzwoniła na mój numer służbowy, mówiąc, że całe życie szuka odpowiedzi na osobiste pytania; co i czy coś znaczyło to, że jej matka była więźniarką obozu. Poprosiła, abym wyjaśniła jej te kwestie. Rozmówczyni, od razu po potwierdzeniu, że jestem ekspertką, opowiedziała o swoich bardzo trudnych przeżyciach rodzinnych, w których doświadczyła przemocy i poturbowania emocjonalnego. Myślę, że obie się zaskoczyłyśmy. Byłam zdziwiona, że dowiedziałam się tak wiele od nieznannej. Pani natomiast była zaskoczona, że ktoś, kto zajmuje się danym tematem naukowo, nie musi od razu wszystkiego wiedzieć. W tej sytuacji moje indywidualne podejście wymagało wytłumaczenia, o co mi chodzi, czy wywiad będzie publikowany, a jeśli tak, to w jakim celu. Ponadto musiałam wyjaśnić, że nie wiem wszystkiego – i raczej nie będę wiedziała. Przybrało to charakter uczenia rozmówczyni o ostrożności wobec projektu naukowego. Hamowałam nadzieję, że na pewno coś z tego wyniknie, a jeśli nawet, to więcej pytań niż odpowiedzi.

– Wspomniała Pani o różnicach poglądów między sobą a rozmówcami, słuchaniu trudnych, niekiedy intymnych historii życia czy o ogólnym bagażu emocjonalnym. Czy były jeszcze jakieś dodatkowe przeszkody na Pani drodze badawczej?

– Materiał badawczy był żywy, ja też zmieniałam się w trakcie projektu. Inny charakter przybierało także to, na ile projekt był rozpoznawany, czy coś było o nim publikowane w prasie oraz, czy mówiło się o nim w środowisku. Niektórzy moi rozmówcy przekazywali mi osobiste kontakty do swoich znajomych z dzieciństwa. Osoby były różne.

Przeszkodą, znaną wielu badaczom, było dotarcie do środowiska osób zaangażowanych w działania upamiętniające. Miały one trudność ze znalezieniem czasu na spokojną rozmowę. Jedna osoba zaprosiła mnie do swojego biura, co było fatalną sytuacją do

zbudowania intymności rozmowy – jednak albo wtedy, albo wcale. Rzeczywiście, był to wywiad przeprowadzony w pośpiechu. Musiałam szybko spróbować przełamać schemat, w którym siedzę z pozycji „petenta” po drugiej stronie biurka. Pomimo tego, rozmowa była udana. Trzeba dać rozmówcy do zrozumienia, że ważniejszym i bardziej wartościowym niż formuły z przemówień publicznych czy negocjacji przy załatwianiu spraw dla stowarzyszenia, jest powiedzenie czegoś z serca. Z kilkoma osobami zrobiłam wywiady powrotne. Rozmówcy poznali inne historie i zrozumieli, że mają coś do dodania.

W przypadku osób, które poznałam przypadkowo – szczęściem bądź rekomendacją – wyzwaniem były osobiste, prywatne historie. Trudnością było zachowanie równowagi – pracowanie nad projektem intelektualnie, a nie zatracanie się w intymnych rozmowach. Musiałam zastanowić się jaki jest rzeczywisty cel projektu oraz, na ile można pytać o aspekty, które są dla mnie interesujące, a na ile postawić granicę i niekoniecznie otwierać się na kwestie najbardziej bolesne. Wyzwaniem było spowalnianie wywiadu i przechodzenie z relacji emocjonalnej w trakcie rozmowy z powrotem na chłodniejszy etap, a następnie ponowne wejście w rozmowę, jeżeli osoba naprawdę rozumiała, co się dzieje.

Z czasem uświadomiłam sobie, że należy zatrzymać się między jednym wywiadem a drugim. Powinam mieć czas, aby wszystko przeanalizować – co wynika z projektu, które pytania naprawdę warto zadać z powodów naukowych, a kiedy lepiej pomóc rozmówcy się wyciszyć... Przy osobistych spotkaniach, przy wywiadach biograficznych, przy historii mówionej, tak właśnie wchodzimy w środowisko. Szczerze interesujemy się badaniem, ale kiedy temat nas pochłania musimy pamiętać, że to nadal praca naukowa i samodzielnie się „cucić”.

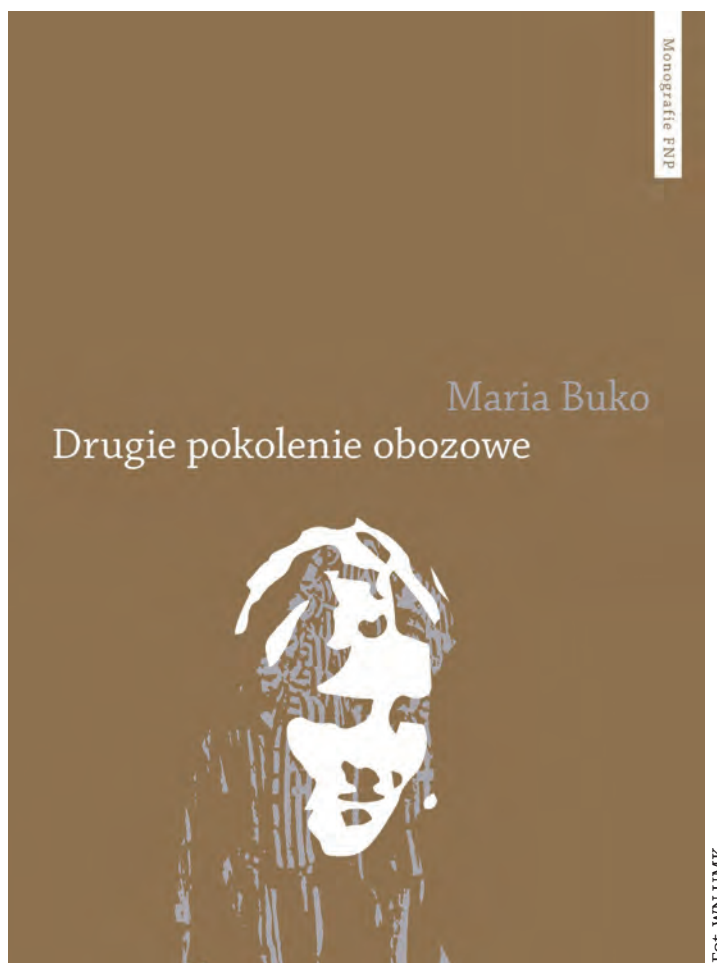
– W badaniu wspomniane zostało, że przez „polskie drugie pokolenie obozowe” rozumie Pani potomków „polskich nieżydowskich” więźniów obozów koncentracyjnych, ponieważ są pewne różnice w doświadczeniu obozowym a doświadczeniu zagłady. Co miało wpływ na to, że – pomimo wszystko – polskie, jak i żydowskie losy pojawiły się w Pani pracy?

– Nie można zaprzeczyć, że polscy Żydzi również należą do polskiego drugiego pokolenia poobozowego. Temat pojawił się dzięki wnikliwym pytaniom recenzentów mojej pracy. Zależało mi, aby projekt

bardziej scalał niż rozpraszał i komplikował – by był zrozumiały także poza środowiskiem akademickim. Chciałam uchwycić konkretną grupę, z którą zdecydowałam się spotkać – i stąd właśnie zwrot „polskie”, choć precyzyjniej można powiedzieć „polskie (katolickie)” czy „etnicznie polskie”, czyli nieżydowskie, nieholokaustowe – ostatecznie wybrałam określenie „polskie” jako najbardziej zwarte.

Skupiłam swoją uwagę na doświadczeniu „polskim nieżydowskim”, ponieważ jest priorytetowe w kwestii proporcji badań nad drugą wojną światową i jej długofalowymi konsekwencjami. Doświadczenia ocalałych i zamordowanych z II wojny światowej Żydów, już nie tylko polskich, są inną skalą przemocy. Taki był pomysł na mój projekt – warto zestawiać, pokazać jeszcze inną grupę ofiar, ale z zachowaniem różnicy w proporcjach.

W publikacji wyraźnie zaznaczam, że zestawienie i porównywanie pewnych doświadczeń nie wiąże się ze zrównywaniem ich. Moją intencją nie jest rywalizacja z ofiarami Zagłady. Naziści chcieli unicestwić wszystkich Żydów wyłącznie przez ich pochodzenie etniczne. Słowianie i Polacy także byli



ofiarami nazistowskiej polityki, niemniej jednak, nie mieli zostać eksterminowani. Nie chciałabym, żeby publikacja i badania były instrumentalizowane do udowadniania, że „a my też”, „u nas tak samo trudno” – bo nie, nie było tak samo. Widać to także w biografiach osób, które nagrałam. Nie ma tylko Polaków i tylko polskich Żydów, bo istnieją także osoby z rodzin, w których korzenie te są bardziej skomplikowane. Poczucie przynależności narodowej czy religijnej też nie jest oczywiste. W przypadku takich rozmówców wyraźnie widać różnicę w proporcjach. Można zwrócić uwagę na różnicę w skali traum i trudności powojennych doświadczanych przez rodziców pochodzenia żydowskiego, gdyż niekiedy cała ich rodzina została unicestwiona w Zagładzie i przeżył tylko jeden z nich. Często moi rozmówcy dowiadawali się, że rodzice mieli żydowskie korzenie dopiero po ich śmierci. Lęk osób ocalałych z zagłady, a konkretniej to, że nie mogli opowiedzieć swoim dzieciom o doświadczeniu wojennym, dobitnie pokazuje różnice w proporcjach.

Wiedziałam, że jest dużo badań poświęconych rodzinom ocalałym z zagłady, które prowadzi się nawet do piątego pokolenia w Izraelu. W Polsce też były wszystkie możliwe doświadczenia przemocy. Wiadomo, że skupiły się tutaj siły okupanta niemieckiego i sowieckiego. Spójrzmy na to, co z tego problemu wyniknęło dla Żydów i jak wpływało to na powojenną politykę, także historyczną.

– Polityka historyczna stanowiła istotny kontekst doświadczenia rodzin Pani rozmówców. Jak, w oficjalnym dyskursie PRL-u, przedstawiane były obozy koncentracyjne? Dodatkowo – jak represje polityczne i cenzura wpływały na obozową politykę pamięci?

– Pamięć o ofiarach II wojny światowej w PRL-u była bardzo zmanipulowana. Nie wspomniano o ofiarach represji sowieckich. Mówiono o niepełnej grupie ofiar II wojny światowej. Istniał cały komunał bojowników z faszyzmem, tylko ta część podziemia niepodległościowego była upamiętniania. Skupiano się na osobach heroicznych, dzielnych, walczących – takich, z których możemy być dumni. W tej ramce miały mieścić się doświadczenia moich rozmówców. Owa perspektywa była bardzo sztywna i spłaszczająca rzeczywiste doświadczenia wojenne. Jeżeli drugie pokolenie odwiedzało miejsca pamięci obozowej z wycieczką szkolną, zazwyczaj nie łączyło tego z doświadczeniem swoich rodziców, bo abstrakcyj-

ne, wielkie słowa o odległych, wyobrażonych bohaterach nie pasowały do osoby rodzica, który przeżył wojnę bardziej ze strony ofiary niż zwycięzcy – nawet jeśli nie było to wprost rozumiane przez dzieci i nastolatków.

Ważna jest kwestia pominięcia drugiej połowy doświadczenia wojny. Wiele osób z drugiego pokolenia wspomina, że doświadczenie łagrowe było zupełnie przemilczane w rodzinie. Już bezpośrednie przeżycia moich rozmówców, czyli wzrastanie w okresie PRL-u, były bolesnymi doświadczeniami. Takie pominięcie jednej ze stron konfliktu to zakłamaną perspektywą polityki historycznej PRL-u wobec ogólnego polskiego doświadczenia wojennego.

– Wspomina Pani o osobach nadmiernie przywiązanych do swoich rodziców. Przykładem jest historia niezwykle związanej z matką, pani Barbary. Barbara prawdopodobnie nigdy w życiu nie pracowała zawodowo, nie założyła rodziny. Całe jej życie toczyło się wokół matki. Rok po jej śmierci Barbara popełniła samobójstwo. Za jakiś czas zrobił to także jej ojciec. Idąc tym tropem – jakie inne konsekwencje nadmiernego przywiązania do rodzica pojawiały się w relacjach Pani rozmówców? W jaki sposób wpływało to na ich późniejsze życie?

– Historia pani Barbary to rozmowa z przeszłości, której nie miałam szansy nagrać. Udostępniła mi ją Madoń-Mitzne, która nagrywała jej ojca, więźnia obozu w Mauthausen. Badaczka miała wgląd w osobiste życie rodziny. Intuicja podpowiedziała jej, że warto byłoby porozmawiać także z córką...

W przypadku drugiego pokolenia mamy do czynienia z osobami, które żyją i są zdolne do komunikacji. Istotne jest zidentyfikowanie rozmówców – muszą być znane określonym osobom, funkcjonować w konkretnym środowisku lub utrzymywać kontakt z otaczającą rzeczywistością.

Historia pani Barbary jest przykładem dramatycznym. Kobieta nie była w stanie poradzić sobie z samodzielnym życiem – bez matki, więźniarki Ravensbrück – więc popełniła samobójstwo. W analizowanym wywiadzie nie pojawiały się deklaracje świadczące o tym, że w domu dzieje się coś niedobrego. Pani Barbara zapewniała, że rodzice są wspaniali, zwłaszcza matka. Ogromnym szokiem okazała się samobójcza śmierć rozmówczyni. Jej ojciec – w konsekwencji tej straty – również odebrał sobie życie. Jego przywiązanie do świata teraźniejszego pękło, gdy stracił i byłą żonę, i córkę...

Nadmierne przywiązanie to aspekt dostrzegany przez moich rozmówców już pod koniec ich życia. Wspominają o trudnościach w oddzieleniu się od rodziców i założeniu własnej rodziny. Towarzyszyło im silne poczucie zobowiązania wobec rodziców – niezależnie od tego czy byli bohaterami, czy ofiarami wojny – czuli obowiązek wspierania ich. Istniało przeświadczenie, że życie dziecka poczeka, bo musi skupić się na rodzicu.

Parentyfikacja, czyli odwrócenie ról w rodzinie, została opisana m.in. przez prof. Katarzynę Schier jako zjawisko, w którym dziecko przyjmuje odpowiedzialność za rodzica. Myślę, że to właśnie ten mechanizm sprawił, że po publikacji książki odezwęło się do mnie wiele osób spoza rodzin obozowych. Wskazuje to na szerszy problem, wynikający nie tylko z doświadczenia wojny, ale również z braku świadomości ról, granic w rodzinie oraz praw dziecka.

– Nie wszyscy byli więźniowie zostali zapamiętani jako rodzice smutni, surowi czy nerwowi. Jakie jeszcze pozytywne cechy swoich matek i ojców wskazywali Pani rozmówcy?

– Dużo osób niedoświadczonych przemocą fizyczną ze strony rodziców mówiło o nich jako o bohaterach oraz inspiracji. Nie mówi się o nich jako o ofiarach. Istotnym jest to, że rodzice, po wszystkich doświadczeniach wojennych, nadal mieli wolę życia i szukania sensu. Moi rodzice często wspominali o przywiązaniu dużej uwagi do zadbania o dzieci, tak jak się wtedy potrafiło. Podkreślało się także hartowanie ducha. Rodzic pokazywał, że warto przeć do przodu nawet z ponoszeniem osobistych kosztów.

Niektórzy moi rozmówcy przyznawali, że – niestety – pomijali swoje dzieci, podobnie jak oni byli pomijani przez własnych rodziców. Przejawiało się to w zatracaniu w pracy, która miała zapewnić dzieciom godne warunki życia.

Moi rozmówcy starali się znaleźć pozytywne aspekty. Nieoczywisty wymiar przyjmowała perspektywa, że jako dzieci „nie mieli tak źle”. Dysfunkcje w domu nie są podważane, ale rozmówcy potrafią spojrzeć na rodziców z wyrozumiałością i zobaczyć, że dużo się udawało w porównaniu z tym jak potrafili potoczyć się losy innych rodzin.

– Drugie pokolenie często miało „ciocie” i „wujków obozowych”. Na czym – najczęściej – polegały re-

lacje między nimi? Jaką rolę przyjaciele z obozów odgrywali w rodzinach ocalałych?

– Ciocie i wujkowie obozowi to motyw przewodni wszystkich historii. Są to przyjaciele z czasów uwięzienia, niekoniecznie osoby, których ci rodzice by poznali, gdyby obozu nie było. W obozie więzione były osoby z innych klas społecznych, z odmiennymi poglądami na życie – takie, które w różny sposób radziły sobie w obozowej rzeczywistości. W więziennym systemie byli tzw. zaradni, którzy potrafili coś zorganizować oraz ci, którzy potrzebowali więcej opieki. Te różne sprawy moralne odbijały się w grupach powojennych przyjaźni, co skutkowało różnymi konsekwencjami.

Wujkowie i ciocie obozowi ciągle gościli w domu. Odbijały się rozmowy, w których nie uczestniczyły dzieci, a jeśli tak, to przypadkiem. Mogły wtedy posłuchać albo podsłuchać o tym, co działo się w czasie wojny, co na pewno dawało fałszywy ogląd.

Jednym z mechanizmów obronnych niezamierzania się środowisk więźniarskich było wspomnianie anegdot. Nawiązywano do pozytywnych historii, pokazując hart ducha. Głównie w taki sposób drugie pokolenie słyszało o obozach. Rodziny obozowe rywalizowały jednak o czas i uwagę z rodzinami biologicznymi. Rozmówcy wspominali, że przyjaciele i przyjaciółki z obozu to główny świat, w którym odnajdywali się rodzice.

Jeden z moich prywatnych rozmówców wspominał z niechęcią i niesmakiem, że mama, więźniarka Ravensbrück, była ofiarą eksperymentów medycznych w obozie. Nie była w stanie pracować zawodowo i musiała iść szybko na rentę, więc na co dzień żyła obozem. Spotykała się z koleżankami, z którymi wspominała życie więziennicze. Nie miała czasu dla syna, nie miała koleżanek z czasów poobozowych. Tak jak powiedziałam, były to konkurencyjne rodziny. Oczywiście bardzo ważne emocjonalnie i ułatawiające przeżycie tym rodzicom, ale był to jednak osobny świat, na pewno nie do końca zrozumiany przez dzieci. I na pewno, paradoksalnie, nie wyjaśniający tak dużo o doświadczeniu wojennym, a idealizujący wspomnienia obozowe.

– Podobnie jak aspekt przemocy domowej, zdrowie psychiczne rodziców było tematem tabu. Jednak, jakie cechy osoby „ocalałej” najczęściej przywoływali rozmówcy, wspominając o swoich rodzicach?

– Co najmniej melancholia, nikt wtedy nie diagnozował depresji. Rodzice byli opisywani jako osoby łatwo zmęczone, wycofane, gasnące, niepromieniujące czy impulsywne, co niekoniecznie musi wykluczać depresję, a może się z nią wiązać. Przywoływane jest także niekontrolowanie emocji, zwłaszcza kiedy pojawiał się jakiś element skojarzeniowy z obozem. Były także wspomniane alkoholizm i popadanie w histerię – definiowane jako przestrasżające epizody w życiu codziennym.

Dodatkowo rozmówcy często nawiązywali do stanów moralnych, takich jak demoralizacja rodziców, zaburzenia proporcji i wartości. Skutkowało to przeniesieniem norm z okresu wojny do życia powojennego, co przejawiało się w oszukiwaniu i dbaniu o swój interes. Chodzi o podwójną moralność – „ja mogę więcej niż inni, najważniejsze żebym ja przeżył”.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Dr Maria Buko – socjolożka, historyczka, dokumentalistka i badaczka historii mówionej. Doktoryzowała się w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Przez wiele lat związana z Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią i Ośrodka Karta w Warszawie. Obecnie pracuje na Wydziale Historii i Socjologii na Uniwersytecie w Konstancji. Interesuje się pamięcią autobiograficzną, międzygeneracyjną i zbiorową, a także jej społecznymi i historycznymi kontekstami. Badała doświadczenia i pamięć ocalałych z II wojny światowej i okresu stalinizmu oraz ich potomków. Obecnie realizuje projekt poświęcony losom sierot i dzieci „bezpiecznych” w Polsce i Szwajcarii po 1945 roku. Jest autorką m.in. książki *Drugie pokolenie obozowe. Pamięć i doświadczenie potomków polskich więźniów niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych*, opublikowanej przez Wydawnictwo Naukowe UMK w serii Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Wojciech Streich

Ślad odcisnięty w piasku czasu

Wszystkie uroczystości, nawet te najważniejsze i najdłuższe kiedyś się kończą – orkiestry przestają grać, oficjele przemawiać, a resztki plakatów zrywa wiatr lub zostają zaklejane informacjami o nowych, jeszcze ważniejszych uroczystościach. Dlatego już na samym początku tego artykułu chciałem napisać: jak to dobrze, że powstał album *Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu 1945–2025*, który ukazał się w lutym br.

Autorami tego wydawnictwa są Anna i Mirosław Supruniukowie, historycy, którzy od wielu już lat badają nie tylko dzieje UMK, ale także historię nauki w Wilnie czy historię polskiej emigracji. Ich rozległa wiedza i szerokie spojrzenie na historię szkolnictwa wyższego w Polsce na przestrzeni ostatnich dwóch wieków i dorobek naukowy w tym zakresie były najlepszą gwarancją, że otrzymamy najlepszy pro-

dukt wydawniczy. I tak też się stało. Wspomniany album – który nazwałbym i-albumem ze względu na nowatorskie podejście do prezentacji dziejów, tak specyficznej instytucji jaką jest uczelnia – zaprasza nas na wystawę, oprowadzając po salach, w której wiszą obrazy ukazujące skomplikowane i splecione ze sobą życie nasze i życie uniwersytetu. Już sama forma zewnętrzna wydawnictwa (design, zdjęcia, okładka, rodzaj papieru itd.) sugeruje, moim zdaniem, że mamy do czynienia z czymś, co przypomina katalog wystawy.

Ponieważ nie ma takiego pojęcia, iż „coś przypomina”, pozwoliłem sobie wymyślić, na potrzeby tego artykułu, pojęcie „i-albumu”, czyli inteligentnego albumu, różniącego się od setek tego typu wydawnictw. Całość zamknięto w 211 stronach (łącznie z indeksem nazwisk i spisem autorów fotografii) z krótką przedmową rektora, 15-stronicowym ese-

jem *Ślad odcisnięty w piasku czasu*, notą redakcyjną i częścią zasadniczą *Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu 1945-2025 w fotografii* zawierającą 165 ponumerowanych fotografii.

Podoba mi się, iż autorzy nie ulegli pokusie przedstawienia jak największej liczby zdjęć, lecz konsekwentnie – zgodnie ze swoim scenariuszem – zapraszają nas do tego swoistego salonu fotograficznego, ukazując ślady odcisnięte przez nas i naszych poprzedników „w piasku czasu”. Widać, jak skrupulatnie wybierano zdjęcia – wpierw te najlepsze, a potem najlepsze z tych najlepszych. Również na uznanie zasługuje zasada, że praktycznie jedna strona to jedno zdjęcie (z niewielkimi wyjątkami), co daje pewien oddech i pozwala skupić się przy oglądaniu. Do każdego obrazu dodano krótki i merytoryczny opis, dający nam „przy okazji” sporą i wiarygodną dawkę historii naszego Uniwersytetu, w tym o ludziach, którzy go wznosili i nadal to robią.

Na uznanie zasługują ukryte rozdziały tego i-albumu. Nie zostały nazwane, a jednak są. Już przed wejściem tę unikatową wystawę, wita nas pełne tajemniczości duże zdjęcie fragmentu kampusu białeńskiego spowitego mgłą. To tak jakby zapowiadało: patrzcie wszystko zaczęło się wyłaniać z jesiennej mgły, słysząc było gwizd lokomotyw ciągnących sznury wagonów towarowych, które wiozły potwornie zmęczonych, często wielotygodniową podróżą, pracowników ze wschodu, głównie z USB. Ostatecznie zatrzymali się w Toruniu, zupełnie nieznanym im mieście i z niedowierzaniem patrzyli, gdzie im przyjdzie (jeszcze tego nie wiedzą) spędzić resztę swojego życia, w tym naukowego. Myślę, że taki był zamiar zaproszenia do tego salonu fotograficznego przez Annę i Mirosława Supruniuków, gdyż już na pierwszej numerowanej fotografii ukazali jak 12 listopada 2025 r. rektor UMK z prezydentem Torunia i przewodniczącym rady naszego miasta odsłaniają na Dworcu Głównym PKP tablicę pamiątkową poświęconą profesorom i pracownikom Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, którzy przybyli do Torunia w latach 1945–1946.

Kolejne 164 zdjęcia tworzą barwną rzekę wydarzeń, która od 80 lat płynie meandrami, tworząc gorsze lub lepsze czasy: od mrocznych czasów stalinizmu, przez bylejakosć gomułkowszczyzny, wspaniały rok 1973, kiedy to powstał kampus białeński, dalej stan wojenny i szare lata osiemdziesiąte, pamiętny 1989 rok – początki demokracji, przez wizytę papieża Jana Pawła II w Uczelni (7 czerwca 1999 r.), po prawdziwy rozkwit naszego Uniwersyte-



Fot. WN UMK

tu w pierwszych latach XXI wieku. Pewnym symbolem i zadośćuczynieniem za trud włożony w budowę toruńskiej wszechnicy przez pracowników USB było utworzenie Wydziału Teologicznego (2001) oraz połączenie z Akademią Medyczną w Bydgoszczy (2004). Jak piszą autorzy we wprowadzeniu: „Musiało minąć 60 lat od powołania toruńskiej akademii, by w 2004 r. udało się zrealizować marzenie wilnian o odtworzeniu uniwersytetu na wzór tego, który zamknięto w mieście nad Wilią: zespolenie UMK z Akademią Medyczną im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy, za zgodą społeczności obu uczelni, pozwoliło utworzyć Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera UMK w Bydgoszczy, z Wydziałami: Lekarskim, Farmaceutycznym i Nauk o Zdrowiu. [...] W chwili fuzji stał się toruński uniwersytet jedynym w Polsce, który łączył pod berłem jednego rektora wydziały wszystkich nauk uniwersyteckich”.

Zastanawiałem się dość długo, czy autorom udało się dokonać trafnego doboru fotografii pod względem merytorycznym. Długo szukałem „dziury w całym” i... nie udało mi się takowej znaleźć. Przypominałem sobie różne wydarzenia z historii naszej Almae Matris z chęcią zastawienia pułapki – niestety, wszystko, co przychodziło mi do głowy, znalazłem w tym i-albumie – scenariusz został tak pomyślany



Prof. Wilhelmina Iwanowska i prof. Władysław Dziewulski przy teleskopie Drapera, Piwnice, 1950–1951.
Fot. Olgierd Gałdyński (zasób Archiwum UMK)

(i przemyślany), że nawet tak przekornemu, jak niżej podpisanemu, nie udało się powiedzieć „Ależ drodzy państwo, żeby o tej sprawie zapomnieć?!”.
Wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianych wcześniej „ukrytych” rozdziałów, a może bardziej kamieni milowych, które w sposób bardzo symboliczny ukazują przebytą drogą. Dzięki tym dwustronicowym obrazom (jest ich dziewięć), możemy przekonać się ile udało dokonać się przez te 80 lat i ile pokonać trudności, aby teraz cieszyć się tak pięknym Uniwersytetem. Przypomnijmy sobie opisy niedostatków, na jakie cierpieli założyciele: brak sal wykładowych, nieogrzewane pomieszczenia, brak aparatury, książek, katastrofalny brak mieszkań i jedzenia... Czyż nie jest to najlepszy hołd złożony tym wszystkim ludziom?

Teraz mały prztyczek – nie zgadzam się z twórcami wydawnictwa, iż jak to napisali w nocie redakcyjnej: „Nie ma ciekawych zdjęć z początków Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, a te, które są – jak w chińskim przysłowiu – pokazują drzewa, a nie las: hieratyczne budynki w brudnej, powojennej przestrzeni miasta, puste wnętrza, anonimowe twarze, czasem w czapkach studenckich przywiezionych z Wilna. I nieliczne zgromadzenia mówiące tyle

o nas, co o czasach, w których je wykonano”. Nie zgadzam się, dlatego że zdjęcia z tych początków oddają ducha tamtych czasów i przez to są... ciekawe. Tak niestety było, szaro, brudno i biednie; z wszystkiego nas okradziono poza godnością i marzeniami. I to wyłania się z tych fotografii – nadzieja, że będzie lepiej. A że zdjęć z tego okresu jest mało, trudno się dziwić, fotografowanie było luksusem. Jeszcze jeden kamyczek do tego ogródka, obecnie robimy zdjęcia najczęściej bez powodu, „jak leci”; setki, tysiące, bez wyrazu, bez pomysłu – mimo że kolorowe. Tymczasem te stare miały w sobie dużo uroku i czegoś, czego już nie umiemy odtworzyć. Przecież najładniejszym zdjęciem w omawianym albumie – moim zdaniem – i najlepszym zdjęciem w historii UMK jest zdjęcie wykonane na początku lat 50. ub. wieku przez Olgierda Gałdyńskiego, na którym obserwacje astronomiczne prowadzą profesorowie Wilhelmina Iwanowska i Władysław Dziewulski (s. 34). Jakaż radość i duma bije z tej fotografii! Ich spojrzenia wyrażają spokój i pewność, że Uniwersytet będzie istniał i teraz już go nikt nam nie zabierze. Czyż to zdjęcie nie powinno zawisnąć na honorowych miejscach w auli UMK, Bibliotece Głównej i Muzeum UMK? Czyż nie pasuje ono idealnie do przywołanej przez A. i M. Supruniuków łacińskiej dewizy naszej Uczelni *Veritas in omnibus quaerenda est*¹?

I już prawie na koniec, uważam że album *UMK w Toruniu 1945–2025* mógłby być bazą do przygotowania interaktywnej stałej wystawy, która powinna być dostępna przynajmniej w tych trzech przywołanych obiektach. Czas, żebyśmy mogli pochwalić się takim przedsięwzięciem, boć to już XXI wiek!

Na podsumowanie apel do pracowników Uczelni, którzy w 2045 będą się habilitować i otrzymywać profesury – na 100-lecie UMK postarajcie się wydać jeszcze lepszy album, ukazujący dzieje naszego Uniwersytetu. Być może w tym dziele pomagać będzie wam już AI? W każdym razie, nie opublikujcie niczego gorszego, pamiętając, iż poprzeczka ustawiona została bardzo wysoko.

Anna Supruniuk, Mirosław A. Supruniuk, *Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. 1945–2025*, Toruń 2025, Wydawnictwo Naukowe UMK.

¹ We wszystkim szukać prawdy.

Kajetan Szmul

Sztuka spięta klamrą, czyli

33. Alternatywne Spotkania Teatralne

Czas, który zdaje się lecieć nieubłaganie, nie zatrzymuje się choćby na chwilę. A jednak, wspominając tegoroczną edycję KLAMRY w Od Nowie, można byłoby pomyśleć, że na kilka dni czas stanął w miejscu. Wszystko za sprawą historii, które opowiadane na deskach teatralnych, przenosiły widownię do nieodkrytych jeszcze zakamarków sztuki.

Toruńska Od Nowa może poszczycić się kolejną udaną edycją Alternatywnych Spotkań Teatralnych KLAMRA. To już 33. raz, kiedy akademicki klub z wieloletnią historią, zamieniał się w swoistą świątynię sztuki teatralnej. Przez osiem dni nad murami Od Nowy unosiła się aura tajemniczości, spowodowana występami alternatywnych grup teatralnych, którzy przybyli do miasta Kopernika z całej Polski. Warto jednak zajrzeć za kurtynę i przyjrzeć się, co ciekawego pokazali widowni.

Za rozpoczęcie festiwalu należy uznać spektakl trzykrotnego laureata Nagrody Publiczności KLAMRY – Teatru Wierszalin. Ich przedstawienia

przekonały do siebie toruńską widownię w latach 2007, 2017 oraz podczas ubiegłorocznej edycji. Natomiast w tym roku, grupa z podlaskiego Supraśla zdecydowała się zaprosić widzów na „Ślub”. Jeśli jednak ktokolwiek, zachęcony tytułem, wybrał ten spektakl, oczekując prostej rozrywki połączonej z toastem za młodą parę, musiał być co najmniej zaskoczony tym, co zobaczył. Sztuka w reżyserii Piotra Tomaszuka została bowiem oparta na jednym z najważniejszych dramatów Witolda Gombrowicza, o tym samym tytule. Teatr, eksplorując twórczość mistrza słowa, jakim bez wątpienia był Gombrowicz, ukazał przejmującą opowieść o zderzeniu jednostki z formą, a władzy i iluzji z przyziemną rzeczywistością. Ci, którzy znają Wierszalin, wiedzieli, że znajdą w prezentowanej przez nich sztuce, elementy groteski oraz rozważań filozoficznych. Tekst Gombrowicza stanowi pokusę do wykorzystania go w nowoczesnym teatrze z wykorzystaniem multimedialnych i nowych technologii. Jest on bowiem w rzeczy samej tekstem o parodii teatru, parodii życia, a może



Akcja sceniczna — Living Space Theatre — laureata KLAMRY 2025

i nawet parodii romantyzmu. Teatr Wierszalin nie pokusił się jednak na odejście od swojej „wierszalińskiej” stylistyki. „Przy okazji *«Ślubu»* doszedłem do tej takiej prostej myśli, że stajemy się *klasykami awangardy*. Przy *«Ślubie»* to widać wyraźnie. My nie szukamy odmienności na siłę, wręcz odwrotnie. W swojej działalności reżyserskiej, przez cały czas próbuję zrozumieć o co chodzi autorowi” – mówił podczas spotkania z publicznością Piotr Tomaszuk, reżyser spektaklu. I właśnie w tym podejściu można dopatrywać się sukcesu całej grupy. Spektakl został doceniony gromkimi brawami, jednak nie brał on udziału w konkursie publiczności. Bynajmniej, nie dlatego, że nie miały szans w tej artystycznej rywalizacji o serca toruńskiej widowni. Regulamin KLAMRY przewidywał bowiem możliwość trzykrotnego zdobycia nagrody, a teatr swój trzeci laur odebrał podczas tegorocznej edycji za rok 2024. To tylko pokazuje, że Wierszalin od lat cieszy się nie słabnącym zainteresowaniem i sympatią.

Kolejnego dnia widzowie KLAMRY obejrzą spektakl **Teatru Cosmino**. Ich „*Heartburn*”, niczym tytułowa zgaga – pali, piecze i sprawia dyskomfort. Trzeba jednak to uczucie odczytywać, jako niewygodną prawdę o tematach społecznych, takich jak choćby: aborcja, przemoc, czy pozycja kobiet w kontekście nierówności. To prawda, o której niektórzy

zapewne woleliby nie słyszeć, dlatego też przekaz tu jest tak dosadny i bezpośredni. Rachel Karafistan i Eva Rufo, aktorki oraz reżyserki sztuki, wkładają przysłowiowy kij w mrowisko. Nadają komentarz do wielu sytuacji, które nawet jeśli nie spotkały nas osobiście, to nie powinniśmy przechodzić obok nich obojętnie. Jest to sztuka zaangażowana społecznie, czego artystki w żaden sposób nie starają się ukryć, wychodząc naprzeciw problemom współczesnego świata. Spektakl zrećźnie wykorzystuje różne formy teatralne, co ubogaca całość i pozwala na płynne przejścia pomiędzy tematami. Kobiety opowiadają historie o aborcji, śpiewają o przemoc i tańczą o menopauzie. Jest kolorowo i kreatywnie, ale ich sztuka nie jest pozbawiona przesłania.

Sztukę o miłości unikającej banałów zaprezentowali studenci z **Teatru Sceny Głównej Handlowej**. Gra międzyludzka ukazana w „*Miłości na godzinę*” została ubrana w zabawny i pełen nieoczekiwanych zwrotów akcji kostium. Dwie studenckie etiudy połączyło pytanie, czy w świecie kłamstwa i nieszczerości jest nadal miejsce na uczucia? Spektakl nie daje jednoznacznej odpowiedzi, ale po obejrzeniu go, bliżej mi do stwierdzenia, że jest to jednak tylko gra pozorów.

Początek tygodnia przyniósł nowe spektakle, które na pewno można byłoby określić mianem: *różnorodne*. Teatr **Dada von Bzdülów**, będący laureatem Nagrody Publiczności KLAMRY w 2012 roku, przyjechał do Torunia ze spektaklem „*Janina. Ona i One*”. Główną inspiracją do stworzenia tej sztuki, należy upatrywać się w postaci wielkiej choreografki XX wieku, Janiny Jarzynówny-Sobczak, patronki Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Gdańsku. Artystki chciały podjąć dialog sceniczny z artystyczną spuścizną tancerki, która wychowała całe pokolenia i obecnie stanowi autorytet w dziedzinie tańca. To bardzo subtelny spektakl, który opiera się na trzech filarach: słowie, świetle oraz – co w tym przypadku raczej oczywiste – ruchu. Warto również docenić postać **Katarzyny Chmielewskiej**, reżyserki, scenarzystki, a także aktorki, która świętowała tym spektaklem swój osobisty benefis, podsumowując niejako ponad trzydzieści lat pracy zawodowej.

Poniedziałek rozpoczął również dwudniowy cykl, nazwany „*Kinem na KLAMRZE*” w Kinie Studenckim „*Niebieski Kocyk*”. To coroczny wybór tytułów filmowych, które swoją poetyką lub tematem wpasowują się w festiwal teatralny. Tegoroczne filmy udowodniły, że sztuka w swojej różnorodnej formie, może korespondować ze sobą, tworząc



Katarzyna Faszczewska i Maurycy Męczałski



Spotkanie z Gabrielą Muskałą i Zbigniewem Zamachowskim

niezliczone konteksty do interpretacji. Pierwszego dnia widzowie zostali zaproszeni na projekcję filmu „Błazny”, którego reżyserką – debiutującą w tej roli – **Gabriela Muskała**, przyjechała na KLAMRĘ, jako gość specjalny festiwalu. Film opowiada historię grupy studentów, będących na ostatniej prostej do zakończenia studiów aktorskich. Pozostało przed nimi stworzenie spektaklu dyplomowego, za którego reżyserię odpowiedzialny będzie szanowany reżyser Gajda. Jego zadaniem jest wybór dwójki aktorów, którzy wcielą się w główne role w sztuce, a tym samym „pociągną cały spektakl”. Jest to dla młodych aktorów nie tylko szansa na zaistnienie, ale również próba, na jaką zostają wystawione ich prywatne relacje. Desperacka rywalizacja wprawia w nich poczucie zawiści i zazdrości, które ze sceny przelewają się do ich prawdziwego życia. Gabriela Muskała, wybitna polska aktorka teatralna, filmowa i serialowa, twierdzi, że zdecydowała się stworzyć ten film, m.in. po to, aby dać szansę młodym aktorom na zaistnienie na dużym ekranie. Ich występy traktuje jako swoiste „wizytówki”. „Dla mnie absolutnym priorytetem przy pisaniu scenariusza było napisanie im pełnokrwistych postaci do zagrania. Nawet, jeśli jest to postać drugoplanowa, która ma jedną, dwie sceny, ale żeby były to takie sceny, żeby oni mogli pokazać te sceny reżyserom i pokazać swoje możliwości [...] O tym, czy ktoś ma charyzmę, czy kogoś kocha kamera, widać już w pierwszym ujęciu” – wspomina

aktorka podczas spotkania w Kinie „Niebieski Kocyk”. Dodatkową niespodzianką dla widzów była obecność **Zbigniewa Zamachowskiego**, który dołączył do rozmowy i ze sceny opowiedział widzom o powstawaniu muzyki do filmu Muskały. W tym przypadku był to wieczór debiutantów, ponieważ aktor, znany chociażby z roli dubbingowej w filmie „Shrek”, również po raz pierwszy był odpowiedzialny za muzykę w filmie pełnometrażowym.

Drugim filmem zaproponowanym w ramach KLAMRY były „Sezony” w reżyserii **Michała Grzybowskiego**. Film opowiada o kryzysie w aktorskim małżeństwie, a jego akcja rozgrywa się w pełnym absurdów teatralnym świecie. Etapy małżeńskiego rozpadu mieszają się tu ze scenicznymi interpretacjami „Piotrusia Pana”, „Domu Lalki” oraz „Snu nocy letniej”. To obraz, który powstawał w całości w **Toruniu**. Większość czasu ekranowego dzieje się na scenie **Teatru im. Wilama Horzycy**. Warto nadrobić oba tytuły, jeśli nie jeszcze nie mieliście okazji!

Kolejnego dnia festiwalu przed klamrową widownią zaprezentował się **Teatr Druga Strefa** ze spektaklem „Przy zamkniętych drzwiach”. Historia wykreowana przez trójkę kobiet dzieje się w miejscu, gdzie czas się zatrzymał, gdzieś po drugiej stronie. W tym trójkacie dochodzi do wymownej wymiany zdań, bowiem żadna z kobiet nie godzi się na obecność innych. Ten swoisty czyściec skłania je do refleksji nad zakończonym życiem i zmusza

do opowiedzenia o sobie pozostałym bohaterką. Ostatecznie, pozostaje im tylko ich obecność, tylko ona oddziela je od obłędu, dlatego podejmują próbę kontaktu. Niekoniecznie jednak udaną.

Skoro toruńska KLAMRA wstąpiła w tym roku w „wiek chrystusowy”, wręcz idealnym wyborem repertuarowym był spektakl „Judas” w wykonaniu Adama Walnego. Sztuka ukazuje historię Jezusa z Nazaretu, jednak widzianą oczami Judasza. **Walny-Teatr** skupił się na przedstawieniu złożonej relacji między mistrzem i jego uczniem. Wykorzystał w tym celu drewnianą figurę wielkości dorosłego człowieka, która uosabiała postać Jezusa. Judaszem natomiast był sam aktor, który wprawiał w ruch kukłę. Spektakl możemy czytać na dwóch płaszczyznach – jest to spojrzenie na nowotestamentową opowieść z innej perspektywy, pozwalającej rzucić na czyny Judasza nowe światło, ale jeśli poszukamy głębiej, możemy odczytać w spektaklu meta-komentarz. Nadzieją na odbudowanie skomplikowanych relacji, zarówno między dwójką mężczyzn, jak i między aktorem, a figurą – staje się teatr, który zarówno tworzy się, jak i demaskuje na oczach widza.

Teatr **Bez Kontekstu** przyjechał do Torunia ze spektaklem „Prawdy za grosz”. Przedstawienie to nowoczesna inscenizacja z wykorzystaniem nowych technologii, które stara się odpowiedzieć na pyta-

nia o działania mediów w wykreowanym świecie nieodległej przyszłości. Młodzi aktorzy wcielili się w dziennikarzy telewizji „Rzeczowa TV”, zdradzając tym samym mechanizmy, jakimi kierują się stacje telewizyjne. Można tylko mieć nadzieję, że wizja wykreowana przez zespół teatralny nie ziści się w takiej formie, jak historia ukazana na deskach teatralnych.

Bez wątpienia jednym z najciekawszych spektakli był „Die Puppe” w wykonaniu **Teatru Suka Off**. Artyści, słynący z przekraczania granic na scenie, wzięli na warsztat twórczość Hansa Bellmera, jednak przefiltrowali ją oni przez własne doświadczenia i preferencje artystyczne. Widzowie zostają wciągnięci do świata wizji sennych, narkotycznych wręcz obrazów, w których dostajemy prosty podział: pan i podwładna. Kobieta pozbawiona tożsamości, w zabandażowanej twarzy i praktycznie całkowicie naga, zostaje poddawana różnego rodzaju czynnościom. Na pewno nie był to spektakl dla widzów o słabych nerwach. Pojawiająca się na scenie krew i sceny nagosci mogły wręcz odstraszyć, nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju sztuki, widzów. Warto jednak docenić konsekwentne dążenie do realizacji swoich artystycznych wizji i pozostawanie wiernym stylistyce body art Teatru Suka Off.

W piątkowy wieczór widzowie otrzymali zaproszenie na zaaranżowany ślub w wykonaniu grupy **OTO Teatr**. W sali kinowej Klubu w „Od Nowie” rozrzucony został ryż na szczęście, ku uciechu widzów. Były też śpiewane wesołe piosenki, a nawet zajrzeliliśmy na kurs podrywu prowadzony przez pewnego szarlatana. Wszystko to posłużyło do ukazania samotności współczesnych ludzi, którzy pogubieni, często zostają pozostawieni sami sobie. Inni natomiast na tej samotności chcą zrobić biznes. Spektakl „Usługa czysto platoniczna” powstał na podstawie reportażu Oktawii Kromer o tym samym tytule. I chociaż forma przedstawienia jest luźna, nastawiona na show, to jednak refleksja, z jaką pozostawia ono widza, skłania go do głębszych przemyśleń na temat relacji międzyludzkich we współczesnym, pędzącym na łeb na szyję, świecie.

Festiwal teatralny KLAMRA to nie tylko spektakle oraz spotkania z twórcami, ale również inne formy sztuki. Wśród tegorocznych imprez towarzyszących warto wyszczególnić wystawę najlepszych fotografii teatralnych sezonu 2023/2024, wyłowionych w konkursie Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego, którą można było zwiedzać w Galerii „Dworzec Zachodni”. Nie można też zapomnieć o muzycznych występach, które uświet-



Teatr Cosmino



Teatr Wierszalin

niły tegoroczne spotkania. W ramach „Koncertu na KLAMRZE” zaprezentował się **Teatr Węgajty z „Songami teatralnymi”**. Ich występ składał się z elementów muzyki, performansu, improwizacji wokalne i tańca butoh. Z kolei na zamknięcie festiwalu organizatorzy zaprosili na występ **zespołu RGG oraz Roberta Więckiewicza**. Ich występ, pt. „**Planet LEM**” to specjalny projekt zainspirowany twórczością Stanisława Lema – pisarza, futurologa i eseisty, absolutnej legendy literatury science fiction. Zespół RGG połączył nastrojową muzykę z przeszywającym głosem wybitnego polskiego aktora, który zinterpretował tekst „Solaris” Lema.

Celowo pominięty przeze mnie w tym tekście, czwartkowy występ grupy **Living Space Theatre**, okazał się skraść serca klamrowej widowni, zdobywając Nagrodę Publiczności. Przejmujący spektakl „**Q&A. The Polish Edition**” posiada ciekawy punkt wyjścia – jest to próba opowiedzenia o relacjach międzyludzkich za pomocą odpowiadania na pytania. W 1997 roku psycholog Arthur Aron opublikował artykuł, w którym zawarł 36 pytań, mających ułatwić podjęcie dialogu między dwójgą nieznajomych. Na scenie obserwujemy piątkę aktorów, którzy za pomocą ruchu, tańca i słów opowiadają nam o sobie. To oni jednak decydują, ile zdradzą nam na swój temat podczas tego eksperymentu. Wchodzą

również w interakcje z publicznością, łamiąc barierę w relacji widz – aktor. W ostatecznym rozrachunku otrzymujemy intymną opowieść w głąb naszej duszy, która pozwala na przejrzanie się, niczym w lustrze, w historiach młodych aktorów. Zupełnie zasłużona nagroda i tym bardziej cieszy fakt, że grupa teatralna przyjedzie w następnym roku z nowym spektaklem, aby ją odebrać z rąk organizatorów.

Patrząc na 33. Alternatywne Spotkania Teatralne KLAMRA z perspektywy czasu, można jeszcze bardziej niż w trakcie ich trwania, zauważyć różnorodność teatralną, jaką zaoferowali widzom organizatorzy. Pełen przekrój alternatywnych teatrów pozwolił na wyrobienie sobie własnego zdania na temat awangardy artystycznej w Polsce. Przygotowując się do napisania tego tekstu, zająłem jeszcze raz do prozy Lema, znajdując w niej odpowiedni cytat na zakończenie relacji z tegorocznej KLAMRY: „A teraz zgasimy światło i do rana nie będziemy mieli żadnych zmartwień, a rano, jeżeli się nam zechce, to postaramy się o nowe. Dobrze?” (Stanisław Lem, *Solaris*). Tak właśnie można było poczuć się po ośmiu dniach wypełnionych artystycznymi wrażeniami. Teraz pozostaje czekać na kolejne edycje.

Zdjęcia: Tomasz Dorawa



Ze Stanisławem Krausem, prezesem Stowarzyszenia Absolwentów UMK, rozmawia Wojciech Streich

– Jak wspominasz początki naszego Stowarzyszenia? Kto zachęcił Ciebie do działania?

– Początki Stowarzyszenia pamiętam bardzo dobrze. Kolega z roku zaproponował, bym uczestniczył w zebraniu założycielskim Stowarzyszenia Absolwentów UMK (SA UMK). Stowarzyszenie miało obejmować absolwentów wszystkich kierunków studiów. Tym sposobem znalazłem się w gronie 22 uczestników pierwszego zebrania założycielskiego Stowarzyszenia Absolwentów, którzy ukończyli różne typy studiów: pierwszego i drugiego stopnia oraz studiów stacjonarnych i niestacjonarnych. Koncepcję powołania i funkcjonowania Stowarzyszenia zreferowali jego główni pomysłodawcy: były wojewoda toruński Bernard Kwiatkowski oraz prof. Karol Jankowski i prof. Andrzej Jamiołkowski. Nie będę

opisywał poszczególnych etapów w procesie założycielskim, ważny był moment zwołania pierwszego walnego zebrania członków i sympatyków Stowarzyszenia, przyjęcie statutu, wybór pierwszych władz i rejestracja sądowa (3 lipca 1995 r.). Pierwszy Zjazd Absolwentów, połączony z walnym zebraniem członków Stowarzyszenia, odbył się 17 i 18 lutego 1996 r. Pierwszym prezesem Stowarzyszenia został absolwent prawa Jan Szoc, wówczas mieszkający w Warszawie.

W moim przekonaniu, można było wówczas odczuć duże zainteresowanie osób i instytucji towarzyszące powołaniu organizacji skupiającej absolwentów UMK, w mieście, które od początku lat powojennych było siedzibą pierwszego w regionie uniwersytetu, w którym nie było wcześniej organizacji reprezentującej rzeszę kilkudziesięciu tysięcy

cy absolwentów tej Uczelni. Dziś, z perspektywy trzech dekad naszej działalności, można powiedzieć, że w każdej kadencji władz naszej organizacji były osoby, które szczególnie zasłużyły się dla jego rozwoju. Część tych osób już nie żyje. Przyjęliśmy zasadę, że na każdym zjeździe wspominamy członków i działaczy zmarłych w ostatnim okresie. W sposób szczególny doceniamy osoby, którym Stowarzyszenie nadało godność Członka Honorowego. Kapitułę przewodniczy dr Cecylia Iwaniszewska, która ten zaszczytny tytuł otrzymała jako pierwsza.

Dziś z dumą obchodzimy 30-lecie powołania Stowarzyszenia Absolwentów UMK, które od momentu powstania do chwili obecnej prowadzi nieprzerwanie działalność statutową.

**– Gdzie odbywały się pierwsze spotkania i zebra-
nia? Kogo byś szczególnie wyróżnił z uwagi na jego
aktywność i zaangażowanie?**

– Wspomniane już zainteresowanie działalnością powstającego Stowarzyszenia wpływało na poziom aktywności i zaangażowania członków a nawet sympatyków. Od samego początku działalność Stowarzyszenia wspierały też władze Uniwersytetu, co przejawiało się w udziale kadry akademickiej w organach wybieralnych naszej organizacji, prowadzeniu wykładów i seminariów na rzecz członków i sympatyków SA UMK oraz członków społeczeństwa, współdziałaniu w wydawaniu naszego biuletynu „Absolwent” oraz tomów *Wspomnień Absolwentów*, udostępnianiu sal na różne spotkania i w wielu innych podejmowanych przedsięwzięciach. Ta rola Uniwersytetu jest trudna do przecenienia, bowiem – jak dotychczas – Stowarzyszenie Absolwentów nie prowadzi działalności gospodarczej, a głównym źródłem pokrywania kosztów działalności statutowej są składki członkowskie.

Ze swej strony Stowarzyszenie odwzajemniało się swoją statutową powinnością, uczestnicząc w licznych działaniach promocyjnych na rzecz Uczelni i jej znaczącego dorobku.

Początkowo nasza działalność ograniczała się do regionalnego zasięgu, by po kilku latach rozszerzyć go na obszary, w których mieszkała znacząca liczba absolwentów różnych roczników i kierunków studiów. Tak powstały kluby terenowe w Warszawie, Olsztynie, Trójmieście i w Toruniu.

W tym pionierskim okresie trudno byłoby kogoś szczególnie wyróżnić, wiele osób angażowało się w miarę swoich możliwości.

**– Czym zajmowałeś się w tym pierwszym okresie
i za co byłeś odpowiedzialny?**

– W pierwszym okresie, chociażby z racji powierzonej mi w roku 1996 funkcji wiceprezesa Zarządu i wykształcenia ekonomicznego, zajmowałem się głównie sprawami finansowymi Stowarzyszenia i współpracą z władzami Uczelni oraz innymi organizacjami. W roku 2007 zostałem wybrany na funkcję prezesa Zarządu, co spowodowało, że byłem zobowiązany do zajmowania się działalnością całego Stowarzyszenia.

**– Czy były jakieś przeszkody i trudności? Które
z nich szczególnie wam dokuczały? Czy podejmowa-
no jakieś środki zaradcze?**

– Przeszkód w rozwoju działalności Stowarzyszenia nie brakowało. Jedną z głównych pozostaje kwestia źródeł finansowania. Dotychczas nie podjęto działalności gospodarczej, która – w ocenie władz SA UMK poszczególnych kadencji – nie była możliwa do uruchomienia. Mimo to zakres naszej działalności organizacyjnej i merytorycznej, prowadzonej wyłącznie społecznie, stale się rozszerzał. Było to możliwe dzięki pracy członków, w tym głównie Zarządu, Rady i Komisji Rewizyjnej. Szczególnie znaczący wkład pracy w przygotowanie Zjazdów w ostatnich latach zawdzięczać należy zespołowi w skład którego wchodzi: Alina Dauksza, Irena Gęsicka, Małgorzata Kacprzak, Stanisława Kłosińska, Renata Lisiecka, Olga Narbutt, Andrzej Przysłski, Wojciech Streich, Izabela Walczyk, Bogdana Wilczyńska. Pewną pomocą w pozyskiwaniu źródeł finansowania było otrzymanie statusu organizacji pożytku publicznego, co pozwoliło na ubieganie się o 1,5% odpis od podatku dochodowego.

Istotną rolę w rozwoju działalności odgrywało również rozpoczęcie działalności projektowej. Pierwsze zrealizowane przedsięwzięcia, finansowane z grantów Prezydenta Miasta Torunia, przygotowała dr hab. Dorota Grabowska-Pieńkosz, członek Zarządu. Uruchomienie działalności projektowej stanowiło pewien przełom w działalności Stowarzyszenia i z pewnością będzie owocowało w latach następnych.

**– Ponieważ działasz w Stowarzyszeniu od same-
go początku, myślę, że mógłbyś podzielić te 30 lat
przynajmniej na trzy okresy: założycielski, pracę**

na rzecz Stowarzyszenia i kierowanie nim. To długi i chyba niełatwy czas, prawda?

– Tak, w okresie mienionych 30 lat można wyróżnić etapy rozwojowe w działalności Stowarzyszenia Absolwentów.

W początkowym okresie, podejmowano przede wszystkim prace związane z opracowaniem statutu, uruchomieniem działalności biura, wyłonieniem władz statutowych i organizowanie pierwszych Zjazdów Absolwentów („Jesienne Powroty”), połączonych z Walnymi Zebraniami statutowymi członków, których w pierwszych latach było ok. 1200 (osoby zamieszkałe w wielu miejscowościach na terenie kraju, a także pewna grupa członków zamieszkałych za granicą). Od samego początku, Zjazdom towarzyszyły spotkania absolwentów poszczególnych kierunków studiów. Przykładowo, z okazji 40-lecia ukończenia studiów magisterskich absolwenci fizyki z roku 1967 spotkali się na XIII Zjeździe w roku 2007. Na podobnych zjazdach w ramach „Jesiennych Powrotów” spotykali się absolwenci biologii, prawa, administracji, matematyki czy chemii. Okazją do zorganizowania takich imprez były także rocznice uruchomienia kształcenia na danych kierunkach. Z tej właśnie okazji spotkali się w 50. rocznicę istnienia Wydziału Nauk Ekonomicznych i Zarządzania, który – jako Instytut Ekonomiczny na prawach Wydziału – rozpoczął kształcenie od roku 1968/1969. Efektem spotkania było m.in. powołanie Koła Ekonomistów, które organizuje wyjazdy integracyjne, spotkania z absolwentami – ekonomistami, współdziała z Zarządem Stowarzyszenia.

Szczególnym elementem programu – już pierwszych zjazdów – było wręczanie absolwentom UMK, którzy ukończyli studia pół wieku temu, okolicznościowych dyplomów sygnowanych przez nasze Stowarzyszenie i rektora UMK. Jest to swego rodzaju uroczystość „odnowienia dyplomu” po 50 latach od jego uzyskania. Trzeba tu podkreślić, iż absolwenci – jubilaci wysoko cenią ten rodzaj pamiątkowego wyróżnienia.

W kolejnych dekadach, od rozpoczęcia działalności przez Stowarzyszenie, wprowadzano szereg form sprzyjających promocji oraz inicjowaniu działań służących rozwojowi UMK, a także utrwalaniu więzi środowiskowych absolwentów Uczelni. Kierując się tą statutową powinnością, w programie każdego Zjazdu przewidywane jest wystąpienie rektora lub prorektora Uniwersytetu, uwzględniające omówienie najważniejszych osiągnięć naszej Uczel-

ni w ostatnim okresie i zaprezentowanie jej dorobku oraz pozycji na tle innych uniwersytetów. Wiele z tych wykładów to znakomite, godne zapamiętania wystąpienia.

Dążenie do umacniania wzajemnych kontaktów między Uniwersytetem a jego absolwentami jest uwzględniane w zasadzie w każdym przedsięwzięciu podejmowanym przez Stowarzyszenie. Przykładowo, w wielu posiedzeniach Zarządu i Rady uczestniczą przedstawiciele jego władz. Najczęściej są to prorektorzy upoważnieni do kontaktów z organizacjami. Z kolei kierownictwo Uczelni zaprasza przedstawicieli naszego środowiska do udziału w inauguracjach roku akademickiego, Święcie Uczelni czy innych spotkaniach okolicznościowych. Uczestnicy niektórych zjazdów mieli możliwość udziału w specjalistycznych wykładach organizowanych przez jednostki naukowo-badawcze, np. Interdyscyplinarne Centrum Nowoczesnych Technologii UMK. Także cele podejmowanych projektów uwzględniają statutowy zapis dotyczący promocji Uczelni i integracji środowiska absolwentów. Stowarzyszenie prowadzi również działalność edukacyjną, która jest realizowana m.in. w ramach „Jesiennych Powrotów”, w programie których znajduje się zawsze wykład okolicznościowy, obejmujący różne aspekty działalności naukowej i publicystycznej referenta. Do wygłoszenia wykładu najczęściej zapraszani są znakomici wykładowcy UMK. Ponadto organizowane wykłady otwarte dla społeczności lokalnych czy prelekcje wygłaszane w trakcie wyjazdów studyjnych organizowanych dla członków Stowarzyszenia, także przyczyniają się do promocji Uczelni i integracji środowiska absolwentów. Można bez większej przesady stwierdzić, że chyba każdy członek naszego Stowarzyszenia to dobry przykład ambasadora UMK w swoim, i nie tylko, środowisku zawodowym i społecznym.

Ten rozszerzający się zakres działalności wymaga oczywiście planowania i koordynacji przedsięwzięć. Jest to tym trudniejsze, że prowadzona działalność statutowa zmusza nas do ponoszenia rosnących kosztów. Na szczęście są jeszcze członkowie i działacze, którzy z godnym podziwu zaangażowaniem podejmują się realizacji zadań statutowych.

Moim naczelnym przesłaniem jest w całym okresie sprawowania funkcji – czyli od 2007 roku – niedopuszczenie do obniżenia poziomu dynamiki działalności merytorycznej i organizacyjnej Stowarzyszenia.

– Staszku, jesteś prezesem Stowarzyszenia już 18 lat. Co szczególnie zapamiętałeś z tych lat prezowania?

– Trudno byłoby wymienić jakieś jedno szczególne wydarzenie w życiu Stowarzyszenia. Było ich wiele. Warto w tym miejscu wspomnieć o nowo uruchamianych formach działalności, takich jak projekty grantowe realizowane w ramach konkursów czy spotkania z naszymi absolwentami w klubach terenowych, które odbywały się głównie w ramach wyjazdów studyjnych. Zapamiętałem np. interesujące spotkanie organizacyjne absolwentów UMK na Zamku w Olsztynie, połączone z ciekawymi wystąpieniami naszego Członka Honorowego prof. Janusza Małłka oraz prof. Witolda Wojdyły i dr. Jerzego Sikorskiego; wszystkie one dotyczyły działalności Mikołaja Kopernika. Z kolei inne ciekawe spotkanie odbyło się na Zamku Krzyżackim w Malborku, gdzie spotkaliśmy naszych absolwentów, którzy zaprezentowali stan odbudowy i prowadzoną działalność popularyzatorską. Oczywiście tych interesujących spotkań było więcej, tu wspominałem tylko o niektórych.

– Zjazdy absolwentów, które w pewnym okresie nazwano „Jesiennymi Powrotami”, są specjalnością Stowarzyszenia Absolwentów UMK, spełniając bardzo ważną rolę w kontaktach z naszymi absolwentami. Jak je wspominasz i które szczególnie zapamiętałeś?

– „Jesienne Powroty” stwarzają okazję do najbardziej satysfakcjonujących spotkań z absolwentami – jubilatami, którzy na zjazdach odbierają dyplomy z okazji 50-lecia ukończenia studiów. Tej uroczystości towarzyszą niecodzienne wzruszenia z powodu spotkania – często po latach – wielu zaprzyjaźnionych osób i odnowienia wspomnień z lat studenckich. Nie jestem w stanie wskazać konkretnego, zapamiętanego Zjazdu. Wszystkie mają ten sam poziom wzruszeń i jednakowo odwołują się do wspomnień. Niekiedy nawet przyjazdy po latach nie są możliwe; na przykład absolwent Wydziału Prawa i Administracji sprzed 25 lat Nguyen M. napisał z Hanoi do koleżanek i kolegów z roku bardzo serdeczny list, w którym stwierdza, że jego marzeniem jest wzięcie udziału w jednym z kolejnych zjazdów.

Podsumowując: wszystkie zjazdy w grodzie Kopernika pozostawiają niezatarte wspomnienia i urok, które towarzyszą nam w kolejnych latach

naszego życia zawodowego, czy już na emeryturze. Stąd liczę, że weźmiecie Państwo udział w zbliżającym się XXVIII Zjeździe, który będzie także zwieńczeniem obchodów 30-lecia SA UMK. Spotkajmy się zatem 13 września 2025 r. Serdecznie zapraszamy!

– Media to ponoć potęga. Także Stowarzyszenie Absolwentów UMK jest aktywne na tej płaszczyźnie.

– Dla wielu osób źródłem informacji o Stowarzyszeniu i Uczelni jest nasz biuletyn „Absolwent” (również w wersji internetowej) i odnowiona strona Stowarzyszenia. Chciałbym przy tej okazji przekazać serdeczne podziękowanie całemu zespołowi redakcyjnemu „Absolwenta” za wieloletnią pracę związaną z redagowaniem tego rocznika. Szczególnie dziękuję redaktorowi prowadzącemu i wiceprezesowi Zarządu Koledze Wojciechowi Streichowi oraz Koleżankom, członkom Zarządu: Alinie Daukszy-Wiśniewskiej, Oldze Narbutt i Izabeli Walczyk.

Liczę, że nasi członkowie i sympatycy nadal będą nadysłać informacje o swojej działalności w ramach Stowarzyszenia oraz o swoich doświadczeniach zawodowych czy dorobku naukowym, ale także o sukcesach osobistych na innych płaszczyznach.

– Nasza organizacja działa także poza Toruniem w formie lokalnych klubów. Jak oceniasz ich aktywność i kogo szczególnie chciałbyś tutaj wspomnieć lub wyróżnić?

– Kluby SA UMK działają w Warszawie, Gdańsku, Olsztynie i w Toruniu. Stanowią niezwykle ważne ogniwo naszej struktury organizacyjnej. Realizują zadania statutowe na rzecz członków Stowarzyszenia, zamieszkujących na terenie działania danego klubu. Wszystkie prowadzą regularną działalność, wynikającą z zapotrzebowania ich członków. Szczegółowy opis działań klubów zamieszczamy na łamach biuletynu „Absolwent”. Stosunkowo najszerszy zakres działalności podejmuje Klub Warmińsko-Mazurski w Olsztynie. Jego działalnością kierują: Koleżanka Teresa Bronowska i Koledzy Janusz Cygański i Jacek Szubiakowski. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Kolega Janusz Cygański otrzymał z rąk rektora UMK prof. Andrzeja Sokali w roku 2023 tytuł Ambasadora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, z czego – nie ukrywamy – jesteśmy bardzo dumni. Chciałbym też wspomnieć o szczególnej inicjatywie członków Klubu Toruńskie-

go naszego Stowarzyszenia. Jest to udział w podjętej przez Koleżanki i Kolegów z tego Klubu Akcji Znicz, w ramach której przed 1 listopada każdego roku porządkowane są groby naszych nauczycieli akademickich. Organizatorem przedsięwzięcia jest prof. Andrzej Przystalski.

– ... i na koniec: kim jest Stanisław Krause, ekonomista? Proszę, powiedz kilka słów o sobie.



– Po studiach na Wydziale Nauk Ekonomicznych i Zarządzania (wówczas Instytucie Ekonomicznym), odbyłem staż w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Pojazdów Jednośladowych, a następnie podjąłem pracę na stanowisku dyrektora w Oddziale Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w Bydgoszczy; okresowo także kierowałem Oddziałem Instytutu Kształcenia Ekonomicznego PTE oraz Zakładem Ekspertyz Gospodarczych „Petex”. W tym czasie ukończyłem Studium Pedagogiczne Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Byłem także uczestnikiem Studium Doktoranckiego w tej Uczelni. Po uruchomieniu Wyższej Szkoły Zarządzania i Finansów zostałem w niej dziekanem. Tę funkcję pełniłem następnie w Wyższej Szkole Gospodarki jako prodziekan i dalej dziekan ds. kształcenia ekonomicznego. W całym okresie pracy zawodowej współpracowałem z Wydziałem Nauk Ekonomicznych i Zarządzania UMK w Toruniu. Moją wielką pasją jest Olimpiada Wiedzy Ekonomicznej, której jestem współorganizatorem i opiekunem młodych olimpijczyków z województwa kujawsko-pomorskiego. Funkcja ta z racji kontaktu z młodzieżą uzdolnioną ekonomicznie sprawia mi szczególną satysfakcję. Jestem członkiem Zarządu Fundacji Forum Rozwoju Regionalnego województwa Kujawsko-Pomorskiego oraz członkiem Sejmiku Gospodarczego.

9 września 2017 roku otrzymałem Medal Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego Unitas Durat Palatinatus Cuiaviano-Pomeraniensis za działalność na rzecz Stowarzyszenia Absolwentów UMK. Medal ten traktuję jako wyróżnienie środowiska absolwentów UMK.

– Przed naszym spotkaniem proszę mnie, żeby zamieścić w tej rozmowie podziękowania dla władz rektorskich naszej Uczelni.

– W imieniu Zarządu i Rady Stowarzyszenia Absolwentów UMK chciałbym przekazać na ręce Pana Rektora prof. dr. hab. Andrzeja Tretyna bardzo serdeczne podziękowanie za wspieranie naszej działalności. Słowa te kierujemy do obecnych władz Uniwersytetu, a także władz poprzednich kadencji.

– Dziękuję za rozmowę.

Fot. nadesłane

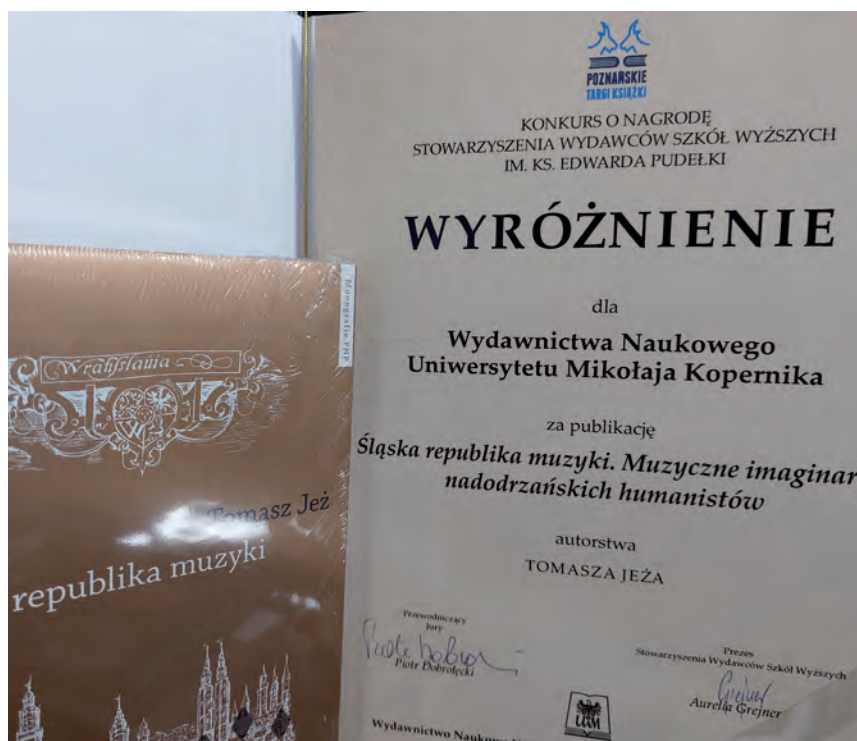
Dwa wyróżnienia

W ostatnim czasie książki opublikowane przez Wydawnictwo Naukowe UMK zostały docenione przez gremia jurorów konkursów wydawniczych.

Wydawnictwo otrzymało wyróżnienie w Konkursie Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych im. ks. Edwarda Pudełki za książkę prof. Tomasza Jeża *Śląska republika muzyki. Muzyczne imaginaria nadodrzańskich humanistów* (seria: Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, opracowanie redakcyjne tomu: dr Agnieszka Markuszewska). Celem tego uznanego w środowisku konkursu jest promowanie wydawnictw uczelnianych, a także sztuki edytorstwa naukowego i dydaktycznego. W skład Jury wchodzi specjaliści ze świata nauki oraz przedstawiciele Polskiej Izby Książki, Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych i mediów. Rozstrzygnięcie konkursu, w którym 24 wydawnictwa zgłosiły 46 tytułów, nastąpiło podczas uroczystego otwarcia Poznańskich Targów Książki (7 marca br.).

Wyróżniono także Wydawnictwo w Konkursie ACADEMIA 2025 dla Najlepszej Publikacji Akademickiej i Naukowej za opracowanie edytorskie książki pt. *Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. 1945–2025* autorstwa dr hab. Anny Supruniuk i dr hab. Mirosława A. Supruniuka. Projekt graficzny i skład tomu przygotowali dr Radosław Staniec i dr Maria Szczodrowska, redakcję tekstu wykonała mgr Anna Mądry, a korektę mgr Ewelina Gajewska-Jendryczka. Rozstrzygnięcie konkursu ogłoszono 16 maja br. podczas Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie. Celem konkursu było wyróżnienie i promocja wydawców najlepszych publikacji akademickich i naukowych wydanych w formie tradycyjnej książki drukowanej. W tym roku do konkursu zgłosiło się 81 wydawców z rekordową liczbą 189 tytułów.

Tekst i zdjęcia: Dr Marcin Lutomiński — Zastępca Dyrektora Wydawnictwa Naukowego UMK



Rocznicowo i przyszłościowo



Przypadająca w tym roku 80. rocznica zakończenia II wojny światowej mogła umknąć wśród wielu bieżących i rocznicowych wydarzeń dziejących się w Polsce i w świecie. Warto jednak przypominać o tej hekatombie, licznych zniszczeniach materialnych oraz istotnych zmianach granic państwowych. Pamięć o II wojnie światowej należy się nie tylko jej ofiarom, lecz także współczesnym mieszkańcom wielu krajów, by nie musieli doświadczać tego samego, co ich przodkowie.

Od 8 do 9 maja br. w Muzeum Niepodległości i Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie odbyła się cenna poznawczo Ogólnopolska Konferencja Naukowa „Polski wkład w zwycięstwo w II wojnie światowej”, zorganizowana przez

oba muzea we współpracy ze Stowarzyszeniem Historyków Wojskowości, pod honorowym patronatem Marszałka Województwa Mazowieckiego i Ministra Obrony Narodowej. Badacze z różnych ośrodków muzealnych i akademickich wygłosili 19 referatów dotyczących przede wszystkim zapomnianych aspektów militarnych (m.in. o wysiłkach zbrojnych różnych formacji), a także politycznych (m.in. o rządzie emigracyjnym) i kulturowych (m.in. o niedźwiedziu Wojtku). Obrady zostały wzbogacone recytacją wierszy o tematyce wojennej w mistrzowskim wykonaniu Olgierda Łukaszewicza, a także projekcją filmu „Zwycięstwo” (1974) w reżyserii Jerzego Passendorfera.

Wydawnictwo Naukowe UMK jako jedyne wydawnictwo uniwersyteckie zaprezentowało swoją ofertę wybranych książek historycznych podczas obrad w Muzeum Niepodległości. Życzliwe przyjęcie przez organizatorów i gości konferencji otworzyło drogę do kolejnych działań promocyjno-merytorycznych Wydawnictwa we współpracy z Muzeum.

Tekst i zdjęcia: Dr Marcin Lutomierski — Zastępca Dyrektora Wydawnictwa Naukowego UMK



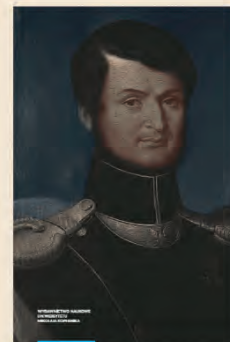
Stefan Gierowski. W setną rocznicę urodzin

Redaktorzy: Joanna Kucharzewska, Andrzej Sokala

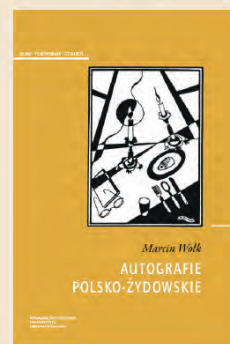


Był wybitnym twórcą malarstwa abstrakcyjnego, przedstawicielem współczesnej awangardy malarskiej określanym mianem klasyka polskiej nowoczesności. Po wczesnym okresie figuratywnym jego twórczość weszła w fazę fascynacji potencjałem koloru i światła.

Publikacja, którą przekazujemy do rąk Czytelników, została wydana z okazji setnej rocznicy urodzin artysty oraz osiemdziesięciolecia powstania Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.



LISTY EMIGRACYJNE DO
RODZICÓW
(Z DOŁĄCZENIEM
LISTÓW MICHAŁA
PODCAŻYŃSKIEGO)
1832-1834



AUTOGRAFIE
POLSKO-ŻYDOWSKIE



MIĘDZYNARODOWE
PRAWO HUMANITARNE
KONFLIKTÓW ZBROJNYCH

„Sarmatyzm”. Historia pojęcia

Autor: Maciej Nawrocki



Zapewne każdy, kto miał styczność z polską edukacją lub choćby interesuje się polską historią, zetknął się kiedyś ze słowem „sarmatyzm”. Jednakże gdy zestawień ze sobą jego rozmaite formalne i nieformalne definicje, okazuje się, że dotyczą one niezwykle szerokiej gamy zjawisk, a nierzadko nawet stoją względem siebie w kompletnej sprzeczności. Celem książki jest próba stworzenia narracji o tym, skąd „sarmatyzm” (rozumiany jako słowo i jako pojęcie) się wziął, a przy tym ustalenie, jaką pełnił funkcję w dyskursach historycznych. Jak go rozumiano i jakie kryły się za tym idee? Kto i w jakim celu go używał? I wreszcie: na ile „sarmatyzm” jest pojęciem fundacyjnym dla współczesnej idei polskości?

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**



kliknij do nas:
www.bilety-lotnicze.com.pl



Accredited
Agent

